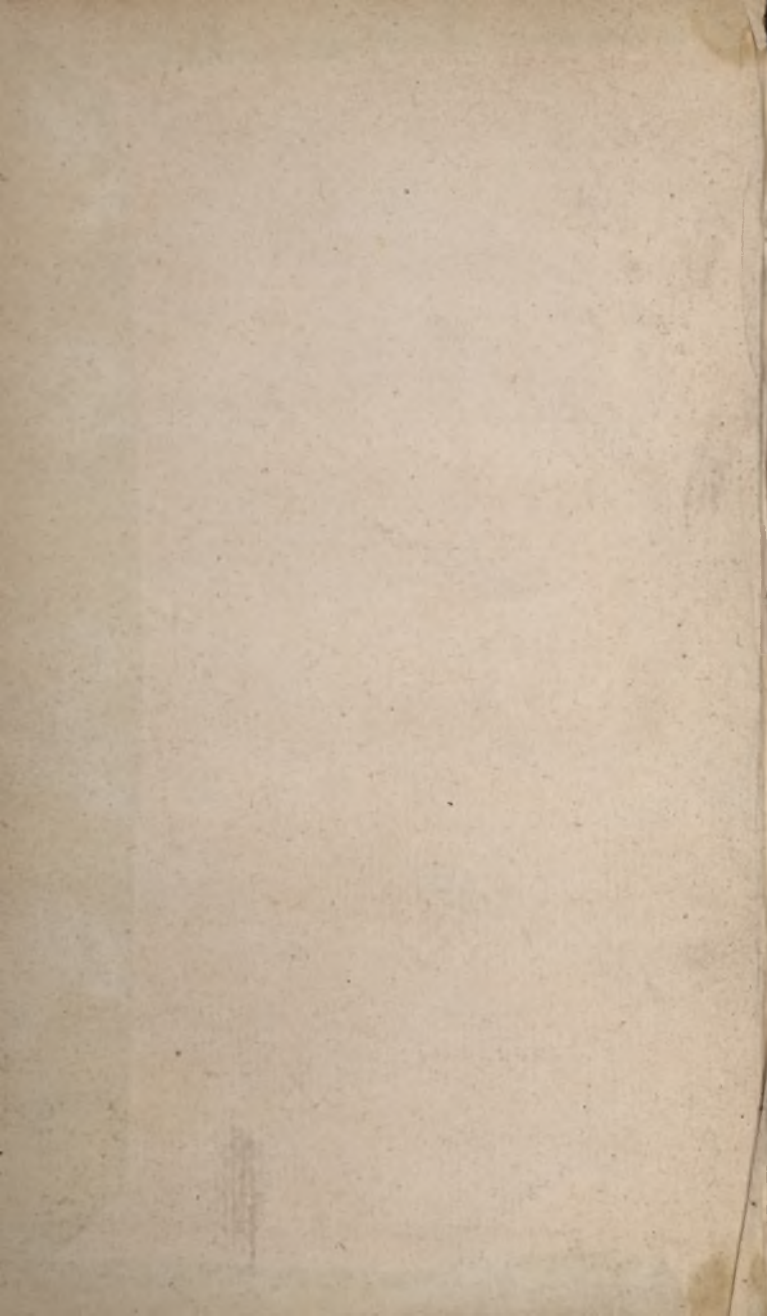
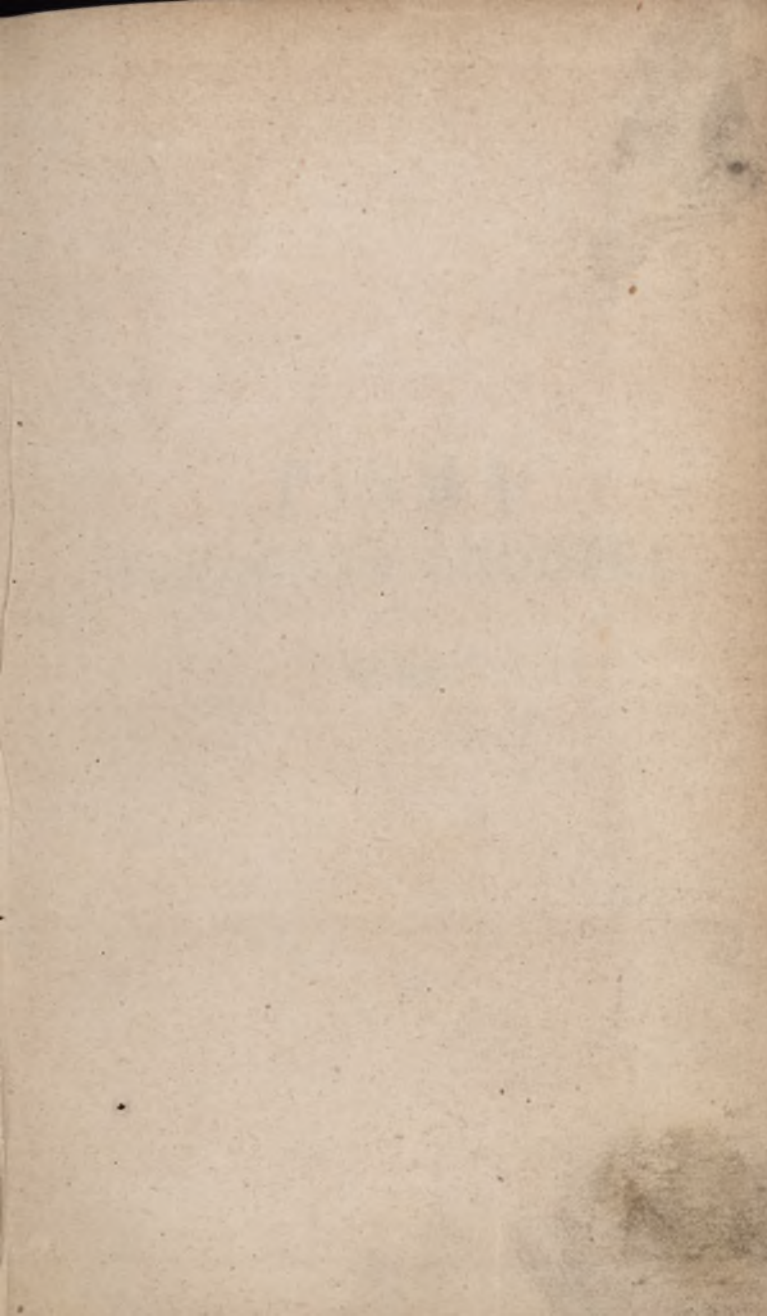








P I S M A
IGNACEGO CHODŹKI.

—
VII.

VIII

PIZMA
IGNACEGO CHODZKI.

VII.

W. P. S.
**PODANIA
LITEWSKIE**

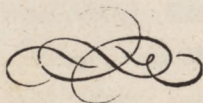
przez

Ignacego Chodźkę.

SERYA 1^a i 2^a.

**Wykłady — Kamień w Olgienianach — Żegota z Milanowa
Milanowski.**

Wydanie nowe.



W I L N O.

NARŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1876.

Дозволено Цензурою.—18-го Ноября 1876 года.
Вильна.



98421

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Замковъй переулокъ, N. 149).

W S T Ę P.

Każda stopa ziemi przez ludzi zajęta, ma swoją przeszłość. Przeszłość ta z ludzką podobna, i prawie zawsze zjednoczona, albo jest znamienitą i wiekopomną, oznaczoną wielkimi wypadkami i wspaniałemi dziełami rąk ludzkich, trwającemi dotąd, lub rozsypującemi się dziś w gruzy; albo cicha, skromna, przemijającą jedną chwilą, jednem miłym uczuciem, lub częściej jeszcze jedną łzą i westchnieniem oznaczona.... Pierwsza dla dziejopisa narodów i całej ludzkości, druga dla dziejopisa serca ludzkiego, a zatém dla powieścio-pisarza właściwą jest treścią.

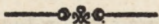
W krajach, w których dawno już odkryto te źródła najpiękniejszych natchnień dla narodowych pisarzy i najmilszych wrażeń dla czytelników, literatura nadobna zagarnęła je pod własne panowanie, owładnęła niemi zupełnie, i z podań, czy wiadomości ze dna ich, że tak powiem, wyjmowanych, odtwarza potomkom cnoty i obyczaje naddziadów. My wieczne naśladowniki obcych, ten raz za dobrym ich poszliśmy przykładem: poznaliśmy że i nasza kilko-wiekowa przeszłość, zostawiła na ziemi naszej, i wspaniałe publiczne pomniki, i mnóstwo pamiątek powszedniego życia ojców naszych, z dziejami nawet naszymi połączonych; których równie interesujące, a bodaj pocziwsze, przykładniejsze i tkliwsze zbierać możemy wzory, i zbieramy je w rzeczy saméj.

Literatura nasza nosi odtąd w ogólności piętno własne, i wydziera z rąk ziomkom książki obcym językiem, obcą treścią i obcym duchem pisane, jako matka wydziera dziecięciu swemu owoc obcy i szkodliwy, a własnej piersi pożywczym posila je pokarmem.

I ztąd wyszły u nas na jaw, utajone dotąd w zaniedbaniu, lub porzucane w poniewierce, mnogie, razem ziemi naszej, obyczajów i charakteru naszego, obrazy, ślady i przykłady, które dostarczając obfitych treści talentom naszym, tém je silniéj pobudzają do pracy, że się ta nagradza prawdziwém współczuciem i powszechném zadowoleniem ziomków. A lubo nader wiele i w rozmaitym względzie wyczerpano już z tego źródła materiałów, jednak bez wątpienia wiele jeszcze pozostało, dla szukających z gorącą żądzą i szczérém upragnieniem tego wszystkiego, co jest piękném, szlachetném, a własném.

Owoż takiém uczuciem i ja przejęty i natęchniony, pobudzam niém i pokrzepiam słabą mą zdolność, szczęśliwie dotąd, przychylném przyjęciem przez ziomków pism moich, uwieńczoną. Tytuł ich nowy, bliżéj do celu stosując, celem zaś tym będzie zawsze godło moje od początku przyjęte, a objawiające się na każdej karcie, miłością wdzięcznych i nadobnych obrazów kraju naszego, zamiłowaniem pięknych przykładów, wspomnień, pomników, cnót bogo-

bojnych i obyczajów naszych rodzimych: słowem miłością z serca autora w serca czytelników przepływającą, i jedną wzajemnie ich dla się także miłość.



W Y K Ł Ę T Y.

I.

„Dom pusty — żona wdowa — a dzieci sieroty!“
 Oto definicya z dawnych praw naszych w przysłówie zamieniona, na oznaczenie kary tak nazwanej *bannicyi*, wywołania — padającej na tego, który pozwany do sądu nie stawał na terminie: — *Contumax* na bannicyę! wykrzyknął natenczas woźny, po trzykrotném zawołaniu niestawającego, i obecni z uśmiechem powtarzali: „Dom pusty — żona wdowa — a dzieci sieroty!“ z uśmiechem, bo w ostatnich czasach prawnictwa naszego, straszne te wyrazy stały się już tylko formą, kilkudziesięcią złotych okupowaną.

Była jednakże plaga sroga jeszcze i w epoce téj mojej powieści, sprawdzająca na uderzonym nią fatalne to przysłowie: plagą tą była klątwa kościelna.

Minęły już wprawdzie natenczas wieki, gdy piorun z Watykanu strącał monarchów zachodniej Europy z tronów, lub z czoła ich korony, ale niższe duchowieństwo odważało się jeszcze u nas grozić, a niekiedy i użyć nawet téj śmiertelnej broni: już to naprzeciw nadużyciom i zapędom zuchwałego mo-

żnowładztwa, już to naprzeciw rozhukanemu domowemu swarami żołdactwu, nawykłemu oddawna w czasach rozruchów, bogate dobra duchowne uważać za łup i strawę swą zwyczajną, już to nakoniec przeciw szczególnym i pokątnym, że tak powiem hajdamakom, których żadnym innym sposobem uchodzić nie można było, a których właśnie namnożyło się w kraju naszym, zewnątrz ściśnionym, wewnątrz rozprzęgłym.

Ostatnie roztargnienie węzłów, jednoczących dotąd naród w sferne i uległe prawom towarzystwo, nastąpiło u nas podwukrotném a pięćdziesięcią tylko laty rozdzieloném najściu Szwedów (1). Za każdym, naród rozdzielał się na liczne partye i kupy i zgraje, garnące się około potężniejszych możnowładzców, któremi bojaźń, lub interes osobisty kierowały, i którzy podług takich względów, od Kazimierza do Gustawa, od Augusta do Karola kolejną, a bezkarne, przechodzili i nazad wracali. Były to jakby komety błędne, za któremi długie ogony z różnobarwnej tłuszczy złożone, plądrowały zbrojne po kraju, pustosząc go częstokroć gorzej od cudzoziemca: z tą różnicą między naczelnikami i stronnikami, że gdy pierwsi jedne z dwóch tylko mieli hasło: „Za Sasem!“ — „Za Szwedem!“ tłuszcza za nimi idąca, tyle wykrzykiwała imion, ile ich w kraju znakomitszych było — „Za Radziwiłłem!“ „Za Sapiehą!“ „Za Ogińskim!“ „Za Pacem!“ „Za Wiszniewieckim!“ etc. najczęściej bez względu na ich polityczne widoki, a zawsze bez względu na interes własnej ziemi.

Nadto jeszcze, stłumione gorliwością katolicką pierwszego Wazy i Jezuitów, różnowierstwo, znalazłszy opiekę i wsparcie w Gustawie Adolfie, a potem w Karolu, podniosło głowę, dając nowy powód

(1) Gustaw Adolf 1655. — Karol XII. 1705.

do wzajemnych a jęczących zwykle głębiej nad wszystkie inne, religijnych nienawiści i odwetów.

I ztąd to powstało w kraju naszym hajdamactwo i nazwa hajdamaków, tatarskiego brzmienia i znaczenia, wprzód ukraińskim rozbojnikom nadana, a potem służąca przydomkiem i przyswojona wszystkim zuchom, u których swoja wola była prawem, humor swarliwy i nieuległy codziennym obyczajem, a zuchwałe najazdy, bójki, pojedynki i napaście nałogiem..... A lubo po upadku europejskiego arcyhajdamaki Karola XII, (boć mu ze wszelkich względów ten tytuł przystoi) Polska nienapastowana od nikogo, pod panowaniem Sasów długiej używała spokojności; wszakże rozpierzchnione na pojedyncze *individua* obozowe mrówiska, zapleniły po wszystkich kątach kraju ludzi, którzy wracając na domową grzędę, junackiej nie porzucali fantazyi, i zostawali wojewódzkimi, powiatowymi, a nawet parafialnymi hajdamakami.

Tych ostatnich było bodaj najwięcej, a gdy imiona i zuchwałe czyny pierwszych, weszły w dzieje narodowe, to opisów lub skarg na drugich, pełne są tamtoczasowe akta grodzkie (1) każdego powiatu, i domowe pamiętniki, owe grube, rękopisowe, w skórę oprawne *in folia*, które w domach równie pańskich, jako i szlacheckich, pokolenia pokoleniom podawały, dla wpisywania w nie „Na chwałę Boską, a na pamiętkę i naukę dobrym ludziom“ (2) wszystkiego co się w kraju działo, działało lub doświadczało. Junakierya taka, wprawdzie coraz modyfikująca się, trwała aż do połowy prawie panowania Stanisława Augusta; lecz odtąd rozmiękczony naród, stracił swą twardość i hardość. Po starzejących się kuntuszowych

(1) Grod— Było to sądownictwo, szczególnież na rodzaj spraw uczynkowych przeznaczone.

(2) Zwykły tytuł xiąg takich.

hajdamakach, następowali fraczkowe niewieściuchy, ni do tańca, ni do rożanca! a tém bardziej do korda.... i Kościół więc swojej zaniechał broni, do użycia której w gnuśniejącym narodzie nie zdarzały się już powody, i która, gdy karność i cześć dla religji razem nikły, szyderstwo jużby mu tylko i poniewierkę, zamiast ulgi i zwycięztwa przyniosła (1). Epizod zatém, na rzeczywistém podaniu oparty, z życia jednego z takich hajdamaków, opisać tu postanowiłem. *Ab uno disce omnes!* (2) wszyscy oni należą do składu ruchliwych obrazów tamtoczesnego towarzystwa, owszem są jakby wydatniejsze herbowne płaskorzeźby na starych i rujnujących się zamczyskach; wszystkie zapędy i swawole mniej więcej podobne i jednostajne, krnąbrne i nieuległe prawu pospolitemu, korzyły się tylko przed ołtarzem, i hamowały się jedyném natenczas wędzidłem, to jest uczuciem religijném, w głębi serc najburzliwszych jeszcze wtedy panującym.

Ostatnią główną kwaterą Karola XII w Litwie było miasteczko Radoszkowice, każdemu przejeżdżającemu z Mińska do Wilna dobrze znajome. Ztąd właśnie pobrnał on w głąb Rosyi, i doszedł fatalnego miejsca swój klęski Półtawy (3). Liczne zatém zagony Szwedów, szeroko od Radoszkowicz w kraj się zapuszczały, szukając żywności i furażów, tém trudniejszych w kraju domową wojną zniszczonym. Dla tego też w okolicach, nawet o mil kilkanaście od tego miasteczka odległych, szczególnież zaś około nurtów Wilji, lub rzek do niej wpadających, znajdziesz to w domowych papierach (4), to w podaniach, to w nazwiskach dróg i uroczysk, ślady szwedzkich odwiedzin, niezapomnianych dotąd między

(1) Patrz przypisy.

(2) Od jednego poznajcie wszystkich.

(3) Patrz przypisy.

(4) Patrz przypisy.

ludem, jak wszelkie głęboko dojmujące klęski, z przeznaczenia Bożego utrapiające narody.

W rękopismie współczesnym, który mam przed sobą, czytam: „Anno 1708 król szwedzki tu w województwo Mińskie, za Xięciem Mężykowem przyszedłszy, stanął w Radoszkowiczach, i wrzekomo obrońca nasz, a jednak kościoły, dwory, miasta i wsie rabował, i wszystko *funditus* zabierał przez niemały czas, i ledwo od nas 14 junji do Moskwy wyszedł. Po nim Löwenhaupt 5 Augusta do nas przyszedł, stał niedziel pięć, i ten rabował *stusznie* nikomu nie folgując“ (1), widoczniejsze więc jeszcze, choć dziś zapomniane zostawił natenczas po sobie ślady najeźdnik — to jest nędzę, ruiny, popieliska.



II.

I w tym to czasie, gdy już wieści o Szwedach, jak echa dalekich gromów po przejściu burzy, słyszeć się tylko dawały: kilkudziesięciu jeźdźców, rozbijając gęstą mgłę wilgotnego sierpniowego poranku, wysunęło się nagle na brzeg Wilji, do którego żadna tu z niskąd nie przychodziła droga, i śmiało za przewodniczącym na czele wodzem, znającym jak widać było rzekę i przystępniejsze jej brody, rzuciło się w wodę; jakoż konie wszędzie dna dostając, ledwo się po tebenki zamaczały, i przebrnąwszy rzekę a rzeźwo się otrząsłszy, wesoło parsknęły na drugą stronę.

(1) Rękopism — „*Liber manuscriptus, incipiendo ab anno 1708 per me Alexander Mackiewicz. Tribunus stabuli palatinati Minscensis.*“

Jezdcy sami różnobarwną nader i rozmaity składowali gromadę: uzbrojeni wszyscy, a jednak nie żołnierze, bo każdy podług fantazyi widać, czy możliwości, miał na sobie ubior i rynsztunek. Ten w kontusz wyartym, ten w kapocie, tamten w płaszczu jakimś osmolonym, a inny w łosim kaftanie; ten w magierce, ten w kapuzie, ten w baraním kołpaku, i tym podobnie.

Broń też była wcale nie do kalibru: u jednego długi muszkiet po myśliwsku na plecach, a noż za pasem; u innego dzida kozacka lub szeroki berdysz w ręku, a pistolet na pokrowcu; u wszystkich jednak, jednostajniejszych form i wymiarów szable u boku. U każdego zresztą wąs zawieszisty, jednym aż za uszy się zakręcał, drugim strzepił się pod nosem jak kolce u jeża, innym aż na pierś spływał niedbale, srożąc raczej niż zdobiąc twarze, wszystkie tęgie, bunczuczne i zuchwałe.

Miedzy tą tłuszcą rozróżniał się wszakże jeden, nie tak porządniejszą powierzchownością, jako tém, że niośł tuż za wodzem chorągiew tego hufcu, a raczej chorągiew wodza, to jest szmat czerwonej kitajki na długim drzewcu uciepiony, i złotym herbem Pruss naszyty, a ztąd wrzekomo nabierając powagi, wiertkami ruchami i szumną gadatliwością, robił sobie rum między towarzyszami, wymuszając gwałtem dla się konsyderacyę, której oni uznawać nie chcąc, śmiechem zwykle jego komendę zbywali. Bo też i w rzeczy samej w ustach jego żartem się ona być zdawała, stosowniejszym do jego postaci, niż przybrana surowość i pycha. Nie gniewał się wszakże za tę niby poniewierkę, owszem gdy się rozdobruchwał i zapominał o swój chorągiewnej dostojności, wesołym i rubasznym humorem, a krotofilnemi dykteryjkami, i wodza i wojsko rozśmieszał.

Niski, krępy i nieco pękaty szlachcic, w granatowej bekieszce, niegdyś sinym karogańskim barankiem, teraz irchą odeń pozostałą obszytą; okrągłych

i rumianych policzków, do dwóch połowin czerwonych jabłek podobnych, z wąsem podsiwiałym, i jak dwa sute pędzle na usta zwisłym, z niską a rogatą magierką na bakier na ogolonej głowie przysiadła, pan Jan Sebastyan Suroż, od swęj nigdy niezmiennanej szaty, szlachcic *Bekieszko* przezwany, siedział na siwym stępaku, którego do innego kroku z trudnością mógł zmusić. Długi i szeroki miecz, niestosowny na pozor do jego figury, ale którym w potrzebie zręcznie i silnie władać umiał, wisiał mu u boku i był mu całym orężem, a z olster u siodła, dwie butelki, jak kukułki z cudzego gniazda, nieśmiało wymykały szyjki.

Wódz tylko tęg rzeszy przystojniejszą miał powierchowność; owszem jego ubior i uzbrojenie, wyższego w nim i możniejszego stopnia i stanu dowodziły: bo chociaż kuntusz karmazynowy mógł być dowodem długotrwałości i mocy tamtoczasowej angielskiej sajeti, wszakże karbunkuł gorejący w szpince u szyi, pałasz i pistolety bogate w srebro oprawne, ostroga nawet srebrna, i dzielniejszy koń od innych, a drugi powodny u masztalerza, wszystko to odróżniało go wyraziście od rzeszy brnącej za nim, a uległej jego rotmistrzowskiej władzy, której buzdygan stalowy w ręku jego, był razem dowodem i godłem.

„Dźwięk!“ krzyknął on z przyciskiem, gdy wszyscy stanęli na brzegu, a brzmienie tego przysłowa dźwięk jakby łamiącej się nagle stalowej klingi wydało. . . . Dźwięk! Mości panowie! — *Ławnego* teraz! *Ławnego!* bo mam waściom coś powiedzieć“ — a czekając szyku, stanął na boku i sutego pokręcał wąsa.

Ktoby natenczas spojrział z uwagą na jego oblicze, do dziś dnia w domowych rodu jego pamiątkach na portrecie zachowane, poznałby od razu męża twardęj woli i silnej prawicy, a razem popędliwego i niecierpiącego najmniejszej przekory lub krzywdy

animuszu, lecz w dumnym uczuciu swęj godności, ku wspaniałym, jeżeli nie łagodnym, skłaniać się mogącego czynom. Poznałby człowieka dobrze wybranego na wodza krnąbrnych i swawolnych w domowej wojnie tłumów, które to popularnością jednać i pociągać, to grozą i bojaźnią karcieć i powściągać należało.

Uroda słuszną i tuszą ku temu stosowną, oblicze męskie, oko czarne i bystre, czoło szerokie i głębokimi bruzdami od częstego marszczenia oznaczone, przy tém odezwanie się zawsze harde, rezolutne i uparte; samo na koniec przysłowie na ostro, że tak powiem, dobrane: wszystko to tworzyło postać w tamtych nawet szermierskich czasach niepospolitą, a wywierającą około siebie wpływ i wrażenie, z zaufania razem i trwogi złożone.

I takim był Jan Dadzibóg Goleń (1) Niewiadomski, Starosta Antowilski, którego czytelnikom przedstawiam, a który, ponieważ jest bohaterem mego opowiadania, przeto obszerniejszję wymaga biografji.



III.

Rodzina Niewiadomskich, herbu Pruss, któryśmy wyszyty na chorągwi rotmistrzowskiej widzieli, w połowie XVI wieku z Wielko-Polski do Litwy się przeniosła. Pierwszy jej tu przodek Krzysztof, Podstoli ziemi Wizkiej, nabył obszerne dobra w powiecie niegdyś Oszmiańskim, a dziś Święciańskim położone (2), i pojawiający w zameście Kossakowskę,

(1) Goleń. — Przydomek.

(2) Żeladzie, Stracza, Polany, Wyhonięta, Budziłki. Ostatni ten folwark i dziś jest własnością potomków tego imienia.

kasztelanke Witebską, był protoplastą późniejszych pokoleń tej familji, łącząc się tu z kolei przez małżeństwa ze znakomitemi domami Ostrouchów, Oborskich, książąt Giedrojców i Tyzenhauzów. Potomkiem zatem tego Krzysztofa, był Jan Dadzibóg, żyjący w czasie najścia Karola XII na tutejsze ziemie.

Krótko przedtem, Jakób Henryk Fleming, jednając sobie przyjaciół i stronników po kraju, którego obywatelem być postanowił, i przekonawszy się jeszcze na elekcyi Augusta o szerokich związkach w Litwie Niewiadomskiego, a poznawszy go osobiście i oszacowawszy trafnie jego przymioty i wady, wyrobił dlań u króla, którego był najściślejszym powiernikiem, Starostwo Antowilskie, i wraz go potem rotmistrzem Oszmiańskim przypowiedział, czém go duszą i ciałem do siebie i króla przywiązał. A wkrótce gdy najście Karola dało powód do rozdzielenia się narodu na dwie partje, Starosta Antowilski gorliwie stanął za Augustem (1) i podniosłszy swój rotmistrzowski buzdygan, wezwał szlachtę, przywykłą już na sejmikach iść za głosem i wolą jego, aby się doń na obronę kraju kupiła. Zebrało się jój kilkaset i z tym poczem opuścił dom swój Starosta, łącząc się z jednomyślnymi z sobą braćmi i ogłaszając wszędzie konfederacyę Sandomierską, przy Augustcie II zawiązaną, a wszystkich coraz pomnażających się w Litwie stronników Karola i potem Stanisława Leszczyńskiego, jako zdrajców ojczyzny, napadał i gromił; sam wzajemnie przez nich, wspartych-jeszcze potęgą szwedzką, nieraz rozgromiony i do tułactwa zmuszony.

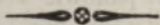
Wszakże nic go w stałej wierności zachwiać nie zdołało: tracił on i na nowo wnet gromadził hufce swoich Oszmiańczuków, którzy jak pszczoły dymem poddmuchnięte, wprowadzie rozpierzchali się

(1) Historyczne.

w popłochu na wszystkie strony, lecz nie odlatując daleko, skupiali się też rychło około wodza, jak pszczoły około matki. Towarzysz nieodstępny starosty we wszelakię przygodzie, pocziwy Bekieszka, dobywał natenczas z kieszeni schowaną tam w niebezpieczeństwie chorągiew, zaczepiał ją na wysokości tyce, i podnosząc w górę wykrzykiwał: „Wiwat starosta Antowilski, rotmistrz Jego Królewskiej Mości! i *Vivat Rex Augustus!*—Wiwat!“ huczno powtarzała cała gromada, i szła hurmem a z dobrą ochotą, na imprezę za wodzem, który skinięciem swego buzdygana, jak Eol groźném berłem wichry i burze, parł szlachtę do boju lub hamował, skupiał lub rozpraszał.

Lecz te zdolności Niewiadomskiego, któregoby może wysoko wzniosły w szerszym wojennym zawodzie, wytrawiały się nędznie i tyrały dlań bez chwały, a bez widocznego publicznego pożytku, na podrzędném i mało znaczącém dowództwie ruchawki, z którą codziennie zjednoczony, uledz wzajemnie musiał wpływowi jej obyczajów i narowów, nawyknać do nieustannych swarów, kłótni, grabieży, przekleństw, bojek i popojek; słowem, do wszystkich hajdamackich nałogów niezgodnych ani z urodzeniem, ani z wychowaniem jego, ale łatwo się uczepiających w sposobnych okolicznościach, do charakterów z przyrodzenia popędliwych, ku panowaniu nad sobą i hamowaniu się nie łatwych. Trwając tak upornie przy swojém, nawet gdy zwycięstwa Szweda i abdykacya Augusta wszelką jego stronnikom odbierać zdawały się nadzieję, Starosta Antowilski doczekał nareszcie pomyślnéj nowiny, która nagle się po kraju rozniosła, klęski Półtawskiej i ucieczki Karola do Turcyi, a razem powrotu na tron Augusta: postanowił więc nawiedzić dom swój po długiej nieobecności, odprowadzając razem i rozsadzając po zagrodowych grzędach, szlachtę napuszoną cudzym tryumfem. Resztę jej właśnie nad

brzegiem Wilji, od głównej swęj rezydencyi Budzi-
łek, w miejscu w którym ją przebywał, o mil parę
odległej, pożegnać postanowiwszy, przebrnął rzekę
i— Ławnego! zakomenderował.



IV.

Ławnego! powtórzył Bekieszka, Ławnego! pobudza-
jąc obu piętami stępaka swego do wyskoku naprzód,
a wysuwając chorągiew horyzontalnie dla wskazania
dyrekcyi i wyrównania frontu.

Ale ten manewr zupełnie przeciwny zamiarowi
sprawił skutek: bo chorągwią, spłoszone konie, to
się wspinać, to cofać poczęły, i kilku jeźdźców nie-
dbale oklepiłych na siodłach szwankowało... Śmie-
chy i przekleństwa razem się rozległy, a zamiast
szyku, niesforna stała się mieszanina.

— A won do djabła! z tą twoją komendą, krzy-
knęło wielu.

— Cicho! cicho! Ławnego! bo... *dam guza,*
dam tynfę! (1) krzyknął najeżywszy wąsy Be-
kieszka.

— Tynfa nie masz, a guza dostaniesz, gdy konie
straszyć będziesz — odezwał się któryś — czy my
głusi? wszak słyszym rozkaz JW. Rotmistrza, uszy-
kujem się i bez ciebie. Czy to pierwszy raz?

— Pan Starosta prowadzi regiment! i nam kre-
densuje, a ja trzymam regulamin! Znaj służbę aż
do końca! odpowiedział Bekieszka, nieprzystając
uwijać się między drużyną.

Nakoniec jako tako wyformowała się linia, a
wtenczas wyjechał on naprzód, podniósł chorągiew,

(1) Dawne junackie przysłowie.

i uroczystym głosem zawołał: — Jaśnie wielmożny Rotmistrz dobrodzieju, czekamy ordynansu pańskiego!

Starosta pokręcił węża, spójrział po szeregu i zawołał: — No, moi panowie i bracia! Szweda diabli wzięli!

— Piotr zjadł go w kaszy!.... przerwał Bekieszka, nie mogąc zatrzymać konceptu.

— Milcz waszeć! krzyknął Starosta zniecierpliwiony — Diabli wzięli Karola z naszego kraju, mówił dalej i już nie wróci się...

— *Quis scit co za górą?* panie Rotmistrzu! wtrącił znowu Bekieszka, kręcąc głową.

Zmarszczył się tylko wódz na te słowa, ale na nie nie zważał, bo do nich i do kilku innych przy mówisk swego chorążego, które on do okoliczności miał zawsze w pogotowiu, przywykł. Gdy się na przykład ostróżnie zbliżano ku niebezpieczeństwu, Bekieszka nie zaniedbał, jako strategiczną przestrożę, szepnąć na ucho wodzowi swemu: „Panie Rotmistrzu, *quis scit co za górą?*“ a gdy przychodziło do okazji, szepnął znowu jako *Consilium bellicum*: „Panie Rotmistrzu, nie staw nas przy lesie, bo to „rzecz łakoma,“ inne też w ciągu powieści naszej nieraz z ust jego posłyszemy.

— Król pan nasz miłościwy August II-gi — mówił dalej Starosta, — powraca do nas, i *spero* że wierne i stałe nasze, a krwią pisane zasługi, hojnie wynagrodzi, w czém ja panom braciom moim, poręcznikiem jestem i będę. — *Feliciora* zatem dzięki Bogu następują *tempora!* a odpocząwszy po trudach marsowych....

— Oj prawda! przerwał znowu Bekieszka, trudy Marcowe dały się nam djabelnie we znaki!!! *Fallax fortuna fefellit!* (1), tułaliśmy się naten-

(1) Fałszywa fortuna zdradziła.

czas i włóczyli jak cygany, a brnęli po wodach i błotach jak czaple.

— A odpocząwszy po trudach wojennych — kontynuował Starosta, uśmiechnąwszy się tylko, zamawiam affekta panów braci do usług publicznych na sejmikach, i *dźwięk* znowu mości panowie!!! A tym czasem kto łaskaw odprowadzić rotmistrza swego w domowe progi, *humillime* suplikuję; bo zawsze wrota i serce moje dla was otwarte.

— Wszyscy! wszyscy! *Vivat* nasz rotmistrz! *Vivat!*

Bekieszka na ten tryumf, wykręcił kilka razy, jakby mistrz jakiego cechu chorągwią, i rzekł do Starosty:— a czy nie wypadaloby panie dobrodzieju ogrzać się po téj zimnej wannie kordyałem, bo *quis scit co za górą?*

— Dobrze; ale twoich pistoletów nie wystarczy dla wszystkich.

Jest jeszcze hlak u Hreczyny, a w jukach pańskich, puzdro z sześcią flaszami pełnemi jak rybie oko. Wbił zatem w ziemię swą chorągiew, i dostawszy wszystkie zapasy, podał Staroście flaszę i czarę srebrzystą z puzdra razem wyjętą.

— Za zdrowie waszmościów moich wielce mościwych panów i braci *Vivat!* zawołał Starosta — w ręce twoje panie Sebastyanie! Podniósł czarę nad głowę, potem ją wychylił duszkiem.

Znowu zabrzmiało huczne *Vivat!* i kilkanaście wystrzałów rozbiło się szerokiém echem po Wilji.

Gdy z rąk Starosty przyjął czarę pan Sebastyan, a ten mu ją nalewał — do... do... do... wykrzyknął on szybko. Starosta uśmiechnął się znowu, bo znał zwyczaj Bekieszki, który przy każdym nalanu sobie trunku zwykł powtarzać te trzy sylaby do... do... do... mając osobne do okoliczności zakończenie. Gdy naprzykład zwiedziony czy skąpy nalewający, zatrzymał się w połowie kielicha na tym jego wykrzyku, on do ostatniego do... przy-

dawał — lej! A gdy przeciwnie hojny towarzysz przelewał aż za brzegi, on przypinał syć...

Ileż to ludzi w codziennych okolicznościach życia, mają podobnie jak Bekieszka na pogotowiu słowo takiego przeciętego składu, dla dokończenia stosownie do potrzeby.

Gdy kolej uweselona wykrzykami i wystrzałami z muszkietów obeszła, Bekieszka wyrwał swój sztandar z ziemi i podniosłszy go zawołał: „Teraz moi panowie marsz.“

Przebywszy kilka pól i dyrwanów, stanął hufiec na drodze prowadzącej już wprost do dóbr Starosty. Na prawo ukazały się Żodziszki i obszerne tam jezuickie mury.— Oj! Oj! na ich widok zawołał Suroż: *Infima! Syntaxima!* Oj! Oj! wołałbym z zawziętym Szwedem mieć do czynienia, aniżeli z xiędzem Hinczą professorem Syntaxymy:— *Disce! disce!* a bił jak po desce, może on jeszcze i żyje, bo przed naszą wyprawą żył i czerstwo się trzymał. Mądra to pałka! bywało, kto oracyę najlepszą napisze? X. Hincza, kto palnie kazanie na jakie uroczyste święto? X. Hincza— kto djałog ułoży na Sw. Ignacy? X. Hincza.— Raz przyjechał do nas *insperate* x. prowincyał; respektem jego, uwolniono nas od lekcyi i wielki w klasztorze wyprawiono festyn; a nazywał się on *Pater Bayer*.

Cóż robi X. Hincza? Nakleja wielkie ramy papierem woskowanym, zrobiło się to przezroczyście jak szkło, zawiesza je na wysokich drągach, ostawia jedlinką i odarnuje to wszystko misternie w ogrodzie klasztornym, jakby ołtarz jaki.... Więc wyprowadzają tam wieczorem z wielką assystencyą i apparencyą x. prowincyała..... a w tym X. Hincza zapala z kopę lamp, które za tym swo-

im ołtarzem ponatykał..... Zaświeciło powiadam waszmościom, jak na rezurekcyi.... i cud! cóż waszmoście na to powiecie? czytamy wszyscy jak na dłoni na woskowym papierze:

Vivat nasz Xiądz Prowincyał *Baver!*

Nie darmo mówią—*Piper et papaver!!!* (1).

A tu xiądz rektor z kielichem pełnym (2) Batorego w rękę, jak zaintonował: „*Plurimos annos*“ a za nim jak huknie w jeden głos cały konwent: „*Plurimos annos! Plurimos annos!*“ to powiedziałbyś, że kilkadziesiąt dzwonów razem ryczało... my zaś malce, ucieszeni tą paradą, jak sygnaturki skacząc koło nich: *piper et papaver! piper et papaver!* wołaliśmy.

— Więc to waszmość, przerwał któryś z gromady, aż do tego czasu powtarzasz nie raz ten *piper et papaver!*

— Naturalnie, nie mogłem zapomnieć tak pięknej sonancyi tych słów.... Ale cóż? kiedy ten sam X. Hincza nadto gorliwie popędzał rozum do głowy swoich dyscypułów, a łacinę wbijał w nas, jak tępe ćwieki do głowy.... więc nie dotrzymałem placu i uciekłem z Żodziszek i od pana ojca, bo onby mnie pewnie, dawszy bolesną admonicyę, odwiózł nazad pod gorszą jeszcze ferułę X. Hinczy.

Już to dawno minęło, a jednak i, teraz gdy się mi zdarzy obaczyć choć z daleka Żodziszki, albo samego patra professora Syntaxymy, zawsze dreszcz mi przechodzi po skórze, i zdaje się, że on mię wraz uchwyci jak zbiega, i łacinę do głowy popędzać będzie.... Nie dawno przysniło mi się, że on stoi nade mną z dyscypliną i krzyczy *disce! disce!*... porwałem się do pałasza, ale on jak machnął swoją rzemienną bronią, tak przeciał mój

(1) Pieprz i mak.

(2) O miodzie jezuickim nazwanym *Batoryn*— czytać *Obrazy Litewskie* Seria 2-ga, *Brzezi Wilji*.

pałasz jakby klinga z masła była: ja w nogi, on za mną. Obudziłem się przecie, cały w potach—pytałem się u ludzi starych, a nawet u bab, Boże odpuść, co by ten sen znaczył? Wszyscy zgodnie tłómaczą, że jeszcze z Jezuitami będę miał jakąś sprawkę, i że na końcu oni mnie wezmą jak swego. Pięknie! gdybym teraz znowu musiał wrócić do Syntaxymy; ale *quis scit* co za górą? bo żyje jeszcze X. Hincza, a ja mu ostatniej pensy nie wydałem.

— Mają i ze mną Jezuita jakąś tam dyferencyę, rzekł Starosta, ale dotąd nie przyszło do formalnej rozprawy; powiadają, że aż pod same Budziłki, granicę prowadzić chcą.... Wóznemu, który mi pozwy ich przynosił, uszy obciąłem; zapłaciłem mu potem, bo się upokorzył i miał czém polatać głowę; tym czasem wojna przerwała te tam ich dukta, któreby pewnie pomieszał i prowadzących przepędził gdzie pieprz rośnie.... Ale tém bardziej teraz nie życzyłbym lojolińcom rozpoczynać na nowo ze mną grę.... *Dźwięk!* nie na to służyłem królowi i ojczyźnie pałaszem, aby mię kropidłem z mego gniazda wystraszano....

— *Quis scit* co za górą panie rotmistrzu.

Milcz do stu lucyperów, ze swoim: *Quis scit. Ego scio*, że za górą Budziłki.... kłusem więc panowie bracia! zawołał z humorem starosta;—blisko już jesteśmy domu, a tam koniki waszmościów staną nad żłobami pełnemi owsa.

— Jakoż przypuściwszy koni, wkrótce wjechali na wzgórze. Nagle tam stanął starosta... jakby skamieniał!... przy nim wstrzymał także konia Bekieszka i za nim wszyscy... i wszyscy w jedno miejsce wzrok zdziwiony utkwili....

— *Dźwięk!* wykrzyknął наконец nadzwyczajnym głosem i z nadzwyczajnym przyciskiem starosta, Budzilek niema! kominy tylko stoją okopcone.—Cóż się to znaczy?

— A ja mówiłem: *Quis scit co za górą?* rzekł poruszając głową Bekieszka.

Starosta przypuścił konia, i cała za nim gromada w jednej chwili była na miejscu, gdzie stał nie dawno dwór znakomity, jaki możnemu dziedzicowi mieć przystawało; a teraz rozległy się obszerne popieliska, opalone drewna i belki; i stały otworem paszcze piwnic z zapadłemi sklepieniami, nad niemi kilka wielkich popękanych kominów... a nigdzie ducha żywego!... Starosta zsiadł z konia, puścił go swobodnie; a rumak nie odstępował pana, zarżał tylko jakby na pustyni, i niecierpliwym kopytem popioł i żużle rozmiatał. Wszyscy w milczeniu i smutni pozostawali z koni; tłuszcze tę przed chwilą wesołą i hałaśliwą, jakbyś morem owionął... a Starosta stał zamyślony z oczami błakającemi się po pogorzelisku... — Dom który tu stał, rzekł nakoniec westchnawszy głęboko, i to był jedyny znak wzruszenia jego hartownej duszy, — zbudował pradziad mój Krzysztof, a prawnuk dziś chodzi po ruinach i zgliszczach.... Któż mu tę rozkosz sprawił?... Cha! cha! cha! Sapieżynce zapewne (1), bo wątpię żeby Szwed aż tu doszedł.... a gdyby i doszedł, któżby im powiedział, że tu mieszka nieprzyjaciół ich króla?...

— Stój panie Starosto dobrodzieju, przerwał Bekieszka. Nie przysięgaj, nie zaklinaj się; nie czyn tak strasznego *votum*, nim się nie dowiesz, kto temu winien? a nuż darmo przeklniesz i Sapiehów i sam siebie. Niech Bóg tego broni, bo „*nie darmo mówią piper et papaver!*“ i może być za to, szalony *piper* na tamtym świecie.

— Słusznie mówisz panie Sebastyanie, choć za długo, odpowiedział ochłonęły nieco Starosta — panowie bracia! puście tym czasem konie swoje na

(1) Sapiehowie byli partyi szwedzkiej.

ten ogród opuszczony; pięknie jak widzicie trawa porosła. A ty panie Sebastyane pojedź do wsi, która jak wiesz, tuż za laskiem tym, moim jakby *wirydarzem*, w którym nieraz z tobą biliśmy lisy i zające, i przyprowadź tu jakiego chłopka, abyśmy przecie się obaczyli cokolwiek, i powzięli wiadomości o tym pożarze, a potem radzić sobie będziemy.— Bekleszka zabierał się do odjazdu, gdy szlachcic któryś wprowadziwszy konia do ogrodu zawołał: stojcie panowie. Świeży dzisiejszy pokos, rosa z niego jeszcze nie oschła, i kosa nawet leży. Widać chłop uciekł, postrzegłszy nas, ale głupie chłopisko, zostawił ślad na wysokości i wilgotnej trawie; idźmy tym śladem, to go wytropim jak łosia, wlaź tu pewno gdzieś w szpalery i siedzi.

Szlachcic zgadł, bo śladem idąc, trafili pod starożytną i gęstemi gałęziami porosłą lipę, tam trop się zgubił, ale kryjący się na lipie chłopak wyrostek się znalazł.

— A otoż i ptak, krzyknęli. — No zleż chłopię, bo cię z muszkieta zsadzę jak szpaka, zawołał któryś.

Zlaźł więc biedny, a drżący ze strachu, dwudziesto blisko letni chłopiec, i pierwszemu szlachcicowi, jak długi padł do nóg.

Ośmielono go więc łagodniejszymi słowy i przyprowadzono przed Starostę; poznał go łatwo chłopiec, bo będąc z bliskiej wsi pode dworem, często widywał pana; zatem uspokojony całował mu ręce i klasnął we własne radośnie, bo mimo popędliwości swojej, Starosta obyczajem przodków naszych, dobrym był, przystępnym i łagodnym dla swoich włości.

— A pocóżes uciekał od nas? zapytał Starosta.

— Bo rozumiałem miłościwy panie, że wracają ci, którzy pałac pański i cały dwór zrabowali, a potem spalili.

— A któż to byli oni?

— Ja nie wiem; ojciec powiada, że Szwedy i konfederaty razem.

— A czemuście przynajmniej pożaru nie gasili?

— Oho! miłościwy panie, my wszyscy byli z całą chudobą i dobytkiem w lesie na tabunie, a w wiosce ani żadnego boskiego stworzenia; i pańskie koniki i bydelko było razem, i dla tego chwała Bogu uchoowało się.

— A gdzież ono teraz? gdzie dyspozytor Huszcza?

— Bydelko u nas po chatach na paszy, a pan Huszcza bodaj w Straczy czy w Zeladziu, bo i z Wyhlenietami toż samo zrobiło się, co i z naszym dworem.

Starosta wzdrygnął się, jakby go wąż ukąsił, lecz to wzruszenie mgnieniem oka, przeszło bez śladu, i zapytał spokojnie.

— Jakże to kaplica w ogrodzie ocalała się, bo w rzeczy samej, jedna stała ona, wśród powszechnej ruiny.

— A miłościwy panie, to cud boski — stara Magda, która i teraz sledzi co niedziela w Żodziszkach pod kościołem, włócząc się wszędzie, była natenczas i tu, gdy napadli te bezbożniki; wszyscy dworni uciekli, a nawet kilka groszy dali jej *wielmożnego*. Ona na własne oczy widziała i każdemu opowiada, jak obdarłszy wprzód zupełnie ołtarz święty, nieśli oni po kilka razy główne, i podkładali pod kaplicę, ale nie doczekali zapalić! nie! Ściany nie zajmowały się, a główne gasły, jakby je kto zalewał, to przelekli się sami, i odstąpili nagle od domu bożego.... (1).

Hurmem rzuciła się szlachta po tém opowiadaniu do kaplicy. Otwarta na wścieżaj i opustoszo-
na, a widoczne były około niej ślady podkładanego

(1) Miejscowe podanie.

ognia, czém jeszcze bardziej zdziwieni i przekonani, wszyscy upadli na kolana, przed wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego, malowanym na ścianie nad ołtarzem, z którego obraz główny, i wszelkie ozdoby odarto. Bekieszka zaś czyniąc się promotorem nabożeństwa zawołał:— *Litania ad sanctam Mariam Virginem* — „*Kirie Eleyson!*“

— A kiedy tu nie ma obrazu Najświętszej Panny, odezwał się któryś.

— Milcz trutniu! rzekł Bekieszka, gdzie jest syn, tam jest i matka.

„*Sancta Dei Genitrix!*“

— *Ora pro nobis!* Odpowiedział Starosta, a za nim wszyscy, i zmówili pobożnie litanie, którą Su-
roż od *syntaxy* jeszcze umiał na pamięć.

Gdy wyszli z kaplicy, Starosta rzekł:— panowie bracia! pomodliliśmy się i lżej na sercu....

— Cóż robić? stało się! Starosta Antowilski bez dachu nie będzie, pod którym chleb i sol dla przyjaciół jeszcze się znajdzie.... a tym czasem, i sami i konie wasze potrzebują wypoczynku. — Ponieważ, jak mówi ten chłopiec, krówki moje jeszcze się zostały i są tu blisko po wioskach, więc panie Sebastyane, prowadź tam braci; rostasujcie się swobodnie; jedną, drugą i trzecią jałowicę *Dźwięk* i pieczenie gotowe. Siano w odrynach dwornych być musi, owsa dadzą chłopki, na dziakło. Wódeczka i młodek znajduje się w Żodziszkach, a masz moją podróżną kasę u siebie w kieszeni panie Sebastyane, więc użyjcie wczasu panowie bracia ile się wam podoba. — Ja pojadę do Dobrowlan, do mojego przyjaciela Xcia Sanguszki (1), on siedział w domu spokojnie przez cały czas naszych rozruchów, i wie zapewne, kto mi ten fajerwerk wyprawił.... Ale was nie żegnam, bo czy do korda *pro salutem*

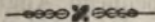
(1) Dobrowlany, dziś Graffa Günthera, należały wówczas do rządu Sanguszków.

patriae, czy jakiemu Sapieżyńcowi dać guza, dać tynfę! jak mówi nasz chorąży, zawsze panowie bracia, rzekł tu z zapalem podnosząc buzdygan w górę — *Stemus simul* (1). Ja z wami, wy ze mną! *Et porta inferi non prevalebunt!* (2). — Dźwięk. *Vivat* nasz Rotmistrz kochany! *Vivat* Starosta antowilski! wykrzyknięto jeszcze raz na rozstaniu.

Po téj perorze pożegnalnej, ale treścią i dobitnością słowa, najwłaściwszój ku zjednaniu zapалу i nieograniczonego zaufania szlachty, a dowodzącój, że Starosta znał dobrze tajemnicę takiéj wymowy i humoru słuchaczy; odjechał drogą ku Dobrowłanom, a Bekieszka dosładłszy swego stępaka, rozwinął chorągiew.

— A to na co teraz panie Sebastyanie? zapytano. Wojna nasza skończona.

— Dla ostentacyi i honoru JW. Starosty, gdy będziemy wchodzić do wsi jego, a *Quis scit* co za górą? Za mną zatem moiści panowie.



V.

Kraj jak morze, po przejściu burzy uspakajał się powoli.... partye, jak fale, przed chwilą walczące z sobą, rozlewając się teraz w coraz szersze tonie, gładziły te ruchome przestrzenie....

Na ziemi naszej okrutne ślady wojny i spustoszenia, znikwały zawsze prędzej niżeli gdziekolwiek. Na popieliskach wsiów i dworów, gdy rychło odbudowanymi być nie mogły, rozciągały się natychmiast łąny

(1) Stójmy razem.

(2) A bramy piekielne nie zwyciężą nas.

bujnych i gęstych zboż naszych litewskich, pokrywając jakby pięknymi kobiercami zgliszczą i mogiły:

«O jak tu grzmiało straszliwie!
A jaka cisza w téj porze!
Gdzie krew przyskała po niwie,
Trzoda igra.... rolnik orze.... (1).

I rolnik zawracał skibą ruiny, rozdrabiał na proch urodzajny, reszty piecowisk i cegieł, których gdzieś niedługo dobyte dzisiaj pługiem ułamki, udowodniają tylko wątpliwe podania, o istnieniu niegdyś na tém miejscu siedlisk ludzkich.

Tak nikły powoli i ślady szwedzkich tu zagonów; rolnik upewniony, że one przeszły i już nie wrócą, dobywał z ziemi swoje w niej ukryte zapasy zboża, spędzał z głębi lasów trzody i koniki, krzątał się około swój chudoby i gospodarki, krzepiąc się nadzieją spokojnego nadal użycia plonów swój pracy. Panowie ośmieleni powszechném przebaczeniem, ogłoszoném przez powróconego Augusta, wracali także do swych pustych pałaców, i do zwyczajnego pańskiego życia; chłopki zwozili tam skrzynie i kufrы ze sprzętami i bogactwami wiernym ich ręką do schowu powierzonymi, szlachta gnieździła się znowu po dworach i dworkach, a domy Boże zabrzmiały na nowo chwałą Jego.

Pan starosta antowilski, najuprzejmiej przyjęty przez księcia Sanguszkę (2) i kilka tygodni w Dobrowlanach przebawiwszy, jesień całą i następną zimę przepędził w podróżach. Był on w Warszawie i wrócił ztamtąd upewniony o względach i wdzięczności króla, a o życzliwości, przyjaźni i protekcyi Fle-

(1) Piosnka dawna — A. G.

(2) Wszystko co się tu pisze o związkach przyjaźni Niewiadomskiego z Sanguszką, jest prawdziwe i z pamiętników dawnych wzięte.



minga. Starosta nie tał się nawet z tém zjednaniem sobie ministra, owszem tak w pogroźkach na nieprzyjaciół swoich, którzy mu, jak on mniemał, Szwedów na Budziłki naprowadzili, jako i w obiecankach, dla przyjaciół, zwłaszcza gdy się kielichem gniew jego i zuchwałość, lub szczerość i przychylność podniecały, nie omieszkał nigdy, pochwalić się z przyjaźnią ministra ubezpieczającą go w groźnych przedsięwzięciach i zamiarach, lub mającą otworzyć jemu hojną rękę monarchy. Jednało mu to wprowadzie coraz większą konsyderacyę między łatwowierną szlachtą, lecz go w tém większą dumę i zarozumiałość wznosiło.

Wiosna znowu nadeszła, i Starosta z Antowila (1), gdzie ciąglą swą założył rezydencyę, odwiedził swego przyjaciela w Dobrowlanach.

Dnia pewnego, xiążę gospodarz domu, zaproponował gościowi wspólną przejazdkę do Budżulek o mil parę odległych, a w których on od owój fatalnej chwili swego tam przybycia, nie postać i o których wspominać nawet nie lubił, bo wspomnienie to drażniło go nienawiścią dla podpalaczy, nie zemszczoną a zatém i nieostygłą.

— Pocóż tam pojedziemy xiążę? rzekł Starosta wzruszony. Na pogorzeliśku, nie będę mógł, ani gdzie, ani czém, przyjąć cię.

— Nie idzie o przyjęcie mój Starosto, chce mi się, prawdę mówiąc, popolować w twoim tam wirydarzu, a gdzieśmy dawniej lisów bijali.... héj kochany bracie, dodał xiążę uderzając go lekko po ramieniu; pokój chwała Bogu w ojczyźnie!.... użyjmyż go....

(1) Majątek pod Wilnem, należący następnie do pana Radzi-szewskiego.

Po niefortunnej fortuna nastąpiła alternata.... a nadto zapomniałem cię przestrzedz, że Jezuici Żodziscy zabierają się z tobą do prawa *Circa granicium*, i bodaj po ten twój wirydarz sięgają; nie dajmyż im przynajmniej zwierzyny w nim będącej....

— Co... Co xiążę? po mój gaj?... po mój wirydarz?... wymawiając to coraz z mocniejszym przyciskiem, czerwienił się coraz mocniej — i znowu po krótkiej pauzie — Dźwięk! Dźwięk!... wymówił stłumionym i ledwo przez zwarte usta przeciskającym się głosem.... a jednak xiążę aż się przeląkł, rzuciwszy okiem na twarz jego....

— Szwedzi spalili dwór.... a Jezuici zabiorą ziemię — mruczał dalej z cicha a zapamiętale. Dźwięk!

Uspokój się starosto, przemówił wreszcie xiążę, postaram się, jako twój prawdziwy a dawny przyjaciel, załatwić ten interes *per viam mediationis*... (1).

— Nie xiążę — nic nie trzeba więcej, tylko wzajemnie przestrzeż ich xiąże, że ktokolwiek z nich stąpi nogą napastnie na moją ziemię, już ta noga głowy całej do klasztoru nie odniesie... Niech się popytają woźnego, który mi niegdyś pozew od nich podawał, gdzie jego uszy?... A choćby to był sam generał ich zakonu, nie tylko x. rektor Żodziski, to jednak cały nie ujdzie!!... i że daje im na to słowo, Jan Dadzigog Goleń Niewiadomski, Starosta antowilski. — *Verbum* xiąże! i to mówiąc ujął prawicę Sanguszki, a wstrząsając ją mocno — *Verrrbum!* powtórzył.

Przypomni sobie czytelnik całą opisaną wyżej postać starosty, a wnet wyobrazi i straszliwość jej w tej chwili.

— Dość tego — rzekł Sanguszko, popsuliśmy sobie humor niepotrzebnie.... jedźmy do Budzilek: ka-

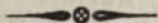
(1) Drogą pośrednictwa.

załem łowczemu, aby od świtu ciągnął z myślistwem w tamte strony; uderzym w trąbkę po drodze, to się całe skupi około nas, i pociągniemy do twojego wi-rydarza; spolujem go dziś, a jutro dalsze twoje knieje i jezuickie, za to, że nam na chwilę humor zepsuli.

— Jak to xiążę? rzekł znowu starosta, jutro? a gdzież nocować będziemy? pod gołym niebem? dla mnie, to mniejsza, więcej się pod takim dachem noccy z bracią szlachtą pokodem przespało nie dawno, nizeli w wygodnych komnatach, ale xiążę do tego nieprzywykłeś.

— Owszem *Mi Amice!* przeto żem nie wojował, masz mię za piecucha a wszakżem myśliwy *re et nomine* (1); wiem zatém z doświadczenia, że po facytach całodziennych, tak dobrze się śpi na trawie, czy łąwie, jakby i na pierzynie. Zapasów zaś na gębę, pełne torby u moich myśliwych; nie troszczę się więc o nie, i na koń starosto! A może Najświętsza Panna, która cudem obroniła się od pożaru, równaż łaską swoją zdarzy nam jaki niespodziany przytułek w twojem starożytném gnieździe?

Starosta pokiwał głową, a jednak oba dosiedli koni i z kilku dworzanami ruszyli w pole.



VI.

Ranek piękny majowy, wesołe okolice w których się zhodował, tam i ówdzie odzywające się trąbki i strzały, rzenie dziarskich koni, cały ruch i swoboda myśliwskiej ochoty, przypominającój tak żywo wo-

(1) Rzeczą i imieniem.

jenne obróty i życie, rozwiały zasepienie starosty, z którym się na te odwiedziny do siebie samego wybierał, i uspokoiły wzburzoną cholere na przeciw Jezuitom; oddał się więc rzeźwo zabawie i hasał z pięciem po błoniach.

W połowie drogi spotkał ich Bekieszka. Po rozpuszczeniu ruchawki, Bekieszka został przy starości, a raczej w dobrach jego, *per modum* rządcy, *per modum* rezydenta, i *per modum* pośrednika między panem i ekonomami; pędził więc żywot pożytecznie wprowadzie dla swego pryncypała, do którego jakieśmy to już powiedzieli, duszą i ciałem był przywiązany, ale wygodnie i dla siebie; bo na łonie obfitości darów Bożych, jakimi spiżarnia każdej pani dyspozytorowej napełnioną zwykle bywa, w folwarkach zwłaszcza gdzie dziedzic nie miewa rezydencyi. A za toż wieczorem przy słodkim krupniczku, jakże długo i pięknie opowiadał on otaczającej go z natężoną uwagą domowej gawiedzi, o cudach swęj waleczności, mężtwie w boju, mądrości w radach; lubo wiemy jaką jednostajną zawsze przestrogą rotmistrzowi udzielaną, ta mądrość się objawiała: o rozmaitych dziwniejszych jedno nad drugie zdarzeniach i wypadkach przeszłej wojny.... O inkluzie (1) Karola szwedzkiego i tym podobne.

Ze starostą widywał się on rzadko; podwoził mu czasem do Antowila suplement z intrat, bardzo uszczuplonych po wojnie; zdawał rapport z administracyi folwarków, którego starosta nie słuchał; przechwalał się ze swojej gorliwości i pracy, na co się starosta uśmiechał, a jednak mu dziękował; i wracał truchtem na swym bojowym niegdyś koniku, na spokojne leże i ekonomskie specyały.

Gdy podjeżdżał do myśliwych Bekieszka, zsiadł z konia, uwiązał go u brzeziny i szedł pleszo do

(1) Patrz przypisy.

zblizających się ku niemu xięcia i starosty, i z niskim pokłonem u strzemięcia każdego z nich, wymówiwszy: — *humillimus JW*. Starosty! *humillimus* Xięcia Pana! uściśnął oburącz, podane mu uprzejmie przez obudwóch, prawice.

Wśród tego powitania, xiążę, mrugnięciem niedostrzeżonem przez starostę, dał znak porozumienia Bekieszcze, na który on równymże odpowiedział.

— Zkądże to panie Sebastyanie? zapytał Starosta.

— Właśniem zrana objeżdżał pola pańskie w Budziłkach, gdym posłyszał głos trąbki: *Quis scit co za górą?* rzekłem sobie, i zwróciłem się w te strony; wkrótce spotkałem znajomych myśliwych xięcia, którzy zwiastowali mi szczęśliwą nowinę prezencji tu pańskiej, i że się zbliżasz *ad fundum* Budziłek; więc jako wierny sługa, na przyjęcie *adsum*; (1).

Bekieszka po téj perorze spojrział na xięcia, jakby zapytując, czy dobrze się zastosował do projektów jego, a potem na starostę, pobudzając go jakby do chluby przed xięciem z tak rozumnego sługi.

— Prowadźże nas panie bracie, rzekł znowu starosta, do tego fundum, z fundamentu zniszczonego, w którym się zachciało xięciu polować.

Pan Sebastyan na ten rozkaz dosiadł konia i czwałem popędził naprzód, a xiążę skoczył na bok w knieje.

Zwrót polowania tak zaprowadził myślistwo, że się zbliżono do Budziłek z téj samej strony, z której przed kilkunastą miesiącami, Starosta na czele swego hufcu, tamże przybywał.

(1) Przybywam.

Na ten więc sam wzgórek, z którego natenczas kominy tylko swojego spalonego domu postrzegł, gdy teraz znowu wjechał.... nagle jako i wtenczas osadził konia.... i osłupiał....

Dom nowy stał na zgliszczach dawnego; zniszczenia śladu nie było, wszystkie inne budowy w dawnym kształcie i miejscu; wszystko razem z ogrodem pięknymi sztachetami objęte, a kaplica dachem z miedzi błyszczała. Liczna służba krząta się po dziedzińcu i z komina kuchennego na bankiet się kużyło.

Zdumienie Starosty, przerwało huczne pojezdne, w kilkanaście razem trąbek, za zbliżającym się na czele całego myślistwa xięciem, brzmiające.... a na to hasło, Bekieszka we dworze rozpoczął salwę z kilku moździerzy.

Odgadł wtenczas Starosta i przyczynę upartej woli xięcia bytności w Budziłkach, i że jemu winien jest ten niespodziany a pański prawdziwie podarek i dowód przyjaźni (1); zsiadł więc z konia i biegł do Sanguszki, który skoczył również na ziemię, i przyjął go w otwarte ręce.

Uściśnienia czułe dwóch przyjaciół, trwały chwil kilka, i łzami im powlekły źrenice — Xiążę! rzekł nakoniec Starosta, czémże ci odwzięczę?

— Za przysługę zresztą nic nie znaczącą, a nagrodzoną mi stokrotnie twém szczerém uściśnieniem, i ukontentowaniem jakim sam się cieszę, że mi to wszystko wybornie się udało; wdzięczności mi żadnej nie winienes, lecz chceszże kochany Starosto, dać mi wzajemnej dowód twój przyjaźni?

— Mów xiążę! mów! *sic volo sic jubeo* (2) a ja gotów....

(1) Odbudowanie domu przez Sanguszkę, jest prawdziwém, domowa tradycja Niewiadomskich o tém zapewnia.

(2) Tak chcę — tak każe.

Nie Starosto, przerwał Sanguszko— *Sic rogo! sic Deus jubet!*... (1). Na tym wzgórku obaczywszy raz pierwszy pogorzelisko twego domu, zaprzysiągłeś w duszy, jak mi powiadałeś, że wysłedzisz rękę, która pod twój dach pożogę wniosła, i że się zemścisz.... Na tém więc samém wzgórzu, z którego twój dom stojącym znowu widzisz, daj mi słowo rycerskie szlacheckie i chrześcijańskie, że zemsty się odrzekasz, że poszukiwać nawet nie będziesz sprawców téj niehumanitarnej swawoli.

— Dźwięk! mości xiaże; tego rozkazu niespodzian byłem.

— I jakiegoż innego spodziewać się mogłeś starosto, od człowieka katolickiego, który codziennie mówi: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“... Wreszcie główny winowajca i sprawca nieszczęść naszych, przypłacił swą zgubą za klęskę kraju naszego... wszystkim się uspakaja chwała Bogu i godzi. Król przebaczył wspaniale wszystkim... Tyż jeden tylko...

— Dość xiaże! dość! przerwał wzruszony Starosta.— Niech tak będzie jak ty chcesz. Oto moja ręka... zapominam wszystkiego.

— A ja,— rzekł znowu Sanguszko, złączywszy własną z podaną sobie starosty prawicą,— nie zapomnę nigdy téj chwili... „*Magna victoria non tam alios, quam se ipsum pervicisse*“ (2), ty więc starosto wiktoryzujesz teraz najpiękniej, a głos prawdziwego przyjaciela, był ci w sekundzie!

„*Eloquentia cum amicitia juncta*“... (3). Tu starosta pragnący równaż sentencją zakończyć te solenne ekswiceracye, zaciął się.... pamięć żołnierska w łacinie zawiodła: xiaże więc, kończąc,— *sunt*

(1) Tak proszę... a tak Bóg każe.

(2) Wielkie zwycięstwo, nie tak innych, jak siebie zwyciężyć.

(3) Wymowa z przyjaźnią złączona.

bono duo puncta, rzekł; i oba znowu się serdecznie uścisnęli; a trąbki wesoło grały bez ustanku, a Bekieszka bez ustanku palił z moździerzy.



VII.

Ze wzgórką dwaj pryncypały zeszli do nowego dworu Budzilek; tam przy sutym myśliwskim śniadaniu, Starosta miał co krok powody dziękowania Xięciu: potem dalsze poszło polowanie i przeciągnęło się do zachodu słońca.

Nakoniec Sanguszko pożegnał starostę — chciałem, rzekł on, dziś koniecznie instalować cię w Budzilkach, bo jutro wyjechać muszę na kilka miesięcy do dóbr moich w Krakowskie, i bodaj aż na zimowe wróć obławy. Więc z dobrą myślą żegnaj cię, a bodajbym z równą tu cię powitał!...

Deus te ducat, et reducat! (1) odpowiedział Starosta, i rozłączyli się dwaj przyjaciele, w zamiarze obaczenia się znowu tu.... a w przeznaczeniu gdzie?—to obaczemy.

Starosta rozgospodarzywszy się w fortunie jakby nowo nabytej, im bardziej był ją wprzód zaniedbał, tém teraz coraz bardziej do niej się przywiązywał; lecz samotność ciężać musiała, człowiekowi do nieustannego ruchu i rozruchu nawykłemu; postanowił zatem huczne do nowego domu wyprawić inkrotowiny, i całą swoją komendę na ten obchód zwołać.

Bekieszka wysłany gońcem, objeżdżał zatem

(1) Bóg niech cię prowadzi, i odprowadzi.

braci szlachtę, zapraszając imieniem rotmistrza na inkrotowiny do Budzilek.

Przybywszy do którejkolwiek taklęj braterskiej osady, zbierał wszystkich jęj mieszkańców obojęj płci, do domu którego ze swych przedniejszych wojskowych kolegów, i tam przy sutym traktamencie, jakim miłego gościa raczono, objawiał cel swego poselstwa, a wdalszję konwersacyi, rozpowiadał szerokiemi słowy: jak xiążę cichaczem dom budował, jak to wszystko o jego głowę się opierało, jak rozumnie umiał wszystko ukryć przed starostą, i jak huczno palił z moździerzý rezurekcyjnych, na rezurekcyę spalonego domu.

— Wybierajcie się waspanowie, mówił on, huczno i bunczuczno! dla większję estymy i rekognicyi naszego pana rotmistrza, i przynajmnięj na cały tydzień z żonkami i konikami.

— Ejże! moście panie, a moje dobrodziejczki, dawał potęm, obracając się do gładkich a rumianych szlachcianek, i jedną ręką podkręcając wása, a drugięj dłoń z przysiadkiem ku nim obracając, jakby ich do tańca zapraszał: — Ejże dobywajcie z zielonych skrzyń, swoje *szuściki* (1) od niedzieli, i obuwaszcie się w trzewiczki z wysokiemi koreczkami, a utniemy *Lepietuchę* i *Koczerbichę* (2) popijając trójniaczek jak mlęcško Sprowadzimy ze Swira z dziesiątek muzykusów

Daj pokój panie Sebastyanie, daj pokój przerwał mu któryś z kolegów — po co tam nasze imoście potrzebne? czy nie wiesz bardzo słusznję sentencyi:

„Kto żonę szle w biesiady — konia w biegu poi,

„Z żony frycę — a z konia kalekę wystroi (3).

(1) Nazwanie sukni.

(2) Tańce staroświeckie, właściwe szczególnięj szlachcie okolicznję.

(3) Z dawnego rękopisu.

— Niechaj wam Pan Bóg odpuści! niechaj wam Pan Bóg odpuści! i wasze intencye, i wasze sentencye, i wasze kadencye! mówiły i powtarzały słysząc to, łaknące miodku, a niemające nadziei posmakować go, godne ze wszech miar a dyszkretne imoście..... I proszę panie chorąży dobrodzieju, dodawała nie jedna dygając uniżenie; proszę tylko nie zatrzymywać długo mojego pana Bałtromieja w tym rozgardyaszu, bo z taką fumą i fantazyą panowie mężowie wracają zawsze do domów, że potem dwóm albo trzém sąsiadkom zbierać się trzeba, i to jeszcze z wałkami, aby jednego uhamować.

— No kiedyż sama imość dobrodziezka przybyć do nas nie chcesz, mówił każdej Bekieszka, dajże mężowi flaszę miedzianą szrubowaną, aby trójniaczku przywiozł i dla żoneczki.

— Na nic to, na nic.... mości dobrodzieju, odpowiadały wzdychając żałośliwie, stroskane połowice, bo powracając.... w drodze.... ach! od-szrubuje flaszę!...



VIII.

Tymczasem Starosta w niezupełnie dobrym humorze oczekiwał gości. Sprowadzony bowiem dawny dyspozytor Budzilek pan Huszcza, obszerniej go zawiadomił, o pretensyi granicznej Jezuitów, i dukcie ich, zajmującym nie tylko znaczny obszar ziemi, ale nawet i znaczną część ulubionego włrydarza.

— Stanąłem, mówił on, panoczku z przekorą, gdy linię wycinać chcieli; a w niej wypisano było: że gdy dziedziczny pan tej ziemi, za *mandatem* królewskim, broni ojczyzny, nie godzi się aggra-

wować go nieobecnego grabieżą jego ziemi. Aże *armata manu* panoczku stanąłem, bo ze sto chłopów ze wsiów pańskich za mną z obuchami i hołoblami zagląda w oczy panu komornikowi, więc i zrejterował się. Miały być potém wizye i kondemnaty; ale żaden woźny nie podjął się téj sprawy, bo każdemu powiedziałem, że za powrotem pańskim, kuso będzie koło Piłata; słyszałem wszakże, że Jezuici mają na nowo prowadzić swoje granice, i czekają tylko sposobnej pory.

Starosta pokręcał głową.

— Jakież oni mają dowody na nasz las i ziemię? zapytał po niejakiem namyśle, nie wiesz?...

— I owszem JW. panie, wiem potrosze, bo potém zaprosił mię X. Rektor w niedzielę z kościoła na posiłek; nie przystałem od razu; ale nakoniec ustępując gorącym molestacyom, poszedłem przecię do klasztoru. Raczono mię *honeste*; a potém X. Rektor zaczął mi bardzo *moderate* justyfikować komornika, że on idzie zawsze w takim razie w ślad za dokumentami i za dekretem sądowym, rozkazującym mu odprowadzać dukta stron obu, których sprawiedliwość każda strona ma prawo dowodzić; że więc oppugnować go i zaprzeczać drogi, a tém bardziej stawać jakby zbrojno, jest buntiem przeciw prawu, że więc w takim terminie, mógłbym odpokutować więzą *in fundo*, i sowitą grzywną... Ale ponieważ zna mnie być człowiekiem poczciwym i pobożnym, ponieważ byłem niegdyś ich dyscypułem; więc X. Rektor ten raz mi przebacza, i kończy na duchownej admonicyi, w nadziei, że drugi raz tego nie uczynię.

Ja zatém uniżając się do nóg xiędzu rektorowi, ale nie apędując wcale jego tumanów, któremi oczy mi zamydlić chciał, rzekłem: że jako poczciwy sługa, ja bronię własności tego, czyj chleb jem; a jako szlachcic *et quidem*, nie lękam się wieży ani prawa; bo w niém stoi: „*neminem copti-*

vabimus, nisi jure victum“ o czém i X. Rektor do-
brodziej wiedzieć musi. A panu komornikowi nie
życzę drugi raz próbować swoich delineacyi; bo
albo znowu daremną odbędzie do naszego boru
wędrowkę, albo na jego instrumenta ja moich
użyję... a nakoniec zapytałem X. Rektora, zkąd
to prawo ichmościów do naszej ziemi i lasu, które
od niepamiętnych czasów do Budzilek należą?

— Przekonam cię, rzekł natenczas X. Rektor,
że mamy dowody, jako ta ziemia należała niegdyś
do Żodziszek i wyszukawszy w szafie między pa-
pierami jakiś stary mantyk: oto jest, rzekł dawne
ograniczenie Żodziszek, słuchaj waść:

„Przyszedłszy do trzech plit kamiennych wiel-
kich, na których krzyże są wybite.“

— Waszmość wiesz zapewne ubikacyę tych
trzech plit? zapytał mię X. Rektor.

— A wiem mości dobrodzieju—odpowiedziałem,
bo one są właśnie teraz graniczne między nami.

„Prolonguje się, (czytałem dalej) granica na
zachód słońca, jakby na strzelenie do czapki“ (1).

— Na strzelenie do czapki? co to ma znaczyć?
przerwał Starosta.

— A tak panoczku tak stoi w ich ogranicze-
niu.—Otoż oni mają jakąś flintę tak okrótną, że gdy
z niej Siemaszko ekonom ich z Tupulszczyny, wy-
palił od plit, w dyrekcyi na zachód słońca....

— To trafił w *centrum* słońca — he?

— Nie panoczku, ale trafił jak powiadają o kro-
ków jakich dwieście do czapki, powieszonęj na
sęku w naszym borze. *Relato refero*, ale to pe-
wnie, że ta próba była, nim się Jezuici do pro-
cessu zabrali;—dalej czytał mi X. Rektor:

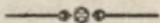
— „A ztamtąd kręto na południe, idzie grani-
ca do wodocieczy, jakoby na stajów pięć.“

(1) Widzieć przypisy.

— Otoż tym zakrętem panoczku, zajmują oni z połowę naszego lasu, i pola nie mało: a gdzie ta wodociecz, to wie chyba Pan Bóg i księża Jezuici.

Starosta kiwał głową, potem pokręciwszy a raczej targnąwszy wąsa:— Dźwięk mosanie! wykrzyknął, — oni do czapki, a ja do łbów palić będę każdemu, kto napastnie stąpi nogą na moją ziemię!...

— Wszakże— mówił dalej Huszcza— X. Rektor konwinkując mnie dokumentem tym, powiadał; że nie chce wcale certować processem z JW. panem, że nawet nie zacząłby tego processu, lecz że fundatorka ich Minkiewiczowa (1), już się o to z ojcem pańskim prawowała, i im Jezuitom razem z fundacją i tę młręgę wniosła; że owszém wołałby i życzył, załatwić to spokojnym i zgodnym trybem; ale że dla samój wiadomości o co rzecz idzie, niepowinienem przeciwie się przeprowadzeniu duktów... Lecz ja i słuchać dalej nie chcąc, ukloniłem się na *Valedykcję* i rzekłem „*Reverendissime! pater!* Huszcza, nie puszcza! i wyszedłem.



IX.

Obniosłszy rotmistrzowskie wici, Bekieszka wrócił do Budzilek. Nie łatwą dziś dla kogokolwiek byłaby funkcyja gospodarowania dla tylu i tego rodzaju gości, jacy się zgromadzić mieli; ale pan Sebastyan mistrz zawołany i przewodytor sejmikowych partji, doświadczeńszy teraz świeżem obo-

(1) Barbara z Komarów Minkiewiczowa z synem swoim księdzem S. T. Adamem Minkiewiczem fundatorka Kollegij Verbi-politani (?) albo Żodziscensis.

zowém życiem, obmyślił wszystko i wszystkiem wystarczył.

Pożar i rabunek pozbawił główną tę rezydencję starosty, wszelkich sprzętów, ruchomości i naczyń, od bogatych jego antenatów nagromadzonych, najlichnieszym niegdyś bankietom wystarczających; brak ten zastąpił Bekieszka, nawiozłszy furami z włości garnków, misek glinianych, drewnianych talerzy i łyżek secinami; a zapraszając jeszcze szlachtę mówił każdemu: „miejże panie bracie nos i gębę, to koniecznie, a reszta jak sobie chcesz.“

Ale najgruntowniejszy rozmyśl i dowcip okazał on w zaradzeniu najważniejszemu niedostatkowi. Gdy wracał bowiem ze swęj wędrowki, przyszło mu do głowy pytanie: „czémże pić będą“ wstrzymał więc stępaką... zadumał się... Szklanek z całej okolicy tyleby nie dostał, i wszystkieby pobili...

Nagle wielką myślą natchniony, uderzył dłonią w rozumne swe czoło i z chlubą przed sobą samym wykrzykując: „Nie darmo mówią *piper et papaver*!“ zawrócił się do Krewa, od którego był właśnie o milę tylko.

Miasteczko to od najdawniejszych czasów, i teraz jeszcze przez samych garncarzy zamieszkane; przodkowie ich może do kuchni Kiejstuta czy Jagiełły robili garnki; tam więc zebrawszy ich wszystkich i płacąc sowicie, w przeciągu dwóch dni, cały woz pięknie poliwaných kubków, za sobą wyprowadził.

W Budziłkaeh na miejscu, ostróźnie od ognia wyblerając pozycyę, pozakładał kuchnie, postroił szafasze na odpoczynek, i liczną z rzeźwych chłopaków wiejskich sformowawszy służbę, z zadowoleniem i zaufaniem czekał gości.

Jakoż w dniu naznaczonym, zaczęła się zgromadzać i pieszo i konno, i kałamaszkami na te huczne *inkrutowiny*, bracia szlachta, nie dawno

podkomędni starosty. Każdego witał on najkordyalniej nazywając po imieniu, wypytując się o zdrowiu imości i godnych konsolacyi... lub przypominając każdemu różne wojenne zdarzenia razem przebyte. Każdy zatém ukontentowany wchodził do izby; a tam znowu kielichem gorzałki na wstępie i na dobre zdrowie przez Bekieszkę, jako marszałka tego bankietu, przyjęty rozgaszczał się na jego prośbę, to jest odczepiał szablę i stawiał ją w kącie; tak, że w krótkim czasie hurt szabel wszystkie kąty zawałił.

Więc zaczęły się traktamenta, to jest, przedobiedne zwyczajne pobudzenie i wspomaganie apetytu, a gęste: do Wasana! wśród wrzawy i gwarów, jak *salwy* wystrzelając z tłumów, pędziły czarkę z ust do ust i z ręki do ręki.

W tym przerwał ochotę zajeżdżający przed ganek powoz, i wysiadający zeń przystojniejszej postaci i znakomitszego stopnia jegomość. Niespodziane te odwiedziny, zdziwiły nieco Starostę, tak jak tłum zgromadzony zdziwił gościa... Oba te wrażenia wydały się na twarzach witającego i witanego; lecz po chwili spójrzenia ciekawego na siebie, uścisnęli się czule, i długie, jak powiadali, niewidzenie się swe, wzajemną uprzejmością nagrodzić chcieli. Szlachta wszakże z ukosa poglądając na przybysza, nie wielką dlań skłonność czuć zdawała się.

Był to pan Koszczyc, o mil kilka mieszkający od Budzitek, ale sąsiad blizki innych dóbr starosty, niegdyś kolega szkolny i zażyły jego przyjaciel; nim się potem w rozdwojeniu narodu, i ich zdania i działania nie rozróżniły.

Pan krajczy (to był urząd i tytuł Koszczycy) był stronnikiem Stanisława Leszczyńskiego, i za

nim wszędzie publicznie stawał; lecz dziś gdy się wszystko w kraju jednoczyło i godziło, on do dawnych ze Starostą zateśknął związków, i przybył umyślnie, aby je odnowić; co gdy mu otwarcie i serdeczném słowem oświadczył, wzruszył go do głębi; więc oba ze ściśniętymi przyjaźnie prawicami, weszli do izby.

— Oho! pan krajczy! mruczała szlachta, bo on był powszechnie znanym, — pan Krajczy wykroiłby nam kurtkę, gdyby się jego praktyki udały. Patrzajcie jaki teraz pokorny przyjechał godzić się z naszym Starostą!.. a wartoby się zapytać jego mości „*Ubi fuisti* dobrodziej, kiedy Budziłki palono? możeś głównie pod kaplicę nosił?“

— Dajcie waćpaństwo pokój, odezwał się Bekieszka nie znacie krajczego, on do takich zbytków i *exorbitancyi* należeć nie może. To zacny pan, a rozumny, oho?...

„*Vir honestus castus,*

„*Paucissimis cybaminis pastus!* (1).

rzekł on podnosząc palec w górę. — Rozumiecie waspanowie czy nie, bo to jezuicka sentencya ale to znaczy, że pan krajczy wielki sensat i statysta... Panie Hołubie do Wasana!.. tak stłumiwszy rozterkę w zawiązku, rozkazał zastawiać stoły.

Wnet potężne garnki krupników i juszników, — szerokie misy, pełne wszelakiego pieczonego i gotowanego mięsa, nie mniejsze koldunów, szaltanów i kielbas, rozpostarły się na stołach i lechcącą wonią wzniewały pokusę gości. Bekieszka ustawiał wrzędy krewskie kubki; a szlachta krążąca około, połykała ślinę, muskała wąsy, i pasąc się tym mi-

(1) Mąż zacny i czysty, — Najdelikatniejszymi potrawkami karmiony. — Znaczy toż samo, co nasze przysłowie: *Szpakami karmiony*.

łym widokiem, dobywała [nożów] z kieszeni czekając na ostateczne zaproszenie, do stołu!

Jakoż wyszedł z osobnej komnaty, w której się z krajczym zabawiał starosta, i z uprzejmym ukłonem rzekł: „mości panowie bracia! suplikuję uniżenie, na co Bóg dał. Panie Sebastyanie traktuj przyjaciół.“

Bekieszka upoważniony tak od mecenasa, jakby na kontynuacyi tych zaprosin, wskoczył na stołek i donośnie zawołał:

„*Gościu nie dzmisie!*

„*Jesz szto u misie!!!* (1);

— *Bo quis scit co za górą?*

Na to rubaszne hasło, a dobrze wszystkim naticzas znane bo służyło za *przynukę* w bankietach, szlachta runęła do stołów.

Tymczasem starosta z krajczym, w osobnej, jakom to wyżej powiedział zabawiali się komnacie; prowadząc przy szklankach węgrzyna, polityczną, wprawdzie niezgodną, ale spokojną rozmowę.

Nowe w kraju wynikiły scyssye. Sasi nie chcieli ustępować z granic królestwa, i August nie ustalony jeszcze gruntownie na świeżo odzyskanym tronie, nie śpieszył się z ich wyprowadzeniem. Ciężkie prowdowanie i utrzymanie wojska, po wyniszczeniu tak srogą wojną mieszkańców, obudzało skargi coraz wzmagające się i coraz groźniejsze na króla w ogólności, a w szczególności i naj-

(1) U jednego z przyjaciół dziadka mego, w izbie stołowej na poprzecznej belce, a zatem nad samym jadalnym stołem, czytałem niegdyś to godło głęboko wycięte. Gospodarz zasiadającym gościom do obiadu, zamiast zaprosin i przymusu, wskazywał palcem tę belkę.

bardziej na Fleminga, którego wiedzano być duszą rad i wszelkich czynności monarchy. Rozruchy te i niesnaski, a wśród nich rozmaite układy, traktacje, związki i konfederacje, zajmowały wyłącznie Koronę, gdzie Sasi rozkwaterowani byli; lecz dochodząc w wieściach i intrygach aż w głąb Litwy, rozbudzały nadzieje jednych, uspokojenie drugich, a wszystkich drażniły obawą nowych w kraju zamieszkań i nieszczęść.

Dla tego też stan taki Rzeczypospolitej, był powszechną, wszędzie treścią i temą dysput i sprzeczek, które popsuly nie raz harmonię nie jednego zebrania, i nie jedne prawice ku jednaniu po świeżych kłótniach zbliżone, na nowo rozprzęgły.

I Starosta więc z Krajczym o Szwedach, o Sasach, o królu Stanisławie, o królu Augustcie, o związku wojska koronnego pod laską Gurzyńskiego na przeciw Sasom, rozprawiali... a wszystkiego złego przyczyną, pan Koszczye naznaczał Fleminga.

Bronił jak mógł Starosta swego przyjaciela i pryncypała, hamował się w zapędach, gdy go Krajczy w zapale dysputy Niemcem, szoldrą, i zdrajcą ojczyzny która go przyswoiła nazywał. Wychodził pokilkakrotnie do szlachty, już to, aby tém wyłączeniem się od niej nie ubliżyć braciom i jej nie obrazić, już to szczególnie, aby ochłonać z płonącego mu w głowie gniewu, i we własnym domu nie znieważać urzędnika, sąsiada i niegdyś przyjaciela, a rozumem i znaczeniem publicznem słynącego powszechnie. Ale dzień ten musiał być zapisany fatalnym w horoskopie Starosty... Wybieczki te nie tylko nieochładzały, jako sobie życzył, krwi jego, ale jeszcze bardziej mu ją wzburzały; bo ile się tylko razy pokazał między szlachtą, ta go z wesołemi i serdecznemi okrzyki otaczała w około, chwytala na ręce, podrzucała w górę, hucznemi wiwatami głużyła, i zmuszała za każdym razem wypić kufel trunku, jaki na tę chwilę

był u nich w rękach. A tak Starosta wracał z mniejszym jeszcze usposobieniem do pobłażania, z gorętszą głową i ze swarliwszym humorem, niżeli wyszedł: gotowy już był proch we krwi jego, iskry tylko potrzeba było....

— A wiesz Starosto, rzekł Krajczy, pociągając ze szklanki, jaką Koroniasze dają receptę na wyleczenie Rzeczypospolitej, i na uspokojenie jej zupełne?

— Cóż takiego mądrego? pomruknął Starosta? wychylając duszkiem swoją lampkę.

— Mądrego i bardzo mądrego — nawet *poesis i acuminose!*

— *Poesis i acuminose!* powtórzył Starosta. — Oto powiadają oni tak, i już to u nich przysłowiem:

«Najlepsza do pokoju byłaby arynga,

«Gdyby do Kenigsztejnu zasadzić *Fleminga* (1).»

— Dźwięk! wrzasnął Starosta, że aż odskoczył odeń Koszczyc. — Dźwięk! Niechże mię wszyscy diabli porwą z duszą i z ciałem, jeżeli dalej wytrzymam!... Panowie bracia! krzyknął potem rozpie-
rając drzwi na wścieżaj: nalewajcie pełna i ku mnie!... Sam, nalał swoją szklankę, i drżącą ręką napełniając szklankę krajczego, rozlewał wino po stole. Koszczyc patrzył na to z zadziwieniem, ale spokojnie.

Szlachta czerpała, toczyła, chwytala kubki, dzbanki, kieliszki, miski nawet, i z pełnemi tłóczyła się w kupę około Starosty; a on jedną ręką wzniosłszy swą szklankę w górę, a drugą groźnym giestem wskazując Krajczemu przygotowaną, i ogniste węń utkwivszy oko: — „Piję, rzekł dobitnym wyrazem, piję zdrowie JW. Jakóba Henryka hrabiego Fleminga, walecznego feldmarszałka wojsk saskich, a razem Podskarbiego Wielkiego Xięstwa Litewskiego! wiernego

(1) Z rękopisu tamtoczasowego.

sługi Rzeczypospolitej i Króla pana naszego! a mojego przyjaciela!... *Vivat!*—

— *A kto nie wypije!... Dźwięk!...*

— *Tego we dwa kije!* ryknęła chorem szlachta.

Łupu cupu! cupu łupu!

Tego we dwa kije!

Zwrotka téj dawnéj hulackiej piosenki, którą tylko co szlachta zachęcając się do pijatyki śpiewała, trafiła jak raz szczęśliwie, i przerwała odkazywanie Starosty; bo raz ją wyrzekłszy, nieodstąpiłby potem. Spełniono zdrowie....

Szklanka Krajczego stała nieporuszona.—

— Nie pijesz mości panie Krajczy? zawołał Starosta pieniać się ze złości, i tupając zapamiętałe nogą. *Dźwięk!* nie pijesz?

— Nie piję— odpowiedział spokojnie, lecz z powagą Koszczyc.— Nie piję, bom się nie spodziewał, aby równy mnie obywatel, szlachcic i zacnych antenatów potomek, odważył się splamić dom i imię swoje gwałtem!— Oslupiony Starosta tą spokojnością, i słowami mądrymi Koszczycy, stał chwilę jak wryty... Porwał potem szklankę Krajczego— *Dźwięk!* wrzasnął— i cisnął ją na ziemię, a ta rozpryskując się na setne szczątki, powtórzyła jakby echem *Dźwięk!...*— a teraz mości Krajczy!...

— A teraz, krzyknął Bekieszka, stojący w pierwszej izbie na stole, i tym sposobem górując nad całą gromadą zbitą u drzwi drugiej, i przerwał Staroście:— A teraz mości Krajczy, *Fora ze dwora!*— *Fora ze dwora* huknęła za nim szlachta— kto nie z nami, ten przeciwko nam! *Fora ze dwora!*— wrzeszczał nad innymi Bekieszka, bo *quis scit* co za górą!— Koszczyc w téj gwałtownej niby odprawie, zgadł łatwo trzeźwą wśród pijanych, roztropność Bekieszki; nie dał więc sobie tego powtórzyć, wziął czapkę, ukłonił się Staroście, i korzystając ze drzwi, które miał za sobą, do bocznych sionek

prowadzących, wyszedł.... zostawując Starostę nieopamiętanym z gniewu, ale niewiedzącym czy gonić, czy zostawić mu *salvę* swobodnej ucieczki?

Bekieszka nie dając czasu do namysłu, i stojąc zawsze na stole: — otóż, rzekł, pan Krajczy dobrodziej skonfundowany, *fugam dedit coelum cancer!* (1) to jest uciekł nieboraczek.... a z tego powodu powiem waszmościom kazanie...

— Z jakiego powodu? krzyknęła szlachta — co to za powod? Słyszeliśmy już nieraz to waspana kazanie, przypinałeś one do każdego powodu w obozie jak kwiatek do kożucha, i plotłeś jak na mękach...

— To nic nie szkodzi, odpowiedział Bekieszka; to nic nie szkodzi. Obrok duchowny mości panowie, to grunt! ja ze sto razy słuchałem tego pięknego kazania nim się nauczyłem na pamięć, więc oddaję tylko za swoje; — i nieuważając na żadne protestacye, z szeroką giestykulacją perorować zaczął.

„Najmilsi słuchacze (2). I rog nie zawyje, kiedy weń nie zadmuchasz! napisał myśliwy Marek *in capite stultorum*, to jest na twardym marmurze, załbiwszy łosia w niepołońskim lesie.“

„Nie trzeba do cudzych krajów jeździć, bo i tu „w dzień słońce, a w nocy miesiąc świeci, *proxima ardent lumina!* Darma się polityczne subjekta co-dziennie w oczach ludzkich z nową popisują manierą, kiedy rzymski Cycero nie mógł przebić muru „swoją łysą głową. *Nec hercules contra plures!* „co kraj to inszy obyczaj. *Quis, quis suum laudat!* „Nie podobala się na puszczy Zydom manna, *non*

(1) Uciekł nieborak — *coelum* — niebo — *cancer* rak, a tak *coelum cancer*, dwa łacińskie słowa wytłómaczone ściśle na polski język, właściwym tamtoczesnym dowcipem oznaczały się — *ibit sibi coelum cancer* — szedł sobie nieborak.

(2) Patrz przypisy.

„*omnibus apta*, i dla tego i teraz kielbas nie jedzą,
 „*caro, nisi cibus!* Dawna starożytnych filozofów
 „sentencya teraz się prawdzi *nemo mortalium om-*
 „*nibus horis sapit*: to jest, nie każdy śpi co chra-
 „pie; a Chaldeczyk czyta—koń dychawiczny sapie!—
 „Matematycy powiadają, że kiedy słońce w znaku
 „barana, natenczas koza miodu nie pije, zkąd ja
 „wziąwszy *motivum* dowiodę wam króciuteńko naj-
 „milsi słuchacze, że wilk przez posły nie tyje—i
 „zaczynam: Cyrus król hiszpański, miał ten zwy-
 „czaj, że śpiąc nie patrzył; na co w te słowa ubo-
 „lewa Psalmista.—*Oculos habent et non vident!*
 „oczy mają a nie widzą.—A cóżby o terażniejszych
 „czasach mówić, o których prorokował Dedalus bur-
 „mistrz ateński.—*Seculum erit depravatum!* ja-
 „koż jawnie to widzimy, że złość żydowska dotąd
 „nieustaje, ale codziennie oszukuje ludzi: *bibunt*
 „*iniquitatem sicut aquam!* Cyganie konie kradną,
 „*et populi Etiopium.*—Lutrzy w sobotę mięso je-
 „dzą: *O tempora! o mores!!!* Obaczywszy Izrael
 „Machabejczyka, kazał go zaprowadzić do żydow-
 „skiego miasta, aby Filistyńskie z wieży pastuszej
 „obaczył wojsko, aż patrzącie jaka zdrada. Judith
 „ucięła głowę Holofernesowi, *et sic pereunt feli-*
 „*cia regna!* Kiedy budowano babilońską wieżę, Da-
 „ryusz z łysiej góry taczkami kamienie woził a Dy-
 „dimus z Zalesia glinę, i niedokończywszy fabryki,
 „poszli na lełowskie piwo; na co *Cornelius a lapi-*
 „*de* pisze, *coepit aedificare, et non potuit con-*
 „*sumare*: a Hebrajczyk text czyta, *proxima te ca-*
 „*pe*, na głupich wszędzie kapie—*Pitagoras* rybak
 „żeglując po morzu, usłyszał na Farnawskich gó-
 „rach pięknie śpiewające Syreny, a *Eskulapiusz*
 „mydlarz, zrobił tak misterną kłódkę w Atenach,
 „że jój nikt bez klucza otworzyć nie mógł i nie
 „potrafił, o czém gdy dano znać *Mahometowi* kró-
 „lowi syryjskiemu, posłał mu on śledzia żywego
 „w dyamentowój klatce, aby go nauczył francuzkie-

„go języka, i za to dostał on przywilój dla *Brazylji*, stolicy *Solimacha* króla cygańskiego, od „nieboszczyka *Ameliana* Burmistrza, że tam psy „ani cła pobramnego nie dają, ani od przewozu płacą. — O szczęśliwe to kraje, o których *Eneas*z prokował w te słowa: *Aurora Mysis Amica!* Ale „cóż? kiedy *Origenes* odpowiada: *cui contigit nasci, restat mori!* co ażebyście wszyscy zrozumieli, „oczewistém moi mili słuchacze, tłómaczę wam słowem: nie trzeba kpów siać, sami się rodzą! *Hermolaus* filozof....“

— Dość, dość, krzyknęła szlachta, śmiejąca się do rozpuku, szczególniej z postaci rozkiełznanój i krzyżującej się we wszystkie boki kaznodziei. — Dość, a odwilż gardło.

— Dobrze, odwilżę gardło, i nos utnę podług reguły i zwyczaju ichmość kaznodziejów, rzekł *Bekieszka*, przyjmując podaną konew, a myśląc że *Koszczyk* już daleko.

Starosta tymczasem wypił nagle, jakby z gorącego pragnienia, jedną po drugiej dwie szklanki trójniaku, padł na szeroki zédel, i oddychał, a raczej sapał gwałtownie, słuchając niby kazania, a mruczając przez zęby i z przyciskiem: „do *Kenigsztejnu Fleminga!!!* — ze wzruszenia, złości i trunku, głowa mu gorzała, i pot bujnemi kroplami ciekł z czoła.

— A zatém najmiłsi słuchacze część druga! odezwał się *Bekieszka* na stole:

— „I któż tu już? chyba twardsze nad kamień „mający serce nie wzruszy się do pokuty, za ów występki i kryminał, wielkiego i całemu światu znanego *Macedoniej* króla *Alexandra*, który przyjechawszy do wyspy *Rugen* po gontowe goździe, zapomniał kupić kleszczów; a gdy mu nie stało mułtańskiego tytoniu, wyprawił obligosów swoich do „Tyru, z surowym w te słowa ordynansem — *Titire! tu patule*. — Ty tyrze! ty graj na lirze! potem

„wielce rozgniewany, że ich tam kwaśnym piwem poczęstowano....“

Tu przerwał zbliżające się do końca kazanie, zadyszany chłopiec i krzyknął: — gwałt! dobrodzieju. Jezuita zabierają nam ziemię i las dworny; przeciągnęli już sznurem żelaznym nasze sianożęcie, a wiadomo, że gdzie taki sznur przejdzie, tam trawa nie rośnie....

— Co? Jezuici zabierają las i ziemię? wrzasnął zrywając się Starosta, co ty pleciesz chłopie?

— Dalibóg panie nie plotę! Spędzili ludu jak mrówia, zastąpili wszystkie drożki do dworu; ja chyłkiem pełznąc pod płotami, ledwo dostałem się do lasu, a z lasu tutaj; na przedzie idzie sam xiądz, a w wiosce i wszędzie hałas, tertes dobrodzieju, tak że my rozumieli, że znowu konfederaty idą!...

Nieochłoniony z pierwszego z Koszczycem impetu, rozpalony trunkiem i nieprzytomny prawie Starosta, jęknął zajadle tak, jak gdyby go sklepienie domu przygniotło; chwycił z kołka muszkiet, pchnął chłopca przed siebie, i lecąc za nim przeze drzwi, wykrzyknął: — „kto mój ten za mną!...“

Szlachta rzuciła się do kątów, i rozchwylała pałasze; wrzeszcząc zajadle pijaném gardłem: ha! *Łojolince* chcą ziemię naszego rotmistrza zabrać? Nie doczekanie! nieopuścim naszego hetmana! Na koń! Na koń! za nim!

Bekieszka wśród tego nagłego zamieszania, które w mgnieniu oka się stało, nie miał jeszcze czasu zleść ze stołu, i stał nad tłumem wysoko, jakoby zastygł w rozkrzyżowanej postaci, na której go przerwano... Nakoniec opamiętywając się i widząc co się święci, a na co się zanosi, pomyślał że i teraz znowu uda się mu zręcznym conceptem zapobiedz gorszej awanturze: — „Mości panowie za-
wołał zatem — co się wam dzieje? bieżmy za Sta-

„rosta ale na co te szable? Tam gromada cała *Generys chamutyni*, dość na nich pałek i kijów.“

— A *quis scit* co za górą, panie chorąży? odpowiedział ktoś z tłumu, — alboż chłop obuchem tak ci makówki nie rozsadzi, jak ty *Czetnikiem* (1) alboż to ręka szlachecka do kija? Tfu! wstydź się panie Suroż!

— Nie udało się, pomyślał Bekieszka, zeskończył zatem ze stołu, i z całym tłumem biegł za Starostą, chcąc go najpierwszy dopędzić i hamować. Lecz zapamiętały Starosta, porwawszy konia któregoś ze swych gości, wpadł nań i pędził do lasu, za którym była dyferencya; chłop. leciał na drugim... i szlachta więc toż samo zrobiła, a tak liczna oklep kawalerya, puściła się za nim w tropy.

Ważka ścieżka wijąc się po lesie, jednemu ledwo jeźdcowi dozwalała biedz po niej; długi więc i ruchomy sznur jeźdców, przewijał się jak wąż w skrętach, którego głową był Starosta, a żądem śmiertelnym, muskiet ołowianym pińkiem nabity.

Bekieszka lecąc jak drudzy, uspakajał się myślą, że choćby Starosta i wystrzelił, to z konia, i nie pewną od kufła tylko co oderwaną ręką, spudłuje pewnie. Chłopi jezuiccy uciekną, a komornika i xiędza zabiorą w niewolę, i będą oni musieli wysłuchać za pokutę jego kazania... ale temu wybornemu planowi kampanji, los fatalny inszy wcale dał obrót....

Hałas, który się daleko od lecącej szlachty roznosił, zastanowił komornika i tłuszcę włościan za nim idącą, właśnie na wejściu z przeciwnej strony

(1) *Czetnik* — nazwanie klingi pałasza, oznaczający pewny gatunek tej broni.

do lasu. Xiądz administrator dóbr klasztornych był razem; uradzono tam bowiem wybrać dzień ogłoszonych okolicznie inkrutowin, w którym Starosta, zajęty gośćmi i hulanką, mniemano że nie dowie się nawet o przeprowadzeniu duktu. Zebrano włościan, dla zastrzeżenia wszystkich dróg i ścieżek, prowadzących z bliskich wiosek do dworu, i niedopuszczenia tam wiadomości, że się linija wyrębuje w las, do punktu wprzód próbą strzału do czapki, oznaczonego. Xiądz administrator zaś szedł szczególniej na to, aby w razie odsieczy Starosty, niedopuszczyć żadnego gwałtu ni boju, owszem uśmierzać włościan, zwykle w takich zdarzeniach zajadłych, i zapamiętałe do pobojuw się rwących; missya więc jego w sprawie wątpliwéj; była wszakże w dobrym celu.

Usłyszawszy krzyk w lesie i tentent kont, xiądz i komornik zgadli, że ktoś się wykradł z obłężenia i uwiadomił dwór; stanęli więc na miejscu, i strwożeni włościanie skupiali się za nimi.... W tém wypadu z lasu Starosta.... strzał się rozległ z rąk jego... Jezuita padł na ziemię!...

Fatalność tę kulę niosła... Starosta w pędzie trzęskiego konia, nie widząc prawie, i miotany zapalczywością, nie mógł regularnie dotrzymać celu, a jednakże wbił pień w pierś kapłana.... (1).

Chłopi na ten widok, i na widok szlachty licznej z pałaszami lecącój, sypnęli się w ucieczkę; za nimi szlachta przypominając sobie komendę „z kopyta“ rozbiegła się po polu, a kilku tylko i Bekieszka, przypadli ze Starostą do Komornika klęczącego już nad xiędzem i usiłującego dać mu jakikolwiek ratunek.... Starosta leciał doń jeszcze zapamiętały... lecz na widok krwi lejącój się strumieniem z piersi xiędza — na widok jego konwulsyjnego konania... stanął nagle.

(1) Prawdziwe.

— Co to jest? rzekł nie myśląc nawet co mówi, i nie rozumiejąc co widzi.

— Zabójstwo panie Starosto — odpowiedział Komornik — kryminał, i na poświęconej osobie kapłana!... Ratujcie dla Boga!... Ratujcie dla Boga! ratujcie jak możecie!....

— Któż go zabił? rzekł prawie obłąkany Starosta.

— Kto? odparł Komornik spójrzawszy z gorzkim uśmiechem na pytającego — Kto? ten co strzelił doń z lasu!...

Tym czasem szlachta zrywała sobie chustki z szyi; Bekieszka rozdarł sukienkę kapłana, obwiązywał go chustkami, operował rozmaicie, chcąc zatrzymać krew, a z nią upływające życie — ale na próżno!

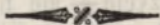
Ostatnie wysilenia umierającego były okropne... życie uderzone nagle i w czerstwość wszystkich swych sił i władz, w każdym członku ciała, w każdym nerwie, passowało się ze śmiercią i nie dawało się łatwo niweczyć... ztąd okrutne cierpienia i męki konającego w konwulsyjnych drganiach i kurczach, przerażały otaczających....

Starosta, którego ta jedna chwila roztrzeźwiła zupełnie, stał ponury i milczący ze wzrokiem wlepionym w umierającego, a przez ten wzrok osłupiały, wpajał się w duszę jego i zastygł tam w niestartych i krwawych piętnach, straszny obraz boleści i męczarni, których był sprawcą.... Dreszcz zimny wstrząsał nim, lub na przemian ognista czerwoność rozpalala się na twarzy i nikła wnet w trupiiej bladeści... a umysł obłąkany i zmęczony, nie jeszcze rozplątać, rozważyć ani skupić nie zdołał.

Tym czasem ktoś podniósł dzbanek wody o którą Komornik od początku wołał; wlane kilka kropel w usta orzeźwiły umierającego.... zwrócił on półobumarły wzrok na Starostę... potem złożył ręce

jakby ku modlitwie przy ołtarzu, i gasnącym głosem: — „*umieram....* rzekł — i... *przebaczam*“ ręce mu opadły... konał....

Bekieszka ocierając łzy wołał: „mów Jezus Marya, mów Jezus Marya!...“ Dosłyszał jeszcze i zrozumiał on te święte i zbawcze imiona, do których w codziennych myślach swych i modłach jako kapłan nawykł, i ledwo je wyjęknął.... Już Bekieszka oczy mu zaciskał — lecz zdrętwiałe powieki nie dały się zaciągnąć, a tak z otwartą i straszną żrenicą, został trup na ziemi i na przerażonej wyobraźni zabójcy!



CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Powieść nasza odtąd składać się będzie z przerywanych obrazów, jako i życie jej bohatera, z okresów i części jawiących się przerwanie tylko w podaniach za treść mi służących. Ponura pomroka oblekła tego człowieka, a razem lica jego i czoło, na którym dotąd i często, niezhamowanych zapędów, gniewów i namiętności, głębokie bruździły się ślady, lecz też częściej swoboda i szlachetność jaśniały.... Po skonie kapłana, powracał on w milczeniu i pieszo do domu, i wtenczas ledwo rozważać zaczął stan rzeczy obecnych i swój uczynek. Któryś szlachcic z tłumu przed chwilą tak hucznego, a teraz idącego za starostą w równémże z nim zamroczeniu, odezwał się wprawdzie, wrzekomo dla orzeźwienia ducha i humoru: — I cóż to osobliwego? laźl Jezuita na cudze pole, więc niech go teraz w kopcu granicznym zagrzebią, lecz nikt ani się uśmiechnął, na ten ladajaki koncept, a każdy potrząsł tylko głową. Bekieszka nawet kiwając nią smutnie rzekł: „*Fallax fortuna fefellit!*“ Starosta zaś ani się obejrzał.

Przerwały się więc w dniu pierwszym i fatalnie inkrutowiny, mające trwać cały tydzień; część gości

milczkiem i bez pożegnania, a część żegnając czulej nawet niż zwykle Starostę i zaręczając mu w tej jego złej dobie, jednostajną zawsze życzliwość i gotowość na zawołanie, rozjechała się do domów. Został tylko sam jeden i nieodstępny jego przyjaciel i sługa — *Bekieszka*.

Smutném jest spójrzenie na człowieka złym losem dotkniętego, a smutniejszym jeszcze, gdy się spójrzenie to, aż do wewnątrz jego zaciska!!! Walki tam, udręczenia i burze, miotające sercem i umysłem: i czy to tłumione, że tak powiem, w głębi i umykające się ludzkiemu politowaniu, czy gorzką łzą wzywające współczucia, póty nie zgniotą zupełnie duszy silnej, lub tkliwej, póki cierpienie nie jest zgryzotą... póki głos tłumiony często, nie umilkły nigdy, głos sumnienia, nie odezwie się z wyrzutem, i nie dobieje srogiem przekonaniem upadku z własnej winy, z własnej niezgody z cnotą;... i takim właśnie był stan nieszczęśliwego Starosty.

Nie raz on na placu boju widział konających, nie raz z własnej ręki śmiertelne zadawał cięcia, i obojętnie patrzył na krew płynącą po własnym mieczu... ale gdy mu to przypomnienie wchodziło teraz na myśl, wnet uczuwał różnicę żołnierza od zabójcy, zbrojnego nieprzyjaciela od spokojnego kapłana. Natenczas jakby mu się w głowie mieszało: dąsał się, ciskał, przeklinał Jezuitów; nie dla tego że mu ziemię zabierać chcieli, bo o tém ledwo już pamiętał, lecz że mu dali powód do kryminału. Gwałtowny z natury, dumny i nieugięty, dręczył się teraz i niejako rozraniał siebie, temi samymi kolecami własnymi, którymi z charakteru swego ranił wprzód innych; i tём bardziej,

że samotny, ponury, nieprzystępny dla Bekieszki nawet, sam na siebie swe wymierzał zapędy.

Wśród tych jednak zapasów i walk z samym sobą, twarda natura tego człowieka wstrząśnięta do głębi, rozpręgała się mimowolnie, i przysposobiała się jak metal ogniem topiony, do miększych form i ugięć... ale czas upamiętania się prawdziwego, to jest religijnego, nie przyszedł dlań jeszcze. Według tamtoczesowego przekonania, że ofiarą dóbr ziemskich okupić się można od kary wiecznej; Starosta niespokojnemi do siebie słowy, ścigając rozpierzchnione swe myśli;— „dam, mówił, Jezuitom wioskę. — Niech corok odprawia „exekwie za zabitego... i milczą!... milczą... „niech milczą!... czyż dotąd nie rozchodzi się „już wieść daleko, że m kryminalista?... Oh! „miłe słowo dla mych nieprzyjaciół... dla Sa- „pieżyńców! Starosta Antowilski kryminalista!!! „Może już się robi wizya (1) trupa, *wizya* trupa!“

Na tę myśl wstrząsał się Starosta, bo w tej chwili, straszna także *wizya* przed oczami mu stawała. Trup nurzający się we krwi... konający w męczarniach... przebaczący w ostatniem tchnieniu śmierć swą zabójcy swojemu i patrzący nań potem zastygłą a nie zawartą żrenicą!... zakrywał on natenczas obiema dłońmi wzrok swój. jakby nie chcąc patrzeć na ten krwawy obraz... i głębokie, może pierwsze w życiu jego burzliwém, wydobyło się z piersi westchnienie z bolesném słowem: „Bóg mię ukarał!... Bóg mię ukarał!“

— Bóg i pocieszy panie Starosto! Bóg i odpuszczi — rzekł wchodząc Bekieszka, który nieustannie śledził, to pode drzwiami to pod oknami, co się działo z jego ukochanym mecenasem; a podsłuchawszy te słowa, osądził trafnie, że przyszła chwila, w której mógł już pomówić z nim, i ulgę

(1) Obejrzenie trupa, przez woźnego, ze świadkami.

niejaką mu przynieść. — Jezulci prawować się nie będą...

— Jak to nie będą? przerwał Starosta. — Niech się prawują... ale waść widać mnie szpiegujesz, — i wnet łagodniej dodał, bo zgadł łatwo powód tej troskliwości swego wiernego sługi i przyjaciela — to nie dobrze panie Sebastyanie.

— Broń mię Boże! ja tylko chciałem donieść jasnie wielmożnemu Staroście, że byłem dziś rano na przesłuchach w Żodziszkach.

— I cóż tam? zapyta Starosta, jakoby obojętnie, a w duszy niecierpliwie.

— Najpewniej że sprawy o kryminał nie będzie; dziś dzień trzeci do akcyi; a zatem termin prawny *wizyi* i *obdukeyi* mija; tym czasem w klasztorze *cittissime* o tém wszystkém, trup stoi na katafalku i jutro na pogrzeb wzywają wszystkich, nawet własnym wioskom przyjsć nakazali; więc jak pochowają trupa, to naturalnie *finitum opus*.

— I dla czegoż to Jezulci tak sobie cierpliwie znieść to postanowili? pytał dalej Starosta.

— Ot mości dobrodzieju ludzie i tak, i owak mówią; ale wszyscy prawie zgadzają się na to: iż Jezulci wiedząc, że pan Starosta wielu Szwedów wytępił, darują mu przecie, że tam jakoś przypadkiem i katolikowi, a nawet xiędzu dostało się.

Starosta usiadł... opuścił głowę na piersi... zadumał się.... a Bekieszka postawszy jeszcze chwil kilka, wyszedł na palcach, mniemając, że się uspokoi i usnie nakoniec po trzech dniach i nocach bezsennych.



II.

Nazajutrz po téj rozmowie dzwony kościoła Żodziskiego, od poranku uderzały na pogrzeb zabitego kapłana; kościół się napelnił pospółstwem i ciekawą szlachtą; bo rozmaite, dziwaczne a stosowne do tamtoczasowych religijnych wyobrażeń krążyły wieści. Jedni mówili, że Starosta stać będzie podczas żałobnego nabożeństwa pod lampą, z obnażonemi ramionami i biczować się krwawo; inni, że publiczną odbędzie spowiedź i złoży na trumnie zabitego, zapis wszystkich dóbr swoich Jezuitom, a potem otrzyma rozgrzeszenie, i wnet przyoblecze na całe życie sukienkę zakonną. Inni znowu, mniej ufni w pobożność i skrucę Starosty, a wnioskujący podług jego hajdamactwa i humoru, ostrzegali, aby się mieć na ostrożności, bo *Dźwięk* napadnie ze swemi zawadyakami, i wszystkich rozpędzi, a klasztor zrabuje... i tym podobnie.

Tymczasem na prostych marach całunem tylko pokrytych, stała otwarta trumna, i w niej leżał zabity w téj samej krwią zlanéj sukience, w której go strzał osiągnął; nizkie mary dozwalały każdemu łatwo przypatrywać się trupowi, i ze zgrozą rozważać bezbożny postępek Starosty; co téż wszyscy napelniający kościół, nim się zaczęło żałobne nabożeństwo, czynili.

Przybył i pan Koszczyc, rzucił smutném okiem na mary, usiadł w ławce i modlić się zaczął; Bekieszka w tłumie ukryty toż samo czynił.

Wtém rozpoczęło się żałobne nabożeństwo; zapalono lampy i świece w około trumny; cały konwent, kilkudziesięciu kapłanów z dyakonami wyszło za celebrującym, dla oddania ostatniej posługi bratu swemu.... dzwony znowu się ozwały i lud upadł na kolana.... W cichości przerywanej tylko ponurym jękiem organu wtórującego przeciągłym i uroczystym modłom kapłanów, dokończyła się msza, a celebrujący z assystencją przeszedł od ołtarza i zasiadł przed trumną dla odśpiewania podług obrzędu, ostatniego *Requiem* nad zwłokami.... Natenczas ukazał się na ambonie kaznodzieja.... socyusz niosł za nim i postawił mu obok, czarną i w czarnym lichtarzu gorejącą świecę... lud z zadziwieniem patrzył, i nie mógł zgadnąć co by to znaczyło.... Ale Koszczyc zgadł wnet co się stać miało.... wysunął się z ławki niespokojnie — przeciskał się do ambony, i znowu się cofał niecierpliwie, usiadał i wstawał.... a tym czasem mówca rozpoczął kazanie *textem* bardzo prostym, ale sposobem wymówienia go, wzbudził powszechnie wrażenie; wzniosł on oczy i ręce ku ołtarzowi i rzekł błagalnie: „*Requiem aeternam dona ei Domine!*“ Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Bez przygotowanej karty, mówił on z natchnienia. Kapłan sędziwy, twarz blada, włos białe, oko wklęsłe i przyćmione pod wysokim czołem, głos z początku drżący i niepewny, objawiać zdawał się wewnętrzną walkę czytrwoję; wyrazy westchnieniem przerywane, pełzły mu z ust jakby niechętnie, i zdawało się nie raz, że wnet się utną, i trudna zakończy się mowa.... Ale gdy zwykle we wstępach ogólne o śmierci uwagi, zaczął już wiązać z obecnym widokiem, gdy pobożne i przykładne życie zabitego, zaczął ze śmiercią jego męczeńską stawiać obok — stopniowo oko mu się rozplomieniało... krwawemi plamami twarz się za-

zeglą.... głos się wzniósł i wzmocnił. Grzmiał na koniec potęgą przeważnego słowa i uroczystego natchnienia, gdy zwracając apostrofę do trupa zawołał: „Powstań! Powstań męczenniku! Powstań, kapłanie! i daj świadectwo przed ludem, niewinności twojej, i niewinności braci twoich!... Powstań!...“ Lud się cofnął z przerażeniem od trumny. — Zdawało się, że trup się wzrusza... że w słowach piorunującego kaznodziei jest moc cudotworcza... że wskrzesza zabitego. — „Ale nie! — rzekł on dalej — trąba cię archanioła zbudzi kiedyś, i staniesz oko w oko ze swoim mordercą, którego sprawiedliwość Boska potępi na tenczas, tak jak go kościół nasz dziś potępi.“...

Tu głos z tłumu przerwał niezwykłym sposobem kaznodzieję: „*Justitia coram Deo, est misericordia.* — Sprawiedliwość według Boga, jest miłosierdzie!“ zawołano. —

Kaznodzieja zdziwiony, zamilkł na chwilę, szukając okiem po tłumach, ktoby to wyrzekł. W gromadach każdy około siebie oglądał się; i wszyscy zwrócili oczy na Koszczyca, bo on to rzeczywiście wymówił w uniesieniu, którego w sobie stłumić nie mógł.

„Tak! rzekł kazujący, nie dając słuchaczom dłuższej chwili na rozwałę; — Tak! sprawiedliwość według Boga jest miłosierdziem! Ktokolwiek to wyrzekłeś, dobrześ rzekł! po chrześcijańskuś rzekł! Większe jest miłosierdzie Boskie od grzechów całego świata! ale to miłosierdzie jest dla żałujących za grzechy, dla pokutujących za nie, dla serc skruszonych, dla żebrzących, ze łzami politowania Boskiego w niebie, i kościoła jego na ziemi....

„Lecz tenże sam Bóg wszechmocny, *Judicabit populum in aequitate* (1), powiada Apostoł; czy-

(1) Będzie sądzić lud w sprawiedliwości.

„liż więc wszystkich złych i dobrych, upamięta-
 „łych i zatwardziałych równémże okrywając mi-
 „łosierdziem, wszystkim bez różnicy otworzy nie-
 „biosą? O nie zaiste! nie wejdą tam razem: —
 „uciemniony i ciemieżca; bogobojny i bezbożny.
 „Kapłan cnotliwy i jego zabójca: bo i dla kogoż
 „byłoby piekło? komuż to wyrok przepowiedzia-
 „ny: *Idźcie przekłęci w ogień wieczny!*... Niech-
 „że i do kościoła Bożego nie wchodzi, oni razem!
 „niech wpośród bogobojnej trzody Chrystusa, nie
 „postanie człowiek ze skalaną występkiem duszą
 „i zakrwawioną ręką. — Drzwi świątyń pańskich
 „zawierają się przed nim! Dobrodziejstwa sakra-
 „mentów świętych ujmują się mu!!!

Tu zapął kaznodziei, który go dotąd ożywiał,
 zmienił się w jakieś gorączkowe wysilenie; mó-
 wił z przestankami, potrzebując jakby coraz no-
 wego powietrza do piersi.... słowa mu znowu
 w jeden ciąg nie wiązały... głos drżał mu, i oko
 przed chwilą ogniste, łzawą mgłą się powlekło...
 wyraźnie zbliżał się on do czegoś, co mu wyrzec
 trudno było.

„Co zwiążecie na ziemi — będzie zwiążano
 „w niebie!...“

Lud przerażony stał w oczekiwaniu osłupiały,
 jakby jeden człowiek, wzrok niespokojny wlepiw-
 szy w ambonę.

„Krew zabitego pada na głowę zabójcy!...!
 „*Jan Dadzibog Niewiadomski*.... Wyklęty!“
 kościół jęknął na to słowo.

„*Anathema!*... *Anathema!*... *Anathema!*...“
 rzekł, i z ostatniem wysileniem, jakby konwulsyj-
 nie targniętą ręką świecę gorejącą na ziemię ci-
 snął.... sam upadł na kolana i z głośnem łka-
 nłem modlić się począł, bodaj błagając Boga o
 przebaczenie i wyklętemu i wyklinającemu.

Kapłani wszyscy i kler assystujący zdmuchnęli także i przewrócili świece (1). Płacz rozległ się po kościele; a nakoniec celebrujący zaintonował *Requiem* po dwóch jakby umarłych.



III.

Oparłszy głowę na dłoni, siedział Starosta w smutnych pograżony myślach, układając rozmaite projekta i pośrednictwa do pogodzenia się z Jezuitami, a żadnego nie mogąc dobrać takiego, któryby go z widmem zabitego przesładowującym go bezustanku i stojącym mu bez przerwy przed oczyma, mógł pogodzić.

Postanowił on opuścić Budziłki, i wyjechać, sam nie wiedząc dokąd; lecz czekał powrotu Bekieszki, który za wiadomością jego pojechał na pogrzeb do Zodziszek. Ujrzał go nakoniec na dziedzińcu, i skwapliwie wstał i postąpił naprzeciw wchodzącego.

Bekieszka na progu stanął, przeżegnał się... i runął potem do nóg Staroście; objął go za kolana i zaryczał płaczem wielkim.

— Co to jest panie Sebastyianie? co znaczy to przeżegnanie się i płacz? Wstań, daj pokój.

— Ach! panie mój! dobrodzieju mój! nie odstąpię od ciebie, choćby do piekła razem z tobą!... mówił becząc jak dziecko Bekieszka.

— Co bluźnisz? co to znaczy?

— Wykleli cię! wykleli cię Jezuici! bezbożni oni sami! Tyś tylu heretyków pobił! a oni cię katolika wykleli!

(1) Zwyczajny obrzęd wyklinania.

— Ale cóż się stało! mów regularnie, bo nie domyślić się nie mogę.... Jak to wykłęli?

— A tak, rzekł powstawszy i płacząc zawsze; ale jednak opamiętawszy się nieco, i opowiadając rzecz całą, choć bezładnie i pod wpływem okropnego wrażenia, jakiem był dotknięty: — z początku szło wszystko regularnie... msza wyszła żałobna, lamp wiele, świecy wiele, a każdy z zapaloną świecą....

— Ale mniejsza tam o świece, przerwał Starosta.

— Nie, nie mniejsza, bo i świece były w tym fatalnym akcie, a najbardziej i mnie, i wszystkich to przeraziło, że trup leżał w trumnie odkrytej i zakrwawiony....

Starosta wzdrygnął się. — Ej! dajże mi pokój z tym trupem! koniec końcem, cóż potem?

— Cóż? ja zaraz pomyślałem: *Quis scit* co za górą? Ale gdy po mszy wszedł na ambonę; spojrzę kto? aż mi nogi odjęło! mój dawny professor *Syntaxymy* X. Marcin Hincza. Postarzał wprawdzie, wygląda jak jaki pustelnik pokutujący; ale pomyślałem zaraz, oj! będzie źle, kiedy jego na oratora w takim ciężkim terminie wysadzili: nie darmo mówią *piper et papaver!*...

— A na miłość Boga! krzyknął Starosta zniecierpliwiony.

— Otoż jak wpadł on w ferwor, jak zaczął krzyżować się, jak zaczął prażyć piekielnym ogniem pana, a beatyfikować zabitego; tak przyszło do tego, że chciał go wskrzesić! — Powstań! powstań! po razy kilka wołał; ja byłem aż pod chorami, bo przez tłum weisnąć się nie mogłem, ale ci co bliżej byli powiadali, że trup się poruszał, i że wstałby pewnie, gdyby nie pan Koszczyk. Ot to przyjaciel pański! choć my go wypędzili. On przerwał te exorcyzmy i wzywając miłosierdzia Boskiego, osadził trupa..... Hincza porwał naten-

czas świecę, którą pierwój na ambonie przy nim postawiono, a wszyscy dziwowali się dla czego, i cisnąwszy ją na ziemię, krzyknął: — „Jan Dabizbog Niewiadomski— *wyklęty!*“

Oh! gdybyś tam był miłościwy mój panie, a tu znowu rzewniej płakać zaczął; gdybyś tam był, tobyś sam płakał, bo cały lud płakał i jęczał; a narzekał, że nigdy takiego przykładu, w naszym Żodziskim kościele nie było. Jedni Jezuitom, drudzy panu ciężko złorzeczyli, aż ściany kościoła trzęsły się... i ja wytrzymać już nie mogąc, prawie bez pamięci dopadłem konia i przyleciałem tutaj; choć za mną krzyczano: — „nie jedź do wyklętego! nie jedź!“..

Ale chwała Bogu nie jeden ja niedbam na Jezuitów, ani na ich klątwy; ot ktoś i drugi przybywa; rzekł Bekieszka postrzegłszy na dziedzińcu wozek saski— ach! to pan Krajczy!

Starosta wybiegł na przeciw Koszczycy, i uściskając go, rzekł głęboko wzruszonym głosem:— Daruj! daruj panie krajczy! Oh gdybym cię nieobrazil, gdybym cię nie wygnał onegdaj, nie przyszedlbym zapewna na ten niefortunny event....

Koszczyc spójrzawszy na Starostę, zdumiał się gdy ujrzał, jak okrótną na nim zmianę te dni kilka wywarły. Gwałtownego człowieka — gwałtowna objęła ruina; twarz, oko, czoło, dziesięcią mu laty postarzały.... Tém więc bardziej dotknięty, wzajemnie go uściskając:— nie mówmy rzekł, o tém co się stało; radźmy raczej Starosto, w czém ci przyjaciel w złej doli pomódz może?

— W złej doli. Oh prawdziwa zła dola! Prawdaż to, co mi Suroż teraz prawil, że mię Jezuici wyklęli?...

— Prawda.— Oba milczeli przez czas niejaki Staroście krew zawrzała i naglém uderzeniem w głowę, głos mu tamowało.... Koszczyc czekał, czém

się pierwszy impet jego objawi, dla stosownej perswazyi.

— Ha! więc mię spychają do piekła! wrzasnął nakoniec w pół obłąkany Starosta, i zgrzytnął zębami, jakby już potępieniec.— Do piekła! Sprawiedliwie! Dalibóg sprawiedliwie! bo szatan wmieszał się w tę sprawę! Dźwięk! szatan, lucyfer! Ja zabić xiędza nie chciałem.... byłem pijany... byłem nie przytomny... Boże mię ubij! jeżeli celowałem do kogo... ale djabeł poniósł kulę w pierś Jezuity!... ha dźwięk! dźwięk panie Krajczy! mnie więc szatan porwie! Ale nie jednego! przysięgam nie jednego! ja lubię kompanję... Cha! cha! cha!— Postać jego, gdy to wymawiał, straszliwą i prawdziwie piekielną była.

Wprzód nieszczęście, zgryzota, żal nawet krużyły go niejako, i wycisnęły piętno głębokiego cierpienia na zbolałym czole... ale teraz rozpacz! rozpacz bez nadziei.... Oh! rozpacz koi się nadzieją!.... ale odbierz nadzieję! odbierz występnemu nadzieję w miłosierdziu Bożem, a wnet serce mu skamienieje i zrobisz zeń zatwardziałego i wzgardzającego karą, której uniknąć nie może, zbrodniarza!

Niestety! któż te nadzieje ludziom odbiera? Niedyś, jako w zdarzeniu tu opisującym się fanatyzm; fałszywy tłumacz praw Boga, surowość jedynie jego nieprzebrąganą i gniew ogłaszając, zawierał niebieskie, a otwierał piekielne tylko bramy grzesznikom. Dzisiaj, bezbożność i bezreligijność, jeszcze gorzej przysługują się ludzkości: tamten kazał przynajmniej lękać się Boga, ta od wszelkiej wiary, a zatem i od wszelkiej obawy uwalniając, rozpasuje też na wszystko.... a w nieszczęściu, w cierpieniu, w zgryzotach, zupełniej jeszcze zabija nadzieję i do rozpacz przywodzi przekonaniem, zwierzęcego nicstwa człowieka.

Niewiadomski w rozpacz przeklinał ludzi, któ-

rzy go od Boga odpychali; tegowieczny niedowiarę, jakimkolwiek go właściwem i cechowem nazwiemy imieniem, w rozpaczę przeklinałby Boga, jeżeliby jeszcze w niego wierzył, że go tworząc bez celu i miłosierdzia, na cierpienia tylko skazał...

Daruje mi czytelnik tę małą dygressyę: w rozważaniu serca ludzkiego w upadku, same mi się pod pióro nastęrczyły te dwie przyczyny, łączące się ostatecznością w jednostajnym skutku na zgnębę człowieka.

— Uspokój się Starosto, mówił Koszczyc biorąc go za rękę, uspokój się i pomówmy *frigida sanguine* (1).

— Wiem, wiem panie Krajczy, żeś mię w kościele nawet bronił.... Suroż mi to rozpowiadał. On mówi, że Hincza wskrzesiłby pewnie zabitego, gdybyś exercyzmu nie przerwał! cha! cha! cha! toby była sztuka jezuitcka. Niechby wstał! niechby wstał! wszak on teraz wie nieomylnie żem doń nie mierzył...

Koszczyc trzymał zawsze rękę tak wyrzekającego Starosty, i czuł jak on drży cały....

— Miłość Boga!.. gdzież tu miłość Boga!... oni w Imię Boga wyklinają a Bóg litościwy, Bóg przebaczał!..

— Tak właśnie i ja, przerwał Krajczy, odezwałem się w kościele: „*Justitia coram Deo est misericordia.*“

— Starosta Antowilski wyklęty!!! Dźwięk! A klasztor żodziski spalony... Spalony, zniszczony, kamień na kamieniu nie ostoi się. Czyż szlachcic, żołnierz, który krew za kraj i wiarę przelewał, nie znajdzie już przyjaciół? mnie spalili Szwedzi heretycy, lutrzy... więc Jezulci chcą żebym

(1) Zimną krwią.

i ja jak Lubomirski w Radoszkowiczach (1) został lutrem... i zostanę—dalibóg zostanę!...

— Cóż potem Starosto? w żadnej religii palić i zabijać nie godzi się; to z Bogiem, nie z Jezuitami sprawa.

— Ależ jam go nie dobrowolnie zabił... on mi konając przebaczył... konając... ha! Straszno to wtenczas było panie Krajczy! bardzo straszno... gdy o tém myślę... a myśli téj odpędzić nie mogę.... gdyby nie ta mara...

Pójdźmy panie Krajczy do izby... ciemno mi w oczach... Jezuita przeklinając mnie świecę pogasili.... może to dla tego i ciemno mi... dreszcz mię jakiś przejmuje... Krajczy po zmieszanej téj mowie, po obłąkaniu oka, i po twarzy nadzwyczajnie zmieszanej Starosty, poznał, że próżneby w téj chwili były dlań łagodzące i uspakajające słowa, że nad zdrowiem raczój jego czuwać należało; że stan ten gorączkowy, być może początkiem choroby umysłu lub ciała, albo obojgu razem; jakoż zgadł.

Zelazna ta organizacya złamaną, nakoniec została.... cios po ciosie go uderzył, a obadwa nadto silne i potężne!!!

Zgryzota, upokorzenie, bojaźń publicznego rozgłosu zbrodni, nakoniec religijna zgroza, tak wzburzyły i zapaliły krew jego, że się bez ciężkiego przesilenia ostudzić nie mogła: jakoż ledwo weszli do domu, padł Starosta na łożo, osłabiał z razu, a potem najgwałtowniejsza maligna reszta mu odebrała przytomności i w niebezpiecznych objawiła się symptomatach.

(1) Patrz przypisy.



IV.

Od dni kilku Starosta Antowilski leżał, albo w osłabieniu blizkiem, jak się zdawało skonania, albo w nagłych paroxyzmach zrywał się z łoża z nadzwyczajną siłą, odpychał strzegących go najtroskliwiej Suroża i Koszczyca, i biegł w pola, pędzony widmami swych wyobrażeń, zawsze z jednego źródła wylęgłych, zawsze w krwawych i piekielnych postaciach objawiających się obłąkanej jego głowie. Gdy wieczorem dnia jednego, przed północą prawie, zajechał przed ganek wóz kryty parokonny, Bekieszka wyszedł na spotkanie; wysiadł zeń człowiek, szerokim czarnym płaszczem okryty, którego twarzy pociemku dostrzedz nie mógł spotykający; a gdy w pierwszój izbie zdjął płaszcz z siebie, aż się cofnął Bekieszka poznając w nim xiędza Hinczę. Koszczyk także zdziwiony, zastąpił mu drzwi od chorego, i rzekł:

— Mój ojczy, Starosta jest śmiertelnie chorym, i widzieć się z nikim nie może, tém bardziej z tobą xięże.

— Panie Krajczy, odpowiedział xiądz, wiem o tém że Starosta śmiertelnie chory; przybywam więc, mając na sercu twoje własne słowa: „*Sprawiedliwość w obliczu Boga jest miłosierdzie!*“ To mówiąc odsunął, poważném skinieniem ręki, Koszczyca: — Nikt za mną — rzekł, — to spowiedź — i wszedł do chorego. Wyraz ten odjął wszelkich świadków temu, co się dziać lub mówić mogło między kapłanem, i bliskim zgonu penitentem....

Koszczyc w religijném uszanowaniu dla świętego obrzędu, aby mimowolnie nawet nie posłyszeć coś ze spowiedzi, wyszedł do innych izb, wymawiając tylko z westchnieniem: „teraz wszystko w ręku Boskim!“ a Bekieszka idąc za nim i nie mogąc rozplatać powodu przybycia Jezuity, kręcił głową i mruczał przez zęby: „nie darmo mówią *piper et papaver!*“

W okolicach Krakowa, u podnoża wieża Karpatów, w pośród pięknej okolicy, którą późna jesień z ozdób letnich огоłociła, i szarą przed-zimową powlekła barwą; z publicznej drogi wyprowadzającej z granic państwa, zawracała się w bok szeroka z buków ulica, i przedłużając się na ćwierć prawie mili, dochodziła do wspaniałej bramy, za którą wielki murowany i murem opasany wznosił się zamek.

Wczesny zmrok jesienny ociemnił tę okolicę, a wiatr mroźny pędząc wichrem szron zlodowaciały, ćwiczył po twarzach opóźnionych podróżnych, i przyspieszał niecierpliwego ich ku domowemu ognisku kroku.

Powoli i z utrudzeniem szedł natenczas tą ulicą i zmierzał ku zamkowi, człowiek w zwyczajnej i często w tamtym wieku postrzegać się mogącej, a teraz z malowideł tylko znaniej, pielgrzymiej szacie. Miał on na sobie z grubego sukna, krojem zakonnego habitu, sutannę, ściśniętą czarnym skórzanym pasem, rożaniec z figurą Ukrzyżowanego drewnianą ale misterną roboty, wisiał mu na piersiach, a w ręku miał kij długi, na którym u wierzchu przywiązana tykwa, jako widome godło pobożnego wotum, pożyteczne razem na zapas wody ochładzającej znużonego wędrowca. Okrywał zaś to wszystko szerokim płaszczem z podobnie grubego paklaku, a głowę, kapturem odeń, chronią-

cym go i teraz od zimna i szronu. I taka błędna postać zakolała do zaryglowanej bramy zamkowej dziedzińca.

W kraju naszym, to obcym najazdom, to wewnętrznym rozruchom, bezustannie otwartym, przemożni panowie, feudalnym naówczas obyczajem, mieszkani swę w twierdze zamieniali. Następnie nadszedł czas spokojnego potem odrętwienia, gdy nieużyteczne baszty w gruzy rozsypywać się zaczęły, gdy łańcuch zwodzonego mostu zerdzewiał i zerwał się, gdy „woda dysząca w fossach z pod zielonych pleśni“ (1) wsiękla w ziemię, dostarczając tylko wilgoci zasilającej trawy i chwasty, któremi wał główny porastał; a pałace i zamki zamiast groźnych warowni, otaczały się roskosznemi ogrodami *Armidy*, w których drzemał zniewieściał wynek walecznego naddziada.

Strażnik bramy otworzywszy furtę, spójrzył na przychodnia; a w zmroku nie mogąc dobrze rozpatrzeć téj wysokiej, czarnej brodatej, i niezwyčajnego pozoru figury, przytknął drzwi i głowę tylko wytknąwszy, zapytał niespokojnie: — ktoś waść?...

— *Laudetur Jesus Christus! Nobilis Polonus sum*, odpowiedział przychodzień, — *Romam et Hierusalem proficiscor*....

On prawi po łacińsku, przerwał drugi towarzysz strażnika może to jakiś pielgrzym, toć nie nowina; puść go i nie trzymając na mrozie, prowadź do xiędza Kapelana; Jezuita rozmówi się z nim i zrozumie.

Na to słowo Jezuita, podróżny cofnął się i zatrzymał... lecz czy to noc coraz ciemniejsza i burzliwsza, czyli jakie inne wewnętrzne poczucie, zdeterminowało go że wszedł; a gdy się blaskiem pochodni pod sklepieniem bramy oświecił, przekonali się tém bardziej strażnicy, kto on był rzeczewiście, i

(1) Grażyna.

jeden z nich powlódł go ku zamkowemu skrzydłu, do mieszkania kapelana.

— *Laudetur Jesus Christus!* powtórzył pielgrzym, wchodząc do izby siedzącego nad brewiarzem xiędza.

— *In saecula saeculorum*, odpowiadał ten podnosząc głowę — a to jakiś *peregrinus*... pielgrzym — *unde venis mi frater* (1) *et quo tendis!*

Kapelan z pospolitego natenczas zwyczaju, zapytał łacińskim językiem, który tak był powszechnym, że z nim całą Europę przejść można było; lecz na myśl że go przychodzień mógł niezrozumieć, miał też same pytanie powtórzyć po polsku, gdy ten odpowiedział uchylając pokornie głowę: — *Nobilis Polonus sum, Romam et Hierusalem proficiscor, pro peccatis meis.* (2)

— Jakże się nazywasz Mości Panie?

— *Joannes Deodatus Nescio.* (3)

— *Nescio!* co za nazwisko *Nescio!* — rzekł zdziwiony kapelan i patrząc w oczy pielgrzymowi, czekał wyraźniejszej explikacyi.

Ten znowu powtórzył: — *Joannes Deodatus Nescio.*

— *Nescio! nescio!* i ja *nescio!* a chciałbym przecież *scire* (4) i cóż *nil dicas?*.... pielgrzym milczał.

Xiędz spójrzył znowu kilkakrotnie w oczy przybytemu, i przechadzając się potem zamysłony po pokoju; — Byćby to mogło... mówił sam ku sobie — byćby to mogło... i nie raz się zdarzało... pokuta

(1) Zkąd przychodzisz mój bracie, i dokąd dążysz?

(2) Szlachcic polski jestem, do Rzymu i do Jeruzalem dążę za grzechy moje.

(3) Jan Dadzibog *Niewiem.*

(4) A chciałbym przecież wiedzieć, — i cóż, nic nie powiesz?

ciężka!.... i grzech musiałże być ciężkim; — powiedz mi przynajmniej pobożny człowieku, rzekł nakoniec xiądz do pielgrzyma, czy peregrynacja twoja jest pokutą naznaczoną ci przez spowiedź świętą, czy *proprio motu* przez ciebie samego namysłaną?

— *Pro peccatis meis*— odpowiedział pielgrzym.

— No! rozumiem, więc ci te tylko słowa wymawiać dozwolono.

Pielgrzym skinieniem głowy potwierdził ten domysł.

— Pomiedzy ludem chrześcijańskim dojdiesz zapewne do Rzymu i z temi tylko słowami na ustach; wszędzie cię zrozumieją, i nikt ci przytułku i posiłku nie odmówi; ale dalej między poganami... Bóg chyba będzie twoim szczególnym opiekunem; pogadamy zresztą o tém, odpoczniesz tutaj, ja cię władzą moją kapłańską na te dni odpoczynku od szluby rozwiążę, i nabierzesz sił do długiej twój jeszcze wędrówki..... Muszę cię wszakże zaprowadzić do pana tego zamku, on cię wesprze.

Pielgrzym odmawiającem poruszeniem głowy, odpowiedział na tę propozycję i wyjmując z kieszeni swój sutany kawał suchego chleba, okazał go xiędzu i razem tykwę na kiju.

— I to rozumiem— rzekł znowu kapelan— idziesz o żebranym chlebie; twarda zaiste pokuta dla człowieka nawykłego może do zbytków w posiłkach i czynach.... ale wytrwaj człowiecze! Bóg skruche serca, i pokorę twoję i cierpliwość twoję policzy!

Pielgrzym z głębokim westchnieniem wznosił oczy na figurę Chrystusa, na ścianie umieszczoną...

— Musisz pójść jednak za mną, — mówił dalej Jezuita, — bo zacny pan tego domu nie darowałby mi, gdybym cię pokryjomu wyprawił; — weszli więc na górę do pałacu i przez wspaniałe podwoje do wiel-

kiej sali, w której gospodarz z kilką gośćmi, przy rozplamionym kominie rozmawiali.

— Przyprowadzam— rzekł xiądz— waszej xiążęcej mości pielgrzyma idącego do Rzymu i do ziemi świętej... co to jest, gdzie uciekasz?

Pielgrzym bowiem sunął się nagle do drzwi; przytrzymał go silnie Jezuita i, — mój bracie, rzekł, nie jesteś bodaj tym, za kogo uchodzić chcesz, kiedy unikasz oka pocztowych ludzi.— Tym czasem i wszyscy od komina zbliżyli się ku drzwiom; pielgrzym kaptur na oczy nasunął tak, że z trudnością twarz jego dójrzyć można było i milczał.

— Cóż to za tajemnica? kto on jest? zapytano.

— Przed chwilą, mówił kapelan, wprowadzono do mnie tego człowieka, którego z szat i postaci osądziłem pielgrzymem, szukającym przytułku na dzisiejszą noc burzliwą. Na zapytanie kto jest, i dokąd dąży? odpowiedział kilką łacińskimi słowami; na insze każde pytanie, milczał; ztąd wniosłem, że albo dobrowolne *votum*, albo naznaczona pokuta na spowiedzi, w milczeniu mu odbyć tę peregrynację nakazała; więc go do xięcia pana przyprowadzić postanowiłem, chociaż obiecywanego mu wsparcia na drogę odmówił ukazaniem suchego kawałka chleba i swojej tykwy; ale teraz gdy uciekać chce, nie wiem co o nim mam myśleć.

— To jednak rzecz szczególniejsza, rzekł pan, którego kapelan xięciem nazywał i obracając się do pielgrzyma: — Bracie, mówił, po co ukrywasz tak starannie twarz swoją! nie masz czego się wstydzić; owszem gdy pielgrzymka twoja jest na chwałę Boską, jest pokutą za twoje grzechy; a któż z nas bez grzechu? Za cóż więc się zapierasz przed chrześcijanami, i może równemi jak ty grzesznikami.... opowiedz nam zatem kto jesteś, dokąd zmierzasz? i jeżeli można powód twój pobożnej wędrówki.

Z widocznym przymusem i z cicha, wyrzekł pielgrzym zwyczajną swoją odpowiedź: — *Nobilis Polonus sum, Joannes Deodatus Nescio, Romam et Hierusalem proficiscor, pro peccatis meis.*

— Co za głos? zda mi się znajomym! zawołał zdziwiony xiażę, i przystąpiwszy do pielgrzyma, podjął mu gwałtem kaptur kryjący twarz jego.... Niepewne światło z pośrdka sufitu od kilkaramiennego świecznika padające, zaledwo dozwoliło dostrzedz oblicze blade i trudem długiej podróży wycieńczone, oko pod wysokim czołem wklęsłe, a zachodzące łą i utkwione w xięciu: — byćże to może? mówił on w niepewności.

Lecz ły u pielgrzyma przepełniwszy żrenicę, bujnemi kroplami spadały już po twarzy... xiażę natenczas wykrzyknął: — Tak! to on! Ach starosta!... Nie dał dokończyć pielgrzym rzucając się mu w objęcia... lecz razem przykładając rękę do ust jego, rzekł uroczyście.

— *Joannes Deodatus* NESCIO!

Wszyscy obecni i Jezuita stali w zadumieniu.

Po długich uściśnieniach xiażę ocierając oczy rzekł — Niechże tak będzie jak chcesz, tak! *Joannes Deodatus Nescio*; co do słowa wytłómaczono: Wiem o wszystkiem, wiem, pisano do mnie ztamtąd; nie wiedziałem tylko o twém przedsięwzięciu téj peregrynacyi, w której niech cię Bóg wspiera, a zdrowia i sił dodaje — kiedyż wrócisz?

— *Nescio!* odpowiedział pielgrzym.

Xiażę Sanguszko (zgadnie bowiem czytelnik, że to był on) trzymając rękę pielgrzyma; — xięże Ignacy, rzekł, z tego co widzisz rozumiesz łatwo, jak blizkim jest mojego serca ten pokutnik; objawiając zupełnie stan jego i nazwisko, zgwałciłbym jak mi się zdaje *votum* jego....

Pielgrzym poruszył głową na znak potwierdzenia.

— A zatem polecam ci *Dominum Nescio*: duchowną perswazyą do której jako kapłan masz pra-

wo, a jako członek *Societatis Jesu* większe jeszcze niżeli zgadywać możesz... spraw aby *peregrinus* nasz, odpoczął tu czas niejaki; aby przyjął na długą jeszcze drogę swoją, pomoc przyjaciela i brata...

Pielgrzym skinieniem głowy zaprzeczył propozycji wzruszonego do głębi xięcia i jeszcze raz uściśnawszy go czule, odszedł na noc za kapelanem.

Nazajutrz gdy rano zapytał xiążę o pielgrzyma, już go w zamku nie było.

W Litwie, a około Żodziszek szczególnie, dziwnie się o staroście antowilskim rozchodziły wieści; powodem do nich było, że on powstawszy z długiej choroby, i odprawivszy gdzieś na dni kilka, nieodstępującego odeń ani na chwilę Suroża, zniknął sam z Budziłek, gdzie? dokąd? niewiadomo.

Pan Koszczyc objął rząd majątków, okazując na to upoważnienie starosty; a na zapytanie wszystkich, a nawet troskliwego Bekieszki, odpowiadał jedném słowem: *Nescio*. Bekieszka zaś, który swych funkcyi administracyjnych w Budziłkach nieopuścił, nie chcąc wyznać własnej niewiadomości; albo z tajemniczą miną pokręcając wąsa, mówił: *quis scit* co za górą, albo gdy niezaspokojeni tém ciekawi, ubliżające staroście tworzyli wnioski; — oho, ho! nie bójcie się, odpowiadał — nie darmo mówią *piper et papaver!* temi jedynie słowy i siebie i drugih w wątpliwych kojąc myślach. A nakoniec, po latach kilku wnioski i wieści i ciekawość ustały.

V.

Piękneż to i tkliwe święto w Kościele chrześcijańskim, dzień zaduszny! Łączenie duchowne żywych z umarłemi... wszystkie uczucia serc tkliwych i kochających, łączą się w téj chwili i wznoszą w niebiosa, do oczekujących tam zda się na nie najmiłszych nam istot rozdzielonych od nas ziemskim życiem, złączonych z nami duszą... Smutny pogrzebowy obrząd! a jednak nie budzi on ani przykrych ani gorzkich wrażeń, napelnia nas owszem czułem upojeniem żalu i pociechy razem,—*miłości* i *nadziei*, które trzecia ich towarzyszka *wiara* wznosi do Boga!

Ile osób w Kościele, tyle wspomnień!!! ile słów tyle modłów, ile łez, tyle rzewnej tęsknoty, tyle smętnego a miłego obcowania z temi, do których się wzdycha.... Ot nieszczęśliwa matka, okiem swéj duszy, upatruje między aniołami ukochanego swego dziecka i widzi go uśmiechającego się ku sobie, niemowlęcém obliczem... Oto dwoje starych rodziców, pytają syna dorodnego młodzieńca, dla czego drżącym ich krokom na tym padole, ujął podpórę?... I widzą go podającego im za podpórę, krzyż na miejscu swego ramienia, i ujmują krzyż z pociechą i uspokojeniem, i wspierają się na nim w krótkiej już drodze swojego żywota!... Ot cała osierocona i żalobą okryta rodzina, wzywa pośrednictwa do Boga i błogosławieństwa z niebios

tój samej ręki, która niedawno konająca ją błogosławiła; i widzi tę rękę, i słyszy modły i błagania ojca i opiekuna swego do Stwórcy, za swoją tu dolę na ziemi... Oh! bo widzimy natenczas i czujemy tych wszystkich, których i za grobem kochamy, do których dusza ulata, i za których się modlim!

Noc; kiry okrywające ściany świątyni, mdłe światła lamp pelgających wśród ciemnoty, a rzęsiszysze około trumny, jakoby około widomego godła przeznaczenia człowieka; uroczyste chory kapłańskich pieni, i na przemian ponure mruczenie i szepety ich modlitw, jakby tajemnicze z duchami rozmowy; wszystko to, przenika do głębi dusze skupione, ogarnia i oblewa zmysły i serca nasze religijném uczuciem trwogi i miłości, uniesienia i pokory przed Panem życia i śmierci; przed Panem nieśmiertelności!!! nieśmiertelności, po której nieograniczonym szlaku, snują się gęściej w tej nizieli w którejkolwiek innéj godzinie, między niebem a ziemią: myśli, westchnienia i nadzieje ludzkie.

Taki więc obchód odbywał się w kościele Żodziskim, napełnionym ściśle zgromadzeniem wszelkiej płci i wieku. Po wszystkich rytuałach kościelnym oznaczonych nabożeństwach i modlitwach, odbytych przededniem, wyszła nakoniec msza wielka... i milczący dotąd organ, ozwał się żałobnymi tonami, wtórowany smutnym wszystkich dzwonów odgłosem. Lud cały upadł na kolana lub na twarz i to ułatwiło wejście i ukazanie się w kościele nadzwyczajnej postaci, która wśród tego pogrzebowego obrzędu, zjawiła się zdziwionemu ludowi, jakby z tamtego świata gorliwém nabożeństwem wywołana...

Człek w białej długiej szacie i białym okryty płaszczem, z koszturą palmą ozdobioną w ręku, z twarzą zwiędłą i wynędzniałą, przechodził poważnym krokiem świątynię między zdziwionem zgromadzeniem... przed wielkim ołtarzem upadł krzyżem; a tak nikt mu się zbliżyć i dokładnie przypatrzyć nie mógł; lecz czytelnik zgadnie w nim zapewne pielgrzyma, który przed kilką laty (1) ukazał się w zamku księcia Sanguszki, u stop Karpatów, a teraz zmieniając szatę pokutną, na suknię wyzwolenia, wrócił na ojczystą ziemię i do ojczystego kościoła.

Wśród mszy jak zwykle, siedł na ambonę kaznodzieja, tenże sam ksiądz Hincza. Sędziwy już przed laty, teraz jeszcze bardziej wiekiem pochylony i zgrzybiały starzec, za nim akalita, jak niegdyś fatalną czarną świecę, tak teraz nioś na bogatym wężłowie zwój pargaminowy.

Drżącym krokiem wlokł się on przez kościół, i wstąpiwszy na ambonę, zaledwo mógł być poznanym; od czasu bowiem klątwy, nie widziano kającego, wrzenia więc tym niespodziewanem zjawieniem się sprawione, zjednoczyły się z ukazaniem pielgrzyma; jedno drugiem się wzmoгло.

„W Imię Ojca, i Syna, i Ducha — rzekł X. Hincza i rozwiniawszy pargamin: „*Breve*, mówił, Ojca naszego w Chrystusie Papieża Klemensa XI. (2) „przyniesione nam z Rzymu przez pobożnego pielgrzyma do grobu Chrystusa Pana i do grobów ŚŚ. Apostołów jego *Piotra* i *Pawła*, a po trudnej i długiej peregrynacji po ciężkich pokutach ofiarowanych Bogu, wracającego dziś tu, i klęczącego oto przed ołtarzem Pańskim, z absolucją wszystkich

(1) Prawdziwe — Niewiadomski pięć lat na tej wędrówce strawił.

(2) W tamtej epoce siedział na stolicy rzymskiej.

„grzechów jego, a w szczególności głównego, który
 „przed pięcią laty zawarł był przed nim drzwi świę-
 „tyń Pańskich, otwarte mu teraz kluczem *S. Piotra*?

Tu odczytał *Breve*, z którego wszyscy dowie-
 dzieli się, kto był pielgrzym, i gdzie był przez lat
 tyle Starosta Antowilski. Gdy skończył czytanie,
 wzruszony głęboko starzec zwrócił się ku ołtarzo-
 wi, i wyciągając ku niemu z błagalnym wzrokiem,
 wyschłe swe ręce: „*Nunc dimittis!*“ zawołał, „*Nunc*
 „*dimittis Domine animam meam in pace!*“ Teraz
 „przyjm o Panie, ducha mego w pokoju! Teraz o
 „Panie! teraz!... gdym doczekał, że z tego same-
 „go miejsca, i temiż samemi usty, któremi przed pię-
 „cią laty surowość sądów twoich ogłaszałem, ogła-
 „szam dobrodziejstwa wiary twojej świętej! Tak,
 „zaiste! tak! *Justitia coram Deo, est miseri-*
 „*cordia* — sprawiedliwość podług Boga jest miło-
 „sierdziem! I temu to nieograniczonemu miłosierdziu
 „Twemu o Boże polecam ja dusze wszystkich wier-
 „nych, za których dziś pokorne a uroczyste, ko-
 „ściół twój święty czyni ofiary. Nakoniec polecam
 „własną mą duszę, wkrótce mającą stanąć przed
 „Tobą, wołając do Ciebie o Panie! *Tunc dimit-*
 „*tis*“... Łzy bujne, dobywające się z zapadłych
 źrenic starca, nie dozwoliły mu dokończyć modli-
 twy... szedł chwiejający się z ambony, a pielgrzym
 również łzami zalany, powstał, i palmę swą na
 ołtarzu złożył.

Nazajutrz starosta ze szlachtą przyjaciółmi
 przybiegłemi wnet na powitanie jego, i z Bekie-
 szką, wykrzykującym w zapale radości: — a nie
 mówiłem Waspanu *quis scit* co za górą? — wko-
 pał własnemi rękami krzyż na miejscu skonania
 Jezuity. Krzyż ten odnawiany od czasu do czasu,

trwa i dotąd, a z nim podanie będące treścią téj powieści i służyć mogące dowodem, że w owym czasie po występku, razem z surowym sądem i wyrzutem sumnienia, wchodziły w serca chrześcijańskie prawdziwy żal, skrucza, i bojaźń wiecznej kary, a zatém i postanowienie poprawy, a odrzuczenie się złego.... i jeszcze azatém, że Religia natenczas poprawiając lub karcąc wyuzdaną swawolę, ubezpieczała towarzystwo, i lepiej niżeli prawa, spokojności powszechnéj strzegła.

K o n i e c .

PRZYPISY.

Stronica 12. W początkach panowania Stanisława Augusta, że jeszcze pozwalało sobie duchowieństwo rzucać klątwy, lecz że na nie szyderstwem już odpowiadano, mam dowodem przed sobą rękopis ówczesowy, w którym znajduje się długi wiersz pod tytułem: „Skarga do Jmci Xiędza Nuncyusza, na Jmć Xiędza Toczyłowskiego Prałata Wileńskiego.“ Skargę tę zanosí niejakiś obywatel wyklęty przez Prałata, za jakieś polityczne jakoby zdania; przepisując tę szczególniejszą poezję — byłoby zadługo; kończy się tak:

„A ty stolicy świętej Sądzie wielowładny,
 „Przyjmij me skargi na błąd tak szkaradny!
 „Zagroź na potém zgorszeniu takiemu,
 „Wyrwij mię z piekła, a daruj głupiemu.“

T.....

Stronica 12. Trwa i dotąd w Raduszkowiczach podanie o bytności tam Szwedów, a szczególniej o ich swawoli, łupieztwie i znieważaniu kościołów; że za to dopuścił ich Bóg ślepotą i morem; karą tém widoczniejszą, że prawie na samych tylko Szwedów padła. Na dowód okazują górę *Szwedzką* nazwaną, tuż za miasteczkiem wznoszącą się, która ma być wielką mogiłą, pokaranych tak od Boga i pomarłych rabu-

siów. Dawniej był zawsze na niej krzyż stawiany przez mieszkańców miasta; a od lat kilku stoi tam kaplica.

O wiorst dziewięć od Raduszkowicz po drodze *Hajny*, po nad rzeką *Udrą*, miała zajść natenczas, jako nie-sie podanie, straszna bitwa; a rozsypane około tego miejsca rozmaitej wielkości kopce i wzgórki, mają być także mogiłami Szwedów poległych. — Szczegółów tych raczył mi udzielić szanowny Pleban Raduszkowicki Jmć Xiądz Dziekan *Draudzik*.

Stronica 12. Podwójném, jak wiadomo, było najście Szwedów na ten kraj; miejscowe jednak podania, nie rozróżniają zwykle pierwszego od drugiego. — Szwedzkie mogiły, Szwedzkie brody na rzekach, Szwedzkie drogi i tym podobnie. Czy zaś po nich *Gustaw* czyli *Karol* chodził, dopytać się nie podobna i zgadnąć inaczej nie można, jak radząc się w okolicznych domach archiwów szlacheckich, w których prawie zawsze znajdzie się rozwiązanie téj zagadki. I tak dla sprawdzenia podania o spaleniu *Budzilek Niewiadomskiego* przez Szwedów, i o grassowaniu ich w tych okolicach, poświadczyły mi archiwa *Dobrowlańskie* przez Graffa Günthera dziedzica tych dóbr, łaskawie dla mnie otwarte. Znajduje się tam dekret kompromissarski, roku 1728 między Jezuitami Żodziskimi i Dobrowlanami ferowany, a rozmaite z lat dawnych graniczne i inne spory; a między temi i o prowiant dostarczany do obozu wojsk szwedzkich w roku 1708.

Stronica 34. Powszechnie widać było zabobonne mniemanie, że *Karol XII* miał inkluzę, która go od kul bronila. Waleczność osobista jego, dała zapewne do tego powód. W rękopismie *Alexandra Mackiewicza*, z którego cudzysłów na karcie 9-tój wypisałem, znajdują się wiersze za i przeciw *Karola*; pochwała jego i odpowiedź na nią; w téj ostatniej poeta wyraźnie mu inkluzę przyznaje. Wypisuję tu wyjątkiem z je-

dnęj i z drugiejj przeciwne sobie sztrofy — dwie ostateczności. Prawda, jak zwykle, musiała się znajdować w *umiarkowanym środku*.

„Obraz prawdziwy króla szwedzkiego Karola XII twarzy, postury, umysłu, i akcji w Polsce przez lat siedm zdziałanych (*) *Pochwała*.“

„Wielkiego króla, tryumfy i mężstwem
Więszszego szczęściem stawiam i zwycięstwem,
Który heroicznemi aż na zazdrość czyny
Wszystkiego świata napełnił krainy.“

Karol dwunasty — król państwa szwedzkiego
Wielki zwycięzca, choć wzrostu małego.

Jednak urody nie skąpęj jest cale
Bo przyrodzenie dość mu doskonale
Tak faworytem stało się w tęg mierze
Że dank we wszystkich przed innemi bierze.
Delikatnego ciała będąc prawie,
W pracach jest wszystek — bo robi ku sławie
Więcej rozumu, aniżeli ciała,
Jego posturze natura nadała.

Włos ma na głowie światły niezbyt spory —
Ten głowę osuł, gęstemi kędziory
Umysł i czoło, rozumu, powagi
Pełne, a serce mężstwa i odwagi.

Oczy są żywe, Marsem pałające
Miłem wejrzeniem wskróś przenikające,
Nos miękki cale — jaki kawalera
Wielkiego zdobi, przy nim dobra cera.

Usta niej małe, lecz nie naganione,
A uśmiechaniem z prawdą napełnione:
Twarz ma pociągłą, kawalerskiej miny;
Ta przypraw nie zna dla takiej przyczyny;

(*) Tytuł obu wierszy jest jednostajny, bo odpowiadający na pochwałę, tenże sam tytuł i w naganie powtórzył autor, mając przedmiot jednostajny, tylko odwrótnie nań patrząc.

Bo chcąc iść wielkich bohaterów szlakiem
 Nie dba o gładkość gdy chce być Junakiem
 Ciała, rozumu, różne w nim przymioty,
 Jedne z zarobków sławy, drugie z cnoty.
 Szyja przydługa, z dużemi ramiony,
 Pewną jest wrózką, że niezwyciężony:
 I nad dwadzieścia więcej mil ubiegał
 Gdy wiedział gdzie się adwersarz rozlegał.

Siła walecznych monarchów kronika
 Wspomina; ale tobie wojennika
 Równego jeszcze w odwagach nie stawia,
 Co się dowodem istnym słusznie jawi etc.

O d p o w i e d ź.

Karol dwunasty król szwedzki jak żywy
 Pokażę jego portret tu prawdziwy:
 Statura mierna k temu młode lata
 Sucha, ruchawa, i fiutyńcowata. (sic)
 Cierpkiego ciała—niżli do korony
 Do prac i fatyg bardziej ułożony,
 Rozum ma taki jak młodym zwyczajna,
 Ma i *inkluzę*—i to rzecz nie tajna.
 Włosy na głowie grube i żółtawe
 Jako szersść stojąc, w górę idą prawie,
 Czoło pomierne, a tak ułożone,
 Że są zamysły jego niezgadnione.
 Nie Mars mu z oczu, ale chytrłość błyska,
 Bo prawda w sercu nie ma stanowiska,
 Wszystko zdarł, złupił, gdzie oko zapuścił,
 Nawet świątnicom Pańskim nie przepuścił.
 Lecz świętokradzką obciążon zdobyczą,
 Niech pewien będzie, że go wnet przećwiczą:
 Orlego nosa kto go zna tak rzecze,
 Iż mu ustawnie kropla z nosa ciecze.
 Usta są duże i kielbasowate,
 A uśmiechania pełne i bogate,

Pociągłej twarzy, tój nigdy nie myje,
A któryż kiedy król tak hydko żyje?

Wszystek jest zdrowy, choć z złamaną nogą
Szwank wziął lustrując Wołoszę ubogą,
Na ucisk Polski, który wnetże powstał,
A *Urbanowicz* Rotmistrem ich został.

Nieśmiertelnejś byłbyś godzien sławy,
Byś *inkluz* do tój nie używał sprawy,
Śmiałe zaleca serce kawalera,
A cóż zaleca Szwecyi bohatera?

Nad Alexandra sława by cię wzniosła,
By zła estyma z *inkluz* nie urosła;
Pamiętaj na to, że gdy Bóg przypuści
Djabł odstąpi, i inkluzę puści.

Byś nieprzyjaciół zguby i ponęki
A twoich zwycięstw z boskiej patrzył ręki,
I w nim nadzieję odwag swych położył
Nie w granatowej sukni którąś włożył (*).

Dla zdrowia twego zaszczytu i ciała,
A teć twa babka czarami nadziała,
I piekielnemi uzbroiła siły,
Być kule, szable, groty nie szkodziły etc.

Po wielu jeszcze sztrofach, kończy poeta proroctwem
pod Połtawą sprawdzoném.

„Bo gdy fortuna zbytnia komu służy,
Przeniosłszy morze, utopi w kałuży;
Tymże sposobem co zwyciężasz, i ty
Od adwersarza swego będziesz zbity.“

(*) A więc w granatowej sukni siedziała inkluz. To przypomina guzik Napoleona.

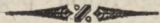
Stronica 42. Szczególniejsza ta miara odległości „na strzelenie do czapki“ nie jest wcale przez autora wymyślona; w dawnych ograniczeniach znaleźć zdarza się „na strzelenie z łuku“ w dziele: *Limites magni ducatus Lituaniae, ex originalibus et exemplis autenticis descripti. In lucem editi 1758. Vilnae.* W opisanii duktu granic wyraża się: „Podstaroście Brzeski Jan Jacynicz z ludźmi Dymińskimi, przyprowadzili nas do ostrowa *Hodenia*, znak rzeki rów w którym jest woda, mieniać iż pośród tego rowu, błotem rzeka *Or* idzie: miejscami pokazując się a miescami niknąc, którego rowu jest w poprzek na *strzelenie do czapki*. Potem prowadzili nas błotem, na którym błocie okazali trzy rowy bez wody, mieniać iż tedy rzeka *Or* idzie. Potem prowadząc nas błotem do jeziora Brzeskiego, pokazali nam rów przedlichowaty (?) bez wody, którego rowu było niby na „trzy strzelenia do czapki.“ etc.

Stronica 51. Komu się zdarzyło, lub kto z powołania studiując nad piśmiennictwem polskim, wszelakich rodzajów i czasów, czytał kazania z końca XVII. lub z początków XVIII wieku, pozna łatwo, że kazania Bekieszki, jest parodyą tamtoczasowej kaznodziejskiej wymowy, w której erudycya duchowna, ze świecką razem pomieszana, w przesadzonych cytacyach, w figurycznych sensach, w nadętym i napuszonym stylu, uznawana była za najwyższą doskonałość i mądrość kazania i kaznodziei. Znajdziesz tam i *Syreny* i *Appolina* i *Cycerona* i *Arystotelesa*... a koniecznie *Alexandra Macedońskiego* i *Herkulesa* z maczugą, zwłaszcza gdy panegirykiem pogrzebowym, należało jakiego wodza, a choćby i pana Rotmistrza tylko uczcić. Kazanie to więc w swoim rodzaju i w swoim celu jest: „Na płytkim gruncie rozbujających fluktów“ *Krasińskiego*. A że w niem i humor nasz dawny szlachecki, wyraźnie okazuje się, więc jest ono podwójną pamiątką. I skutkiem zapewna téj humorystycznej zalety, doszło ono aż do naszych prawie czasów, bo chociaż ja wypisałem je z nieraz wspomnionego już

rękopisu Mackiewicza; wszakże w młodości mojej, zdarzało mi się nie raz słyszeć one na wesołych hulałykach, wśród których dowcip kielichem wspomagany, rozśmieszał do rozpuku kompanię.

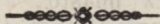
Stronica 72. W rękopisie tegoż Mackiewicza, znajduje się: „Wyznanie wiary prawdziwej chrześcijańskiej Ewangelicznej, uczynione i zaślepionemu światu podane, od Jmć Pana Jana Wojciecha na Wisznie i Jarosławiu Lubomirskiego: także z rodziców zaślepienia Rzymskiego będących urodzonego: a potem przez inspirację Ducha Świętego, oświeconego. Działo się w Radoszkowiczach, w województwie Mińskim leżącym miasteczku królewskim, w obozie Króla Jegości Szwedzkiego, natenczas tam stojącego z wojskiem 1708 r. Aprila 15 dnia.“

Lubomirski wyznaje się tu być Franciszkanem; od roku 15 wieku swego, przez szlub rodziców swoich do tego zakonu poświęconym: „a wkrótce też potem do królestwa Syjna (czy nie do Syam) od Rzymskiego dworu posłany, i w tym że królestwie lat dwanaście *continue* urząd Missyonarza apostolskiego zawiadując: naostatek od Rzymskiego papieża z królestwa Syjna rewokowany“ etc. przechodzi w obozie Karola na wyznanie Ewangelickie, i Papieżowi złorzecząc, uroczyste daje *Vale*.



KAMIEŃ W OLGIENTIANACH.

KAMIEŃ W OLGIENIANACH ⁽¹⁾.



I.

Zygmunta III-ci z liczném rycerstwem leżał od kilku miesięcy pod Smoleńskiem. Częste bitwy pod murami i szturmy do potężnego a mężnie bronionego grodu, pomnażały codzienną liczbę chorych i rannych w wojsku polskiem; nie wzruszało to jednak ani osłabiało stałego postanowienia króla wzięcia miasta, na zdobyciu którego zakładał on sławę panowania swego i dalsze bodaj polityczne nadzieje.

Wszystkiemi więc drogami od Smoleńska w głąb Litwy prowadzącemi wlekło się, to na wozach, możniejsi a słabsi, to pieszo o kulach, to nakoniec konno, pojedynczo lub w kilku i kilkunastu, żołnierstwo, dla ran lub chorób opuszczające obóz, i spotykało się z ciągnącemi wzajem posiłkami do obozu, a rozpytujacemi ciekawie u wracających o procedurę wojny.

Nowiny rozprowadane przez tych, którym się wojna nie powiodła, i którym zamiast spodziewanych tryumfów i zdobyczy, dała kalectwo lub ciężkie niemoce, nie były po myśli podstępującym ku

(1) *Olgieniany* folwark w powiecie wileńskim w parafji Gierwiatskiej, należący dziś do Pani Hurczynowej.

nię, lecz też ich nie trwożyły bynajmniej: bo któż idąc na bitwy nie trzyma się oburącz, że tak powiem, nadziei, że go zły los oszczędzi, że go kule mijać będą, że wróci zdrow i cały? Bez téj nadziei, honor, który z rozwitą chorągwią chwały, wiedzie szyki do boju, zaiste! mniejby licznemi dowodził zastępy... owszem! I rycerstwo więc i ciury nawet obozowe, cieszyli się nowiną, że jeszcze Smoleńsk nie był wzięty, że opanowane i oddane na zdobycz miasto, bogatym łupem nagrodzi każdemu długie fatygi i znoje. W owym bowiem wieku, jeszcze i ten wzgląd, dziś chwała Bogu znikły, gromadził ochotczych w obozy, zagrzewał w bitwach i dodawał cierpliwości w trudach i pracach wojennych.



II.

Było to więc w roku 1611, w połowie maja. Droga, która oddawna traktem Połockim się zowie, jechał zwolna konno wojskowy, jak się zdawało z poważnych znaków pancernych, a za nim szeregowy, raczej ciura obozowy, służebny.

Konie i pod panem i pod sługą mogły być kiedyś dzielne, ale teraz tak były chude i uznojone, że zaledwo dźwigać mogły jeźdźców, i rynsztunek a juki u sługi do siodeł uwiązane: pierwszy bowiem mając na sobie żupanik z ciemnego sukna, jaki pospolicie pod pancerz nadziewano, aby ten żelaznemi rębami, nie cisnął i nie męlał ciała, misiurkę krótką stalową w wałek zwiniętą, zawiesił z jednego boku przed sobą u lęku; z drugiej strony na przymocowanym haku wisiał muszkiet, tak zwany *harlacz*, jakich podobnych łatwo

jeszcze znaleźć można po wielu zbrojowniach, kończący się w kształt lejka, z którego garsć kul razem rzucić można było w oczy nieprzyjacielowi. W toku tkwiła kopija na pół złamana, którą wiozł rycerz dla pamiątki widać szwanku własnego i wiernej mu broni; nakoniec u boku szeroka i długa szabla, z furdamentem, kocią głową zwanym, a silnego ramienia wymagająca, na rzemiennych pasach przymocowana, a z tyłu siodła węzeł potężny z ruchomością wszelaką przypięty i zakryty płaszczem, kończył moderunek rycerza, nader ciężki na wyczerpane siły jego rumaka, którego młoda jeszcze majowa trawka dostatecznie podżywić nie mogła. Sam jeździec mógł mieć lat około trzydziestu; trzymał on ranioną lewą rękę na tamlaku, to jest białej chustce, głowę miał także przewiazaną podobną chustką i nakrytą lekką czapeczką, z pod której nie dobrze jeszcze zleczona blizna, aż przez czoło się przedłużała. Lecz mimo jednak te rany, i z nich wynikłą bladłość twarzy młodego człowieka, skład jego postaci od pierwszego nań wejścia okazywał siłę i zręczność, a oko i oblicze piękne i męskie razem, zapewniać zdawały się, że wola i odważna stałość umysłu, nie zdradzi w potrzebie, potęgi ciała, o czém i rany jego dowodnie świadczyły.

Za nim już wlokł się *ciura*, to wesoło pogwizdując rozmaite obozowe piosnki, to śpiewając je głośno, aż się echa odzywały. Siedział on na drewnianym kozackim łęku, czarną, wytartą i dziurawą skórą pokrytym, ubrany sam mimo dnia ciepłego, w burą grubą opończę, od której z tyłu kapiszon klinem ścięty, i wielkim różnobarwnym z sukiennych krajek kutasem zakończony, w deszczach i słońcach włożony na głowę, chronił ją doskonale, i jeszcze jakby kitą ozdabiał. Opończa ta ściśnięta była w stanie, szerokim rzemiennym pasem, na którym także rapier, któż wie kiedy dobywany, wi-

siał. W miejscu zwykłej ładownicy—spora cynowa flasza, takąż czarką zasrubowana, na sznurze przez piersi przeczepiona; a na przeciwnym boku równym—że sposobem umocowana szeroka torba ze skóry, a naładowana narzędziami, już to dla panów, już to dla koni w podróży nieodbitemi, i nakoniec czapka śpiczasta tatarska z gęstą opuchą, dokończyła ubioru krępego chłopaka. Starszy on był od pana swego, ale nie poniosłszy żadnych wojennych szwanków, wyglądał czerstwo i rumiano, a prostą i rubaszną wesołością, rozrywał długie i smętne zadumania jego. W rękę trzymał stary i złamany łuk od którego zerwaną pół struną, zacinał konie, jak biczem.

— A długoż jeszcze, miłościwy panie, rzekł, wlec się będziemy przez tę ciemną i djabłą Litwę, nim trafim do tego dworu którego szukamy?

— Zdaje mi się, odpowiedział towarzysz pancerny, że gdyśmy już Wilję przebyli, blisko zatém być musimy.

— A chwałaż Bogu w Trójcy Świętej jedynemu i Najświętszej Pannie Częstochowskiej! ale daleko jeszcze czy blisko, trzeba panieńku, koniki popaść, bo nie dójdą i pół mili; ot nie zły dyrwanek, i trawka nie spaszona, niechże jęj trochę poskubią, napoim ich potem gdziekolwiek po drodze, a i my przekąsim nieco..... Jest we flaszy gorzalina, jest w torbie bułka chleba, jest jeszcze i kawał wyśmienitej wędzonki, co nam ich onegdaj, zacna owa szlachcianka na drogę nadawała tyle, że i zmieścić nie było gdzie: dalej więc z konia miłościwy panie, i do roboty.

— Masz słuszność, odpowiedział zsiadając z konia towarzysz, potrzeba dać wypoczynek biednym naszym koniom; któż wie czy znajdziemy czego szukamy? a wtenczas....

— A cóż wtenczas będzie z waszmością? przerwał zadziwiony pacholek.

— Wtenczas.... Sam nie wiem.... zdaje mi się pocziwy Filipie, że przyjdzie mi znowu wrócić do domu.

— No, to po cóż wasza miłość z obozu odjeżdżałeś? a wróciwszy co tam będziesz robić z pokaleczoną ręką i głową.

Głowa się moja goi, a rękę prawą mam zdrową; pan Nowodworski przyjmie mię chętnie; bo i wypuszczać nie chciał, ale taka mię tęsknota ogarnęła, do odszukania strony mojej rodzinnej i starego ojca, jeżeli jeszcze żyje, a zwłaszcza gdy rany moje nie dozwoliły mi wychodzić w pole, bo zdrów nie odstąpiłbym chorągwi, że postanowiłem konieczniejechać w te strony; i spuszcżając się to na moją dziecinną pamięć, to na rozpytywanie się u pocziwych ludzi, puściłem się w drogę. Waści panie Filipie, dał mi pan Nowodworski za pachółka, ale cię nie przymuszał, dobrowolnie się tego podjąłeś, dziękuje ci zaćm, i starać się będę, jeżeli mi Bóg poszczęści, wynagrodzić tobie... Jednakże nie słusznie nazywasz Litwę djabłą, bo to równie chrześcijański kraj, jak twoje tam Podgórze, z którego mówiłeś zdaje mi się, że pochodzisz. — Albo ja wiem na pewno zkąd pochodzę i gdzie się urodził? ot wzięłem się na ten świat Boży, ni ztąd ni z owąd, dosyć mnie, żem jest. Powiedziano mi, że się nazywam *Filip Brześniak* do usług, to i jestem *Filip Brześniak* do usług każdego dobrego pana; i lepiej mnie, bo nie będę nigdy szukał ani rodziców, ani miejsca gdzie się rodził, a gdzie umrę? to Panu Bogu wiedzieć, a mnie co do tego?....

Trzymam się zawsze klamki pańskiej, a prawdę mówiąc, strzemia pańskiego; bo nasze pany nogi teraz ze strzemia nie wyjmują, i dla tego w obozach życie pędzę. Zołdu tam wprawdzie nie mam żadnego, czwerci jak ichmość towarzystwo nie liczysz; ale też i łba nie nadstawujesz, a byle być *rezolutem*, i jak tylko zatrąbią na tryumf, lecieć

na plac i szczerlnie macać po kieszeniach leżących nieprzyjaciół, broń Boże własnych braci, to z próżnemi rękami nie wrócisz, i kiedy nie talarków, to przynajmniej ruchomości wszelakięj nazbierasz szmat.

Zaprawilem się ja na to, najpiérwéj pod *Byczy-ną*, gdym służył w czeladzi hetmańskiej pana Zamojskiego. Jak tylko niemcy pludraki, nie wytrzymawszy impetu rycerstwa naszego, uciekać zaczęli, i sam ich *herc*, który chciał być naszym królem, zmykał najpiérwszy, a nasi rzucili się za nimi z kopyta, to my wysypaliśmy się z obozu hurmem jak mrówie, i dalejże do rewizyi.... Ale tu znowu druga zaczęła się bitwa na kije i kulaki, bo przy każdym Niemcu tuzali się pachotkowie jak koguty, i mnie któryś zajechał kijem po grzbiecie; więc ja w bok, w krzaki, na szczęście... aż i znajduję tam leżącego niemczurę; srodze tłusty i łysy, a we krwi kąpie się jak wieprz w kałuży, żyje jednak, bo ktoś widać przez pacierze tylko przekroił. Dawaj *gielt* łysy biesie, krzyknąłem, namierzając się obuchem, ale to dla postrachu tylko. On słabą ręką, pokazuje mi i targa guziki od swojej kurtki; a kurtka sajetowa, i guzików wielkich, oszytych sukmem gwałt! pomyślałem, musi tu być coś, oderwę jeden guzik — talar! drugi — talar! Czy tak?... gdzież tu zabawić się długo?... rozdarłem kurtkę, i w nogi z nią — bo już słyszę, że nadbiegają koleżki. Sześćdziesiąt ośm nałuszczyłem sobie potem talarków.... Dajże Boże zbawienie łysemu Niemcowi, jeżeli umarł; a zdrowie, jeżeli wylizał się z ran swoich; dałem tymfę na ubogich, na jego intencyę, bo było za czém cały miesiąc hulać w Krakowie.

Tak rozpowiadając Filip, rozsiodłał konie, wytarł je z potu, wyjął z torby dwa żelazne pęta i włożył im na nogi; przy tém młotkiem ostukał podkowy, wbił w nie parę ufnali, puścił na paszę;

walera maltańskiego, z którym i waszmość żołądź wiesz.

— Więc jakże było pod Kirchholmem?— Zapytał pancerny, przerywając biografię Brześniaka.

— Aj, tam mnie Bóg skarał, choć pobłogosławił dzielnemu rycerstwu naszemu. Wytrzepałem tam, wytrzepałem Chodkiewicz Szwedom skórę!!! Jak pod Byczyną niemiecki herc, tak tu sam ich król uciekał jak djabeł, kiedy go z tyłu xiądz kropidłem święci: bo i kropiły go pałasze polskie! Ale że naszych była mała garstka, a Szwedów w dzieścioro, więc aby się nieobaczyli i nie wrócili do szyku i ładu, parło ich wojsko nasze bez pardonu, a zatem nie miało czasu zabawiać się zdobyczą; nasza to była sprawa. Ja, aby być na przedzie, chwyciłem szłapaka od wozu, i oklep poleciałem na plac. Rozpatruję, nie ma wielkiej *sperrandy*; Szwedziska, to biedny naród; piechury z rusznicami, albo z długimi spicami, które im przecie nie pomogły, leżą w paklakach i grubych sukmanach: czwajuję tam i sam, a nuż jakiego pokwapniejszego nie najdę — nie ma, ale widzę, biega piękny koń skaro-gniady, bez jezdca; a musiał on nosić jakiegoś znacznego wodza, bo i sam dzielny, i siadzenie na nim nie podłe, owszem świeciło się od litego srebra; więc podjechałem, przygłaskałem konika, i cap za musztuk jak swego. Będzie z ciebie dość Filipku, pomyślałem. Oh! byłoby dość i na całe życie, gdybym nie był głupi; bo na dzień, kiedy po wiktoryi i tryumfie tak wielkim, radość była w obozie, i targ na wszelkie zdobycze, rotmistrz Baranowski targuje u mnie gniadosza z całym moderunkiem. Daje talarów sześćdziesiąt, ani gadam; daje osmdziesiąt, krótko mówiąc za dziewięćdziesiąt pięć oddaje. Mógłbym wziąć i więcej, ale po obozie zaczął chodzić rumor, że wszelką zdobycz każą ciurom i czeladzi składać na kupę, i wszystko od-

dać, bo powiedziała starszyzna, że ona krew przelewa, a profity wszystkie idą do rąk, kijem tylko nie szablą, zbrojnych.

Wyliczył mi zatem Baranowski umówioną kwotę, konia odprowadzić kazał do swojej stajni, a siadzenie wniósł do kwatery i opatrywać zaczął, gdzieś i ja był jeszcze. Patrzy on, cieszy się; siodło zamuszem nawleczone, w różne floresy przeszywane i miękkie, pociska próbuje.... jednym razem zawoła na wyrostka: „daj sam noża! i zaczyna pruć.“

Ja i inni baczni na to krzyczym: dla Boga do brodzieju! na co wasza miłość psujesz tak piękną kulbakę?

On przepruł szeroko raz i drugi, aż tu jak posypią się czerwience!!!

Jezus, Marya, Józef! krzyknąłem, bo rozumiałem że to czary. Ale on porze i porze a złoto jak z worków coraz nowych sypie się....

Gwałt! krzyknąłem znowu, ja tego nie sprzedałem.

— Przedałeś wszystko chłystku, rzekł spokojnie Baranowski, zbierając dukaty garściami.

— Nie sprzedałem! wolój ja djabłu duszę sprzedać, — wrzasnąłem bez pamięci.

— Na co ma djabeł płacić, mówił on podrwijając sobie, za taki kiepski towar, a wreszcie próbuj.

— Nakoniec chwyciłem za dukaty, a Baranowski mnie za kark. On mąż jak dąb! rozcisnął garść moją, jak zmarzłe jabłko i wypychając mię z tureckim abszytem za drzwi, „idźże do biesa na targi!“ wrzasnął. Hałasowałem, przeklinałem się jak opętany, targalem sobie uszy, wąsy i czuprynę, ale nic to nie pomogło; tylko zebrało się koło mnie pełno ludzi, śmiejących się ze mnie jak z warjata, lub nawiedzonego. A na większą moją konfuzję, Baranowski wyskoczył znowu z kwatery jakby czegoś

wszystkie juki i rynsztunki złożył na kupę: słowem porządnym i znającym rzecz swoją okazał się sługą. Tak dokonawszy starania około zwierząt, przystąpił do zaspokojenia ludzkich potrzeb, i odszrubowawszy flaszę — no, a teraz posilim się, rzekł, suplikuję waszą miłość!

— Nie potrzebnie traktujesz mię za każdym razem, odpowiedział towarzysz; wszakże mówiłem ci, że mi doktor zakazał pić gorących likworów, nim się zupełnie rany nie zgoją.

— A wszakciż goją się codziennie, więc powoli przywykać trzeba; możeby trochę rozpogodziła się i twarz waszój miłości, bo przyznam się, że mi aż nudno czasem, patrząc na nią zawsze smutną i zadumaną. Ale kiedy nie ma pana *Siemaszki* to ja do *flaszki*, podług dawnego przysłowia. Łyknął zatem do dna; ha! dogodziłem! rzekł z przyciskiem — i apetyt wilczy odżywa się.

Znowu więc torba z drugiego przedziału dostarczyła wędzonki, séra i chleba; co wszystko wykładał on przed siedzącym pod krzakiem leszczynowym, towarzyszem, niezapominając i o sobie.

— Błogosław Panie Boże, mówił, słowa w gębie przemieszując z kęsami, — błogosław Panie Boże ową zacną wdówkę, która onegdaj waszą miłość tak zatrzymywała, i wyleczyć deklarując, i wszelkie swe dostatki, jak z rejestru wyliczając, byleś tylko został. Domek chędogi, piwko jak lepszego i w Krakowie nie znajdziesz, wiszniaczek jak małmazja, i wódeczka stara, a gospoia młoda... dalibóg raj! a wasza miłość gwałtem się z tego raju wyrwał! Oj pożalujesz tego waszmość! pożalujesz!

— Daliśmyż przecie słowo, rzekł uśmiechając się młodzieniec że nie zapomniemy do niej drogi.

— Prawda, i za toż sakwy nasze napęłniła specjalami, których nam aż do dziś dnia stało. Ale pamiętaj waszmość, że to kwatera pokwapna, i tuż

przy gościńcu, a gosposia widocznie łaknie załogi; więc znaleźć się może jaki drugi towarzysz, a może i rotmistrz, który nie tęskniąc tak jak wasza miłość do własnego gniazda, zechce osiąść w gotowym cudzym; a wtenczas choć wróciemy, będzie po czasie dobrodzieju!

— Niechże sobie będzie jak chce, dla mnie to wszystko jedno.

— A ja wracając do obozu, zawrócę taki do tak osobliwój pani, i choć pokłonię się od waszój miłości.

— Czyż myślisz panie Filipie, powrócić jeszcze pod Smoleńsk?

— A jużci kiedy da Bóg szczęśliwie doprowadzić waszą miłość do ojcowizny, to już waszmość w niej i zostaniesz, a mnie zdrowemu za piecem nie siedzieć, byle trafić jeszcze przed zdobyciem miasta, to może mi Bóg nagrodzi za to, co pod Kircholmem straciłem.

— Alboć byłeś i pod Kircholmem?

— A jakże nie? byłem znowu pachołkiem stajennym u Hetmana ale Chodkiewicza.

— Czemużeś od jednego do drugiego, tak przeszedł?

— A bardzo po prostu: jak Zamojski wojnę szwedzką w Inflantach zdał na Chodkiewicza, tak i ja zostałem słą przy obozie, bo chwała Bogu, Filip Brześniak niczym poddanym nie jest. Wsunąłem się więc do czeladzi nowego hetmana; a że w znajomości około koni nikt mię nie przepisze, bo lubię koniki mospanie, że i podkuję w naglój potrzebie, i czary w stajni od razu poznam, odpędzę; znają mię więc wszędzie, i każdy koniuszy ochotnie przyjmuje mię na strawę i jurgielt. Takim zatem obyczajem dostałem się do Chodkiewicza, takim od Chodkiewicza do pana Nowodworskiego, ka-

zapomniał, i wbijając mi jakiś rożek za nadrę, zaśpiewał nad uchem:

«Tobie rożek z tabaką,

«A mnie konik z kulbaką,

«Towarzyszu mój!» (1).

To mnie do ostatniej złości doprowadziło i postanowiłem, bo może już djabeł do mnie i przystępował wir głową zamącić. Rozepchnąłem więc tłumy, i poleciałem do jeziora o kilka stajów tam będącego: już byłem przy brzegu, gdy mię dopędził *Prokosz* sługa hetmański od namiotów — stój! krzyknął on — gdzie lecisz?

— Do jeziora, odpowiedziałem.

— Topić się?

— A ha!

— Oddajże mi dziewięćdziesiąt pięć talarów, któreś wziął za konia, bo tam na dnie nie będą tobie potrzebne.

— Przypomniałem wtenczas, że mam talarki w kieszeni, i stanąłem jak wryty.

— A co bratku, rzekł znowu *Prokosz*, nie topisz się?

Milczałem, ale odwróciłem się tyłem do jeziora.

— No cóż? albo top się i oddaj mi talary, albo pójdziem i jednego na miód przepijem.

Zgodziłem się na ten projekt, uściskałem pocziwego kolegę, który jakby anioł stróż ze szpon szatańskich mię wyrwał, i upiliśmy się na pociechę. Ale odtąd postanowiłem wszystko co złapię *pruć*, choćby tam do diabła i brzuchy nieprzyjacielskie.... Więc odprowadziwszy waszą miłość, i podkarmiwszy konika, wracam wnet do wojska: powiadają, że *Selin* (2) nie podda się tak prędko; może więc Pan Bóg miłosierny nagrodzi mi szkodę *kircholmską*.

(1) Dawna żołnierska piosnka.

(2) Dowódzca załogi w czasie oblężenia Smoleńska.

— Dla czegoż wyjechałeś z obozu? trzeba było wolój tam się pilnować.

— Widzisz bo wasza miłość: najprzód musiałem powolne służby moje okazać panu kawalerowi maltańskiemu, bo jego chleb jem; a powtóre i to najbardziej, że jakoś serce moje uchwyciło się waszmości, od owego dnia, gdym tak rezolutnie pomógł waszmości do wiktoryi nad tym brodatiaszem, który was porąbał, a któremu waszmość potem tak dogodziłeś, że bodaj poszedł do Abrahama na piwo. Widząc ja z obozu, że nasi górą, że i załogę odpierają do miasta, wyprawilem się na plac, i położyłem się tam w rowie, czekając bezpiecznie, aż się wszystko zakończy. Leżę cicho, wtém usłyszę koło mnie jakiś tertes i krzyk; wyglądam ostróżnie jak lis z nory, i myślę sobie, że za daleko zabrnąłem, aż to waszmość się borukasz i łamiesz z jakimś, można mówić, olbrzymem zawziętym i nieuważającym na to, że został od swoich; krew waszmości ciekła już po twarzy. — Ej! powiedziałem sobie w duchu, śmiało *Filipku!* Daj salwę mężnemu rycerzowi!!! wyskoczyłem więc z rowu jak z procy; a krzyknąwszy po tatarsku *ha! ha!*, za jednym susem zerwałem kołpak z głowy brodatiasza.

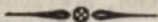
— Prawda to jest panie Filipie, przyszedłeś mi w sukurs w sam czas, nie zapomnę ci tego nigdy; ale wolałbym gdybyś go był schwycił za ręce, bo lubom go wzajemnie ciał przez łeb bronił się jednak mężnie, i mnie jeszcze ranił po rękę.

— Ale bo ja pomiarkowałem w rowie, że jak porwę kołpak i odkryję mu goły łeb, to już łatwiej będzie waszmości uchodzić go.

— Tak, ale przyznaj się panie Filipie, że sobowły ów kołpak, i błyszczący na nim łańcuch, mógł

także do tego wojennego fortelu być tobie powodem, rzekł uśmiechając się młodzieniec.

— He! cóż kiedy pokazało się potem, że sobole podkurzane, a łańcuch miedziany, poślaczany tylko.



III.

Już też i posilili się podróżni, konie się popasły, napił je Filip w blizkiej strudze, osiodłał i ujuczył regularnie; puścili się zatem w dalszą podróż.

Po ujechaniu jeszcze z półtora mili, wybrnąwszy z lasów na otwarsze pole, spostrzegli zdala wieżyczkę kościelną i krzyż na niej. Pancerny podjął się na strzemionach, utkwiał wzrok w krzyż ten i westchnął, a potem się przeżegnał.

— Co to znaczy? zapytał Filip.

— Jeżeli moja pamięć po latach dwudziestu nie zawodzi mnie, zdaje się, że zbliżamy się, do dóbr pana Kiszki (1), na którego dwór woził mnie małego niekiedy ojciec, i że ten kościółek jest parafialnym miejsca mego urodzenia... okolice wszystkie jakby we śnie przypominają mi się... ten gaj na prawo... tam w lipach dwór za kościołem... a tam oto cmentarz i krzyże!.... Cmentarz!.... tam moja matka spoczywa.... a broń Boże... i znowu westchnął głęboko, i nie dokończył, ale czytelnik zgadnie łatwo myśli, które się na cmentarzu zbiegły ze wspomnieniem umarłej matki i z niepewnością o życie ojca.

(1) Ziemie tu opisywane w owym wieku, były w istocie własnością znakomitego niegdys w Litwie rodu Kiszaków.

— Trzeba więc tu powziąć języka, mówiąc po żołniersku, rzekł Filip; owo ortaj na polu, podjeżdżemy.

Zwrócił konia towarzysza, lecz wnet go nazad cofnął. — Oh! nie, mój Filipie, rzekł, nie, jedźmy wolój prędzej pod kościół, przypomnę go niezawodnie, jeżeli jest ten sam. Przymusił tu konia do biegu... i wstrzymał go wkrótce, znowu zwolna postępując... serce jego niespokojne biło gwałtownie, i raz gorącym żądaniem rozwiązania wątpliwości pałało, to pragnęłoby przedłużyć lękliwe oczekiwanie, znośniejsze nad fatalną pewność. Szczęśliwy kto w życiu spokojnym i jednostajnym, takich chwil męczących nie doznał.

Podjechali więc pod kościół. Jak tylko zblizka ujrzał go pancerny, — tenże sam Filipie kochany! tenże sam! — zawołał, i chyżo zeskoczywszy z konia, już klęczał na krużganku kościelnym, a całował z uniesieniem kamienie, na których ukląkł, a bujnemi, lejącemi się poniewolnie jak ze źródła ze źrenic jego, oblewał je łzami. Pierwsze uczucie miłości rodzinnego gniazda, pierwsze odetchnienie powietrzem, które dziecięcą pierś jego żywiło, takim go ogarnęło i żalem i roskoszą, i uniesieniem, i trwogą, że patrząc nań rzekłbyś, że ten człowiek nie wydola tylu wrażeniom, że omdleje pod ich napływem. Filip nawet patrząc na to, rękawem od opończy oczy swe ocierał. — A jakże ten kościół i to miejsce nazywa się? zapytał on, przerywając może umyślnie rozrzewnienie młodzieńca.

— Jak się nazywa? poczekaj przypomnę zaraz. Aj nie wiem, czy przypomnę, rzekł po namyśle, powstając nakoniec z klęczków.

W tym z malój chatki będącej w podle, a nad której drzwiami, prosty krzyż drewniany oznaczał jako i dziś jeszcze gdzieś obaczyć można, ubogi dla starców i kalekich parafialnych przytu-

łek, wyszedł chromy staruszek i widząc obcych przybyłych pod kościołem: — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł.

— Na wieki wieków! odpowiedział Filip, i dodał: — a jak się nazywa, staruszk, ten kościółek, i to miejsce?

— Widać że z daleka przybywacie — odpowiedział starzec — ale to nie dziwota; teraz codziennie widzimy żołnierzy z całego świata tędy przechodzących, a wszyscy modlą się i mają litość nad nami dziadami szpitalnemi, a my zatem prosimy Boga, aby im na wojaczce szczęścił. To mój dobrodzieju *Gieruiaty*. (1)

— Ach! tak *Gieruiaty*! przerwał Julian, (bo to było imię młodzieńca). Przypominam, *Gieruiaty*!... a dalekoż z tąd do Olgienian? Oh! tego nazwiska nigdy nie zapomniałem. Do Olgienian dobrodzieju dobra mila. — A czy żyje tam?.... i głos mu się przeciął i odwaga opuściła, i nogi pod nim osłabły tak, że musiał oprzeć się o kościelną ścianę. — A czy żyje tam... mówił drżącymi ustami, pan *Fiedor Starosielski*!

— A żyje stary, odrzekł szpitalnik, żyje jeszcze i co niedziela bywa tu w kościele, a dla nas biednych nie jednego tymfa do karbony przyrzuca. Niech mu Bóg za to wieku przedłuży.

Julian odetchnął teraz całą piersią, jakby z niej cisnący go dotąd spadł kamień; pot mu na czoło w bujnych kroplach wystąpił, jak po przesileniu mocnej choroby, i już swobodniejszym głosem zapytał:

— Jakże żyje staruszek? kto o nim ma staranie?

— Mieszka z nim jego siostra stara, ale jeszcze krzepka babula; ona ład w domu prowadzi,

(1) Kościół i miasteczko na Połockim trakcie w powiecie Wileńskim.

a oboje i przy mszach św. i przy elemożynach, każą modlić się za szczęśliwy powrót z niewoli tatarskiej, syna jego jedynaka, którego gdzieś tam i kiedyś na Ukrainie ci poganie mu ukradli czy gwałtem zabrali.

— Ruszajmy! rzekł Julian, nie chcąc już ani chwili tracić czasu; obdarzył więc starca i dosiadł konia.



IV.

Trzebaby się popytać drogi, rzekł Filip. — Nie, spuszczam się na moją pamięć; zdaje się, że trafię, bo mnie małemu dziecinie pozwalał niegdyś ojciec wózkiem i spokojnym koniem wozić siebie do kościoła. Tu wraz powinna być drożka na lewo z gościńca, potem kilka wiosek blisko drogi, potem borek i za nim *Olgieniany*. — No, przecież dał nam Pan Bóg znaleźć czegośmy szukali; ale bez obrazy waszej miłości, rzekł znowu Filip, ciekawość mnie bierze zapytać, jakim sposobem to się stało, żeś się waszmość tak zgubił z rodzicielskiego domu?

— Długo to było rozpowiadać ci, kochany Filipie, wszystkie przygody mojego życia: gdybyś mi był przed kilka dniami dał to pytanie, możebym łatwiej ciekawość twą zaspokoił, teraz nie mamy już na to i czasu, i sam widzisz, że nie jestem w stanie; po krótko więc tylko powiem. Miałem lat ośm czy dziewięć, gdy rodzic mój utracił żonę swoją a moją matkę: żałosny on był bardzo po swęj wiernęj towarzyszce, i tém boleśniej mu było, że jako starszy od niej, spodziewał się ra-

czěj ją owdowić, niż sam po niej zostać wdowcem.

Ręką już prawie skrzepłą włożyła ona na mnie, z ostatniem błogosławieństwem relikwiarzyk małej srebrny, w kształcie zamkniętej książeczki, w którym jest partykuła krzyża św., a który i teraz na pierścach noszę. On mię zapewna nieraz, przy wstawieniu się jej do tronu Boskiego, w rozmaitych przygodach mego życia uchronił, i teraz może prowadzi mnie cudownie do ojca... Oh! nigdy nie zapomnę tej ciężkiej godziny skonań mego matki!... pamiętam wszystko jak dzisiaj... ona trzymała gorejącą gromnicę... xładz nad nią mówił pacierze.... ojciec obumierał po kilkakrotnie z żalu... zachodziłem się od płaczu, i wszyscy domownicy płakali.

W kilka potém mlesłęcy wyjechaliśmy z ojcem w daleką podróż, jak się później dowiedziałem, na Ukrainę, do siostry mego ojca, a mojej ciotki. Dowledziawszy się ona o stanie wdowim brata, sama wdowa bezdzietna, postanowiła porzucić na zawsze odległe strony do których ją zamęście zaprowadziło, powrócić tutaj, osiąść przy bracie, i zastąpić mnie matkę. Pocieszony tēm jej przywiązaniem ojciec mój, nie zwlekał odjazdu; i po długiej podróży, stanęliśmy na miejscu. Ciotka moja przyjęła nas ze łzami...

Otoż drożka na lewo! taż sama! taż sama, zawołał z radością Julian. O! trafiemy, kochany Filipie! trafiemy!

— Chwała Bogu! ale cóż potém było? rzekł ciekawy Brześniak.

— Potém po kilkotygodniowej naszej tam bytności, gdyśmy już wybierali się na powrót, i tēm rychlęj, że chodziły wieści o Tataarach; mój ojciec dla ukończenia wszelkich spraw siostry, opuszczającej na zawsze kilkunastoletnie tam swe siedlisko, pojechał do blizkiego miasteczka... gdy na-

gle i niespodzianie jednego ranku, te poczwary nie ludzie, napadli i objęli nasze całe domowstwo: w mgnieniu oka złupili i zrabowali wszystko. Ciotkę moją, jak mi się wtenczas wydawało, zabito; ale, jeżeli to ona, jak powiadał dziadek ten szpitalny, mieszka przy ojcu moim, to widać wyleczyła się z ran jęj natenczas zadanych. Czela-dzi część wycięto, a część rozplierzchła się w lasy; słowem w kilku godzinach z całego domówstwa i gospodarstwa zostały tylko niedopalone głównie i popioły....

Zapewna wiesz choć z powieści co to są tatarskie zagony, bo i krzyczeć umiesz po tatarsku.

— A był psu brat Tatar jakiś przy stadninach pana hetmana Zamojskiego, i krzyczał zwyczajnie na rozhukanych ogierów: ha! ha! ha! więc i ja wiem że to po tatarsku.

Mnie, mówił dalej Julian, porwał jakiś z tych szatanów, wsadził na szkapę powodną między torby i juki, przywiązał jeszcze abym nie spadł, i powiozł; a nie pamiętałem co się ze mną działo.

Przez kilka dni, Barbary te zbytowali po naszym kraju, więźniów coraz więcej zabierali i z sobą wlekli. Dobrze mam w pamięci, jak mój opiekun karmiąc mię wrzekomo, lał mi w gardło mléko kobyły i gęstą kaszą dławił... Opowiadając tak Julian, topił ostrogi między żebrą swojego konia, a Filip własnego łukiem pobudzał, lecz słabe zwierzęta nie odpowiadały niecierpliwości jeźdców, i podskakując tylko na miejscu, wlokły się powoli jak przed tem.

— Nie długo jednak tłuszcza ta niedowiarków pastwiła się nad naszym krajem i ludem (1) —

(1) Stać się to mogło w roku 1589, gdy Zygmunt III był z ojcem swoim na zjeździe w Rewlu, a Tatary Ukrainę, Podole i Ruś spłądrowali; odpędzeni nakoniec przez Hetmana W. K.

mówił pancerny;— na trzecim czy czwartym dniu, rycerstwo nasze dosięgło ich zgromadzonych już w *czambuł*, rozdzielających łupy, i mających wnet ruszyć do swoich stepów na powrót. Nie przyszli nawet do sprawy, odrzekli się zdobyczy, i mnogięj liczby gnanęj w jassyrską ludność naszą; wielu ich padło pod szablą, reszta uciekła, a mój opiekun i karmiciel nie mogąc salwować się jak inni, mniej odeń chciwy, ucieczką, bo swoich ciężkich juków nie odciął z konia, dostał kopiją w plecy, która mu nawskróś brzuch przepruła; leżał więc, gryzł ziemię i chrapał oddając duszę djabłu.

Jęki zatem, płacze i narzekania wnet się zmieniły w radość i pociechę niewymówną, gdy się wszyscy swobodnemi i wolnemi obaczyli; wszyscy upadli na kolana dziękując naprzód Bogu, za to cudowne wybawienie, a potem każdy wielbił rycerstwo, całował nogi wodzów, i ledwo się opamiętywał w szczęściu... Toż znowu jednak wróciły się płacze i szlochy, gdy się zaczęto rozwiadywać każdy o swoich rodziców, rodzice o dzieciach, o domostwach popalonych, o porzniętych rodzinach... gdy się zaczęto rozpoznawać, łączyć i ścisnąć... Żołnierze nawet płakali. Ja tylko stałem na boku sam jeden, i nikt do mnie się nie zbliżał, nie garnął, ani poznawał.

— Biednaż była dziecina z waszłej miłości! rzekł Brześniak.

— Aj tak, bardzo biedna. Nakoniec jeden z rycerzy, zapytał mię litościwie: „a ty pachole czyjs? i skądś?“

Opowiedziałem moje nazwisko, i jak mogłem o sobie, dodając nazwanie miasteczka do którego rodzic mój był pojechał. — Gdy tak jest rzekł on, toś ty sierota, bo z miasteczka tego wątplię czy żywa dusza uszła; zginęła cała ludność męzka pod mieczem pogańskim.

Na tę bolesną nowinę, zaszedłem się od płaczu: wyraz ten *sierota* jak nożem mię przebił, bom go już raz słyszał z ust konającej matki; poczułem więc dziecinném sercem fatalność jego i nieszczęsną pewność, że już i ojca nie ujrzę... Poczciwy ów porucznik, bo tak go po obozie nazywano, wziął mię za ręce i gładząc a pieszcząc:—uspokój się—rzekł, dziecino; jest Bóg opiekun wszystkich sierot, ja cię nie opuszczę....

— Patrz! patrz! zawołał młodzieniec przerywając opowiadanie swoje, jak dobrze trafiłem! Oto borek który nam zakrywa *Olgieniany*; jak go przejedziem będziemy już na polach ojca mojego. Pośpieszajmy! pośpieszajmy na miłość Boga! bo mi serce wyskoczy z piersi, albo pęknie... i wioseczka na lewo bodaj do nas należąca: tam mamka moja mieszka!... Ah może już ona dawno mieszka obok matki mojej! pośpieszajmy! — Pośpieszajmy, powtórzył Filip—łatwiej to waszmości powiedzieć, ale konie tego nie rozumieją, a choćby i zrozumiwały, to nad siłę nie skoczą. — Tak hamując niecierpliwość jednej strony, podbudzał rzeźwość drugiej, jak dobry obustronny przyjaciel, pragnący pogodzić interesa wzajemne.

— Ale jakim cudem stało się, że ojciec waszmości żyje? zapytał on znowu—gdy ten porucznik powiadał że go Tatarzy zabili.—Tak i ja mniemałem, lecz pamięci jego i tych stron rodzinnych, nie mi z serca wyjąć nie mogło, a ile razy spojrziałem na mój relikwiarzyk, którego mi na piersiach Tatar nie dójrzał i nie odebrał, tylekroć zawsze zapłakałem, ale razem zawsze mi jakaś nadzieja czy przeczucie roilo się w duszy, i powiększając tęsknotę, jakby magnesem ciągnęło mię w te strony.

I dla tego, gdym doszedł wieku i szablę ujął w rękę, bo jako szlachcica to mój był los jedyny, więc jak się zdarzyło, że wojska Koronne i Lite-

wskie były w kupie, nie zaniedbałem nigdy rozpytywać się u Litwinów o tutejszych stronach, wtrącając bojaźliwie imię ojca mego. A nuż? a nuż?

Długo daremnemi były moje pytania, ale żem je bezustannie i z serdecznego nalogu, jakby pacierz jaki, powtarzać nie przestawał, więc mię Bóg przed pół rokiem pocieszyć raczył. Bo gdym raz u rycerstwa z pod znaku pana Dorohostajskiego, marszałka wielkiego Litewskiego, moje zwykłe czynił inkwizycyę, jeden z towarzystwa, *Okuszek* zwany, zapytał mię: — a o jakiego to waszmość Starosielskiego pytacie, czy nie o Fiedora, którego to Tatarzy srodze kiedyś na Ukrainie pokaleczyli, i synka mu czy zabrali, czy zabili?

Skoczyłem jak warjat na piersi towarzysza: płakałem, całowałem go, ścisnąłem natarczywie, i krzyczałem w uniesieniu. O tego samego! o tego samego! to mój ojciec! O dla Boga czy żyje? — Czy żyje teraz? odpowiedział mi *Okuszek* — tego nie wiem, ale przed sześcią laty, żył jeszcze stary i trojakie codziennie za waszmość, jeżeliś syn jego, wznosił do Boga intencye; to jest: aby ci dał niebo jeżelibyś nie żył, abys się niepoturczył jeżeli żyjesz, i nareszcie aby cię tu na ziemi lub tam w niebie, oglądał.

O ileż to łez ten nieborak wylewał przy swych modłach nieustannych, i przy opowiadaniach niefortunnych losów; kilka miesięcy leżał on w jakimś tam klasztorze nim się podleczył ze srogich ran swoich, potem szukał waszmości po całej Ukrainie...

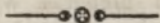
— I to dziwno, że nie znalazł, przerwał Brześniak, przecież widziano w tłumie uwolnionych i waszą miłość, i wiedziano kto waszmościa zabrał i przytulił.

— Tak, ale porucznik Pancerzyński, (tak się bowiem mój dobroczyńca nazywał), odesłał mię wnet do domu swojego aż do Mazowsza, a widać,

że mój ojciec nie natrafił na świadków mego uwolnienia i losu; gdy zaś wszyscy w tę chwilę sobą i swojemi zajęci byli, mało więc kto na mnie i uważał, a mniej jeszcze ktoby zapamiętał.

— Otoż, powiadał *Okuszek* — wszędzie rodzic waszmości trafiał na wiadomość, że cię Tatarzy uwięzili: ... przesiedziałem u niego w Olgienianach tygodni ze sześć, przypadkowo tam trafiwszy: ... — A dla czegożeś waszmość wnet nie pojechał do tatulka, rozpytawszy się drogi u *Okuszki*? — To też o drodze zasięgnąłem niejakich odeń informacji, ale chorągwi naszej, idącej właśnie na wojnę, odstąpić nie mogłem: któżby mi uwierzył, że odjeżdżam szukać ojca, gdyśmy szli szukać nieprzyjaciela! ... O Boże! wykrzyknął tu Juljan, przerywając nieporządne swe i niedokładne opowiadanie. O Boże! Otoż Olgieniany! bo właśnie wyjechali z borku, i ujrzeli jak na dłoni dworek...

Miałżeby to być tenże sam, którego stare i wzięte dziś wroście ściany, trwają aż dotąd? i dla czegożby nie? lat pół trzecia sta tylko! .. Dłużej trwa jeszcze sławna na Litwie Słucka fara ... a przynajmniej domysł tu, urzeczywistnia się omamieniem.



V.

Pięknaż to prawdziwie okolica, osłonięta do koła lasem, zda się w ustroniu przechowana na to, aby wchodzący w nią niespodzianie wdziękłem jej i prostotą zachwyceni byli. Przechylona w rozmaite wzgórza i doliny, pomiędzy którymi żywa się prze-

myka struga, ścieśniona we dworze między wysokimi brzegi i groblą w biegu ujęta, napełnia stawek i kaskadą zeń wyskakując, biegnie dalej między łąki i pola.

Tu i ówdzie po wzgórzach, stoją jako zabytki dawno wyciętych puszczy Litewskich: to samotna brzoza długimi swemi warkoczy, nad krzyżem mchem ozieniałym nawisła, to sosna wpółzeschła, dzwigająca na starych swych konarach, lub kryjąca w swych wnętrzościach barcie i ule pszczółek; to znowu pod starożytnym a czerstwym jeszcze dębem, wysypała się młoda zarośl, jak prawnuki pod opieką pradziada....

Nakoniec las gęsty i toporem niedotykany, okalając to spokojne zacisze jedną swą przedłużoną odnogą, a drugą aż ku ogrodowi zachodząc, każdego przechadzającego się po nim, wciąga, że tak powiem, do siebie, i nagradza fatywę następczącą co krok prawie, to kurhany, to kamienie nadzwyczajne, to jakieś bez podania i wieści, a wyraźnie ręką ludzką sypane, okopiska: dla rozmyślań, badań i wniosków...

O Boże! otoż jesteście na miejscu!... obaczę więc wnet ojca mego.... padnę mu do nóg.... mówił drżący młodzieniec, stawał na strzemionach, rozpatrywał okolicę, uśmiechał się i chlapał razem: słowem, wzruszenie jego głębszem jeszcze i żywszém było, niżeli przed kościołem Gierwiatskim. Co uważając Filip, zajechał na przód i stanął mu w poprzek drogi. — Co to jest? zawołał niecierpliwie Julian. — Posłuchaj mię waszmość, rzekł Filip. Jam sobie symplak, „w szkole nie bywałem, różeczki nie widziałem,” ale natomiast między ludźmi bywałem, a co się tu i ówdzie zarwało, to nie odbiło się jak groch od ścia-

ny.... Oto nie raz słyshałem, że i nagle pociecha, jak nagle nieszczęście, może duszę z człowieka wyparć; więc mi przyszło na myśl, że jak waszmość od razu i raptem objawisz się tatlukowi, a padniesz mu *insperate* do nóg, to z wielkiej radości staruszek okoleć może. Pomyśl waszmość nad tém.... znajdziesz razem ojca i stracisz.

Zastanowił się Julian; masz rację pocziwy Filipie, rzekł, ale jakże uczynić? czyż potrafię? czy zdołam pohamować się, gdy ujrzę oblicze, które mi nigdy z duszy i z pamięci nie wyszło.

— A hamuj się waszmość jak mogąc, ja będę milczał jak pień. A kiedy już wszystko wyjdzie na wierzch jak oliwa, to wtenczas.... poproszę obroku dla koni.

Młodzieniec zamyślił się.... jechali... i stanęli przed bramą.... którą gdy wyrostek wybiegły naprzeciw odmykał. — Ejże! rzekł znowu Filip, ejże pamiętaj waszmość ostrożnie, ostrożnie!...

Właśnie przechodziła dziedziniec staruszka poważna, lecz nie zgrzybiała jeszcze... — A miałyby to znowu być taż sama, która i mnie wędrowca, niedawno ze staroświecką uprzejmością na tymże dziedzińcu spotkała?... Oh! nie, zapewne; dom przetrwać może długie pokolenia ludzi, przechodzących przezeń tylko popasem.... Julian lubo z rysów nie mógł przypomnieć i poznać, wszakże się łatwo domyślił, że to jego ciotka, która go niegdyś na Ukrainie tak serdecznie pieściła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on zsiadwszy z konia i witając niskim pokłonem matronę.

— Na wieki wieków! odpowiedziała, — witamy waszmość, — mówiła dalej, nie dając czasu do niecierpliwych kwestyj Juljanowi, — witamy waszmość, i radzi jesteśmy każdemu przybywającemu w imię Boskie, do szlacheckiego naszego domku, a tém bardziej rycerzowi, który, jak widzę po waszmości, i szwankował jeszcze ciężko. Zkądże Pan Bóg prowadzi? zapewne z za Dźwiny; bo tam to teraz podobno wojaczka panuje. Proszę koniki do stajni na wygodę, a wraz i mój pan brat a gospodarz nadejdzie i bardzo będzie rad tak miłemu gościowi.

Gadatliwe to, wiekowi staremu zwyczajne powitanie, niemniej jednak szczere i serdeczne, przerwał Julian: — wszakże — rzekł on — znajduję się w domu pana Fiedora Starosielskiego?

— Tak jest, tak.

— Mogęż go wnet widzieć?

— Wraz, jak mówiłam, nadejdzie; alboż waszmość macie cokolwiek pilnego do mego brata? On tu w podle za ogrodem nad rzeczka, mówi paciorki pod swoim dębem, i ma tam robotkę, którą sam sobie wymyślił, daj Boże na długo niepotrzebną, bo

Juljan nie czekał dalej i poszedł szybko na miejsce wskazane: znał on je dobrze, bo dąb ten, przy nim małe jeszcze drzewko, żółędziem zasadzony był w dniu jego urodzenia w ziemię, ręką ojca, który mu potem rozgarnionemu już chłopczykowi, tę pamiątkę nie raz w serce wrażał.

Zdziwiona staruszka zwróciła się do Filipa trzymającego konie, lecz ten poprowadził je do stajni; a tak pokręciwszy głową, weszła do domu dla przygotowania sielanki i małdrzyków na wieczerzę dla gości.

Na wysokim brzegu strumienia, wlewającego swe wody do stawku, o którym wyżej namieniliśmy, pod dąbkiem urosłym już w piękne drzewko, siedział na niskim stołku starzec, nad szeroką płytą kamienną, i pilnie młotkiem w nią stukał....; postrzegłszy, czy posłyszawszy krok nadchodzącego, powstał.

Tym czasem Julian jak wprzód przed ciotką tak teraz przed ojcem, wymówił zwykle chrześcijańskie powitanie, i po zwyczajnej także odpowiedzi: — Witam, rzekł staruszek — miłego gościa. Zkądże przybywasz? i jakim przypadkiem tu waszmość wstąpiłeś, czemu wielce rad jestem.

— Jadę z pod Smoleńska i umyślnie zboczyłem z drogi, — mówił Julian, a ledwo mówić mógł; jednak pomny przestrogi Filipa i własnego acz trudnego postanowienia, aby się ostrożnie odkrywać, zmienić chciał rozmowę. — I nad jakąż to pracą znajduję was? zapytał.

— Umyślnie tu waszmość zboczyłeś, więc musi być przyczyna temu? Jakaż, jeżeli łaska? Zakłopotany młodzieniec, a wszakże jeszcze panujący nad sobą, rzekł jakając się: — umyślnie tu zboczyłem z drogi... w nadziei, że wynajdę dom jaki szlachecki.... łaskawy i chrześcijański, któryby pokaleczonemu na usługę kraju żołnierzowi, po trudach wojennych odpocząć... i rany pogoić dozwolił.

— Toż go zacny wojaku i znalazłeś, odpowiedział starzec biorąc Juliana za rękę, i ściskając ją czule, gdy ten wzajemnie i z uniesieniem całował ojcowską prawicę. Pracę nad którą mię znajdujesz, mówił dalej Starosielski, podejmuję sam dla siebie; bo niestety, nie mam przy sobie nikogo, ktoby mi po śmierci, dybiacę już na mnie zbliżka, taką się przysłużył. Kuje więc sobie jak widzisz waszmość, i właśnie dziś dokończyłem, kamień który naciśnie me kości.... Miałem syna jedynaka, byłby on teraz młodzieniec jak waszmość i

może jako i my, rycerskie wiodł życie i szlacheckiemu imieniowi memu nowego dodał lustru.... możeby pocieszał biedną teraz bez niego starość moją.... i konającemu zacisnął powieki.... a do Boga za duszę się pomodlił.— Oczy i ojca i syna zachodziły łzami.

— Czyliż on już przed Bogiem? czy na tej ziemi? nie wiem. Opowiem później waszmości, jeżeli słuchać zechcesz historję tego ulubionego mego dziecięcia i mego nieszczęśliwego życia. A ponieważ nadzieja nie opuszcza człowieka aż do grobowej deski, więc na tym kamieniu, nie dokułem ostatniej liczby w dacie méj śmierci; bo najprzód nie wiecie dnia, ani godziny... a może też Bóg miłosierny zlituje się nad starcem, u kresu jego życia, i wysłucha codziennych jęków moich.... Może cudem powróci mi syna jedyne go... natenczas umrę szczęśliwy i spokojny.... a on niech na tym glazie, dokuje mi tę liczbę ostatnią!...

— A niechże mi wprzód pokaleczą, a choćby i utną i tę drugą rękę, nim tę ostatnią liczbę na twoim grobie kuć będę, ojcze mój! wykrzyknął pancerny. Jam twój syn! Jam twój Julian.... i z rzewnym a głośnym płaczem, rzucił się do nóg starca.

— O Boże! zawołał starzec i oniemiał. Znasz ojcze ten relikwiarzyk?

Starosielski porwał relikwiarzyk z rąk klęczącego przed nim młodzieńca, spójrzał, przycisnął do ust... — to mojej Heleny.... rzekł, i wpatrzywszy się chwil kilka w twarz jego; — tyś mój syn! Tyś mój Julian! Tyś jęj obraz prawdziwy! mówił łkając, i porwał go z klęczków... i tulił do piersi....

Uczucia, łzy i westchnienia ich w tej chwili, pojmą rodzice i dzieci kochające się nawzajem....

Bóg daje nieszczęśliwym takie chwile, aby nie zwątpili o opiece i miłosierdziu Jego.

Niestety! w rok potem, łzami zalewając robotę, kuł syn żalobą obleczone, *liczbę 2*, dokonującą daty jego sieroctwa; a podanie téj smutnej wspólnej ich pracy zostało w słowach powtarzanych dotąd przez okolicznych mieszkańców: „*Ojciec zaczął kuć sobie kamień, a syn jemu dokończył.*“

Széroka plita głazu z wybitym głęboko starożytnemi literami napisem:



TU LEZY FIEDOR
STAROSIELSKI

ŻYŁ LAT 80.

Umarł w Roku 1612.

widzieć się daje w *Olgienianach* na wyniosłym brzegu strumienia, a z przeciwnego, dąb ogromny, długim go swym przez wodę rzuconym cieniem, osłania.

ŻEGOTA Z MILANOWA
M I L A N O W S K I.

WAGOTA & MIAWOWA

M I L A W O W S K I

CZĘŚĆ PIERWSZA. (1)

Miły oku, zamożny wszelkim bożym darem,
Witaj kraju słynący chlebem i talarem.

I.

Kiedy się czyta Walter-Scotta, i gdy naturalnym obrotem myśli zwraca się ku własnym dziejom i ku własnym dawnym obyczajom, uderza nas bardzo często podobieństwo szkockich z naszymi. To ciągle pasowania się szlachty z władzą królewską; ta krnąbrna duma i nieuległość prawom magnatów, to wysokie oszacowanie szlachectwa, które aż *klejnotem* u nas nazywano, i jak klejnot od zmazy i zhańbienia strzeżono; to szkockie prawdziwe wywodzenie pokrewieństwa od najdalszych pokoleń między szlachtą, a ztąd życzliwość, pomoc wzajemna i związki między najodleglejszymi krewnymi, do których nikt się nigdy bezskutecznie w potrzebie nie odwołał, tak, że w proste weszło przysłowie: *swój swemu po niewoli druh!* Te nasze partje, mniej

(1) Treść téj powieści i głównejsze tu spisane zdarzenia są prawdziwe: udzielił mi jój znany potomek téj rodziny, pan Milanowski z Linkowa, były Deputat Dworzaństwa Gubernii Wileńskiej.

wprawdzie niż ich klany, posłuszne skinieniu swych możnowładczych wodzów, lecz też podobne z niemi ciąglą gotowością do rozruchów i nieporzucaniem nigdy *korda*, jak sami *klajmorów*. — W obrazach nawet domowego pożycia, czy to wę wspaniałości dworów i licznej gromadzie służebników, któremi się panowie otaczali (w czém ich bodaj przewyższyliśmy), czy to w przywiązaniu jakby familijném i poświęceniu się z pokolenia na pokolenie zlewaném, tych sług, a raczój wiernych przyjaciół, dla rodziny swych panów, a wzajemnie panów odpłacających dobrodziejstwami i opieką sługom; czy to nakoniec w pojedynczych przykładach męstwa i sił nadzwyczajnych rycerskich, przytomności umysłu w niebezpieczeństwach i przygodach, chrześcijańskiej ufności w Bogu w złej doli; słowem, wszędzie to podobieństwo, rozmaitemi miejscowemi względami mniej więcej modyfikowane, objawia się czytelnikom, a autorów pochope m naśladownictwa drażni.

Nie tu miejsce rozważać, jak dalece nasi narodowi powieścio-pisarze, dając się ująć temu pochopowi, korzystają zeń potrafili. Najważniejsza zasługa *Walter-Scotta* obcym literaturom, a szczególnie naszej, jest w tém, że on główną ideę każdego piszącego zwrócił swoim przykładem, do dziejów przeszłości ojczystej, własnej, i każdemu w niej źródło najprawdziwszych a razem najbliższych i obfitych materiałów, palcem, że tak powiem, ukazał.

Lecz i w Kalifornii, gdzie złoto jest pod nogami, ciężko i wytrwale pracować jednak potrzeba, aby go dostać i oczyścić; to też tej wytrwałości i ochoty niezmordowanej w wyszukiwaniu treści naszych autorskich, mamy bodaj jeszcze za mało... a jednakże tak są wielkie w tém bogactwa nasze, że prawdziwe talenta, (warunek prawdziwości jest koniecznym) byle rękę do dzieła przyłożyły, wnet znajdują czém napęłnić tomy interesujących i miłych złomkom pism swolch — a

cóż dopiero gdyby się zajęto gruntowném rozpatrzeniem, tak mało dotąd zgłębianych tajni archiwów domowych znakomitszych rodzin naszych, naszych aktów i wyroków sądowych, w miejscach sławnych oddawna w dziejach procedury krajowej, a tém bardziej aktów trybunałów głównych. Gdyby kto i w tém jeszcze naśladować *Walter-Scotta*, który przez lat dziesiątek, wprzód nim zaczął pisać, wędrował samopas po swych szkockich górach i zamczyskach, przeszedł także ziemię naszą rodzinną, z jedynym zamiarem poznania i odkrycia ziółkom jej piękności, zebrania podań i pamiątek, słowem, wszystkiego coby w nim uczucia miłości ku téj ziemi obudzając, tém samém i talent autorski rozwijało; pewnym być można, że mimo wielu już rozechwytych dorywczo, i z rozmaitem szczęściem użytych, z tego swojskiego i domowego naszego skarbu bogactw — mnóstwo jeszcze wynalazłoby się nowych, nie tylko powieścio-pisarzowi przydatnych, lecz i poważnego historyka wspomódz mogących.

Miedzy częściami naszego kraju, zachodnia i wschodnia Żmudź i Ukraina, były najczęściej polem walk krwawych i wypadków nie tylko w dziejach i miejscowych tradycjach ludu na długo pamiętnych, lecz nawet niestartemi śladami na powierzchni ziemi oznaczonych. Dwóch znakomitszych w literaturze naszej poetów, oba te kraje obrali sobie miejscem dla najpiękniejszych swych utworów.

«Miła oku, a liczny ożywiona płodem,
Witaj kraino mlékiem płynąca i miodem.»

Śpiewa wieszcz Zofijówki, i dalej historyczną treść dziejów Ukrainy wywodząc:

«Czernią się żyzne role, lecz bryły téj ziemi
 Krwią przemokłe, stłuczone ciała podartemi:
 Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
 Zębce słońców, i perskie wykopuje szczęty!
 W tych gonitwach od obcych we środku poznany
 Szesnaście potem razy kraj odmieniał pany:
 W nim to najsrozsze z Azją potyczki Europy,
 W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopcy,
 W leciech niższych otwartéj choć nie było wojny,
 Utrpiał Ukrainę pokój niespokojny:
 To siczowe nachody, to Tauryckie hordy,
 Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy,
 Dziec wnętrzna.» etc.

Drugi nie wymienia nigdzie nazwiska Żmudzi, bo kraina ta naówczas, to w chciwe Krzyżaków przechodząc ręce, to nazad do matki Litwy wracając, właściwe swe nazwanie w losach wojny traciła. Litwa i Prussy pochłaniały ją w sobie kolejną, i potężne tam zwodząc boje, użyzniały także tę ziemię „krwią i ciała podartemi,“ a pozostałe okopy, szanice, i mogiły, dziś albo lasami już porośłe, lub zalegające szerokie jéj błonie, wybrzeża Niemna szczególnie i innych rzek doń wpadających, czyjéjże myśli nie cofną w przeszłość daleką? czyjéjże wyobraźni nie zaludnią dzielnymi postaciami z tamtych czasów, i nie przypomną pięknego ich opisu:

«Niemen rozdziela Litwinów od wrogów;
 Na jednej stronie błyszczą świątyń szczyty,
 I szumią lasy, pomieszkania Bogów,
 Po drugiej stronie, na pagórku wbity
 Krzyż, godło Niemców, kryje czoło w niebie,

 Z téj strony tłumy litewskiej młodzieży,
 W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
 Z łukiem na plecach z dłonią pełną grotów,
 Snują się śledząc niemieckich obrótów.

Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi
 Niemiec na koniu nieruchomy stoi,
 Oczy utkwwszy w nieprzyjaciół szaniec
 Nabija strzelbę i liczy różaniec.....»

Podobieństwo takie dawnych przeznaczeń tych dwóch krajów, rozróżniło się wprawdzie w czasach nowszych. Długo jeszcze Ukrainę „utrapiał pokój niespokojny,“ gdy Żmudź ulegając ogólnej zmianie losów, ale szczęśliwa swoim nadmorskim położeniem i żyznością swęj ziemi, wzrastała w zamożność i w dostatki. A wszakże w obu tych krajach, z burzliwęj, wojennęj i krwawęj ich przeszłości, jest pewnie bogaty skład treści, jakem to wyżej powiedział, i dla powieścio-pisarza i dla historyka. Znakomite talenta dotknęły już tych skarbów na Ukrainie, bo bliższe w czasie, są one jakby pod ręką tamtokrajowym mistrzom. Żmudź zostawiona dotąd odłogiem.... a jednakże w dzisiejszym popędzie piśmiennictwa naszego, tak na zawsze zostać nie może. Pełno jest tam ludzi z nauką i z zamiłowaniem nauki, a jak w ziemi ich i w dziejach ukrywają się materiały (1), tak między niemi ukrywają się pewnie talenta, do użycia ich na chwałę literatury naszej zdolne.

Nadto jeszcze, ziemia ta i jęj mieszkańce, mimo ścisłego zjednoczenia się z innemi częściami kraju tego, mimo wspólnęj cywilizacyi i obyczajów, zachowuje jednak niejaką różnicę i właściwą, religijną, pobożną i patryarchalną, że tak powiem, cechę; a lubo powszechnie teraz wykształcenie, jednostajną towarzystwu nadaje barwę, jak politura na meblach gładzi drzewo i pod jeden modny podwodzi

(1) Że się w tych przypuszczeniach nie mylę, dowodem być może następna pieśń, która i dotąd na Żmudzi między ludem pospolitym śpiewana, uwiecznia pamiątkę bitwy Kircholmskięj, którą my w przekładzie zamieszczamy.

je kolor, wszakże rodzinnych jego słojów zatrzeć nie mogąc, dojrzeć je przez swą szklistą powłokę dozwala. Tak i na Żmudzi z roskoszą serc pocziwych i chrześcijańskich, cechę tę jeszcze i dzisiaj rozróżnić i rozpoznać można; a każdy obraz z któregokolwiek tam czasu wzięty, jakbykolwiek w ogólném pojęciu charakteru naszego był trafny, nie będzie jednak miejscowie podobnym, jeżeli się tą religijną szatą, owiewającą tam równie pana jako i wieśniaka, nie oblecze.

Uwagi te, nie będą ścisłym programmatem mego własnego opowiadania: *wchodząc bowiem na*

Pójdźmy siostry na gościniec
Czy nie doczekamy swego brata,
Myśmy wydeptały dół na górze,
Myśmy osunęły wysoki płot.

Bieży już konik zadyszany,
Złote strzemiona po bokach się chwieją,
Koniu, koniku ty wrony,
Gdzie ty podziałeś naszego brata?

Jam go zostawił pod miastem Kircholmem.
Pod Kircholmem w cudzej stronie,
My zawojowali Inflantską ziemię
I wycięli duże wojska.

Dziewięć morz przeplynałem,
A te dziesiąte, nurkiem przeszedłem;
Dziewięć kul go minęło
A dziesiąta, brata waszego zabiła.
Gdzie głowa padła, róże wyrosły;
Gdzie krew bryznęła, brylanty błyszczą.

ziemię Żmudzką z powieścio-pisarskiém piórem, chciałbym tylko razem z tém opowiadaniem przekazać i to pióro, któremukolwiek z uczonych tam ziomków, aby dziełem większego rozmiaru i znaczenia, z dziejów i obyczajów własnych, przysłużył się literaturze naszej; jest to raczėj studium tych obyczajów z drugiej połowy XVIII wieku, gdy szlachta nieukołysana po świeżej domowej wojnie, i tu, jak wszędzie ostatki dziedzicznego męstwa na sobie samėj wytrawiając, ostatkami i cnót dziedzicznych błyskała jeszcze.

Piosnka ta jest wyraźnie z czasów Jana Karola Chodkiewicza, i dotąd na Żmudzi między ludem pospolitym śpiewana, uwiecznia pamiątkę bitwy Kircholmskiej przez półtrzecia wieku i razem chwalebę bohatera, natenczas pana szerokich ziem i włości na Żmudzi. — Dziś już niema tam imienia Chodkiewiczów nawet, bo dobra *Szkudy* do dwóch tysięcy dymów liczące, a w roku 1568 sierpnia 5, przez *Zygmunta Augusta* Janowi *Chodkiewiczowi* Marszałkowi W. X. L. (ojcu Jana Karola) za znakomite zasługi i poniesione na wojnie Inflanckiej wydatki nadane, przeszły do *Sapiehów* przez zamążpójście jedynej córki *Jana Karola*, *Scholastyki*, za Jana Stanisława *Sapiehę*, Marszałka Nadwornego Litewskiego: która gdy w roku 1622 wszystkie dobra, jakie wniosła w posagu, jako to: *Bychow*, *Lachowicze*, *Cieńkowicze*, *Bystrzycę*, *Giechowę*, *Skipicjan*, *Czyżewicze*, *Kretyngę*, *Szkudy* — a w Inflantach *Berzonę* i *Mujzę*, zapisała mężowi na wieczność, *Alexander Chodkiewicz* Wojewoda Trocki i *Krzysztof* Koniuszy Litewski, rozpoczęli z *Sapiehami* process o nieprawność tego zapisu, ukończony dekretem sejmowym 1626 roku; i tą kolejną hrabstwo *Szkudy* na Żmudzi, aż do ostatnich czasów, było własnością *Sapiehów*. Po *Chodkiewiczach* zaś w fundacyach tylko pobożnych, zostały na Żmudzi pamiątki: — w *Kretyndze* kościół i klasztor XX. Bernardynów, w *Szkudach* kościół farny ze szkołą parafijalną, w *Krożach* wielkie kollegium dla Jezuitów etc.

II.

Był wielki fest w miasteczku *Szytłach* (1). Kto-by jednym rzutem oka chciał poznać pobożność i zamożność Żmudzi, niech tam na uroczystość jaką do któregośkolwiek miasteczka przybędzie; nie tyle go zajmie i uderzy wielka liczba pięknych zaprzęgów i pojazdów dostatniejszych obywateli, bo chociaż tam ich jest więcej aniżeli w którejkolwiek z litewskich prowincyi, lecz wszędzie, z właściwej nam żądzы pokazania się bogatszymi aniżeli jesteśmy, zdobywamy się na kosztowne ekwipaże, wiozące częstokroć *pana i jego fortunę*, zatém wszędzie place przedkościelne w dniach uroczystych świąt zapełnione bywają koczami i karetami, a jednakże ktoby brał ztąd miarę o dostatkach okolicy, nierazby się bardzo omylił. Na Żmudzi omylić się nie można, bo tam oko mimowolnie zwrócić się musi na pospólstwo, które nigdzie oszukiwać samego siebie, i nad możność się nadstawiać nie zwykło, a z zadowoleniem się zastanowi i rozpatrywać będzie widoczną i gruntowną zamożność kraju tego. Nie ujrzysz tam ani litewskich skrzypiących kałamaszek i ponerałów, ani zaprzężonych w nie chudych karłów rodzaju końskiego, okładanych nielitościwie grubą brzezi-
ną przez pijanych najczęściej chłopów. Włościanin

(1) *Szytele* miasteczko na Żmudzi.

żmudzki jedzie okutym porządnie wozem, do kar naszych podobnym, dwóma przy dyszelku małemi wprawdzie, oddzielnéj rasy żmudzkiéj, ale silnemi, dobrze wykarmionemi, i jakby dwoje ponurych niedźwiadków gęsto zarosłemi konikami. Na wozie, czerstwa, rumiana i szerokiéj tuszy, w jedwabne chustki i błyszczące bursztyny ubrana gospośia, siedzi na pundelku lnu białego jak śnieg, a włóknistego jak jedwab, wiezionego, na dobrowolną dziesięcinę w ofierze do kościoła, a odjętego od kopy takichże pozostałych w domu, które w krótko na tymże wozie do Rygi pojadą. Około niéj ponatykane tłuste i pucate dziatki; widać że na czystym chlebie, na pszennym pirogu i na tłustéj *szupieni* (1) się wytuczyły. Gospodarz, w szaréj lub granatowéj wyśmienitéj sukmanie, w bótach po kolana, i koniecznie a nicodmiennie u wszystkich z chustką białą pod kołnierz po kapocie założoną, na piersiach skrzyżowaną i długiemu końcom wiszącą — wiezie ten domowy ładunek na nabożeństwo, i wiezie pewnie kilka musztynów (2), z których najmniej parę w zakrystyi zostawi.

(1) *Szupienia*, nazwisko grochowéj kaszy, ulubionéj pośpółstwu żmudzkiemu.

(2) Zamożność włościan Żmudzkich, teraz jeszcze dostatniejszych niżeli w innych Litewskich prowincjach, że była dawniej prawdziwie znakomitą i wielką, dowodzą anegdoty opowiadane dziś na Żmudzi, i znajome tam powszechnie, a które z czasem w podania przejdą. — I tak: Książę Franciszek *Sapieha* objąwszy po śmierci ojca razem z innemi ogromnemi dobrami na Litwie i *Szkudy* na Żmudzi, przybył tam nie uprzedziwszy wprzód rządcy, *icognito* Nie znano tam jeszcze nowego pana i on nieznał nikogo. Wsiadł książę z pojazdu w miasteczku, a że to była niedziela, wszedł więc wśród nabożeństwa do kościoła; kościół był pełny, ławki wszystkie zajęte najwięcej damami: więc nie mogąc nigdzie pomieścić się i usiąść, dosłuchał

Takie więc wozy napelniały rynek Szyłelski, przemieszane tłumem pieszych, przyplływających ze wszech stron, odległych nawet, na fest Panny Maryi szczególniejszemi tam łaskami słynącej. — Plac kościelny sztachetem od rynku był oddzielony, a u każdego w nim grubszego słupka, wbite mosiężne kółko, każe do jednej z rodzin parafijalnej zagrodowej szlachty dziedzicznie należące. Wura! ktoby u cudzego kółka uwiązał konika; to guzem pachnie mospanie! to wiolencja! — Długi zatem rząd koników takich, jakie i u włościańskich wozów zaprzężone widzieliśmy, stał uwiązany u kościelnego sztacheta... Dziśbyśmy może tenże sam obraz w tymże samym dniu i na tymże

mszy stojący, myśląc że to są wszystko obywatelki, sąsiadki dóbr jego. U plebana potem, do którego po nabożeństwie zaszedł i objawił kim był, dowiedział się z zadziwieniem, że to były jego włościanki.

Sławnem jest także powitanie natenczas młodego dziedzica przez włościan *Szkudzkich*. Urządzili oni mały okręcik z łodzi morskich na kołach, które równie jak i konie ukryte były pod spodem: okręt ten więc przyplynał z rozpiętymi żaglami na dziedziniec do dworu, a z niego wysypali się majtkowie wynosząc dary dla dziedzica, któremi okręt był naładowany. Dary te składały się z wielu antałów wybornego wina i rozmaitych tak natenczas zwanych *bokałji*, oraz drogich zapraw kuchennych, których przy pańskich tylko stołach można było szlachcicowi pokosztować.

Niekiedy, jak wieść niesie, kilkaset dukatów na srebrnej tacy bywało dobrowolnym powitalnym darem, których gdy bogaty pan nie przyjmował zwykle, włościanie nie odnosząc nazad ofiary swojej, dworskich jego złotem osypywali.

Szczęściem to było dla szlachcica zostać rządcą jakich dóbr wielkich na Żmudzi: nie mieszkali tam panowie, obierając zwykle swe rezydencje w bliższych swych od stolicy dobrach, do której wysokie dostojenstwa i urzęda ich wiązały. Komisarz za-

rynku ujrzeli jeszcze, z odmianą tylko fantazji i stroju szlachty, która dawniejsze żupany i kontusze na kapoty zmieniając, mało się już od włościan różni, tém bardziej, że białych chustek na ramionach, jako dawniej tak i teraz razem z włościanami nie zaniedbuje.

Już się było ukończyło nabożeństwo, i wyższa publiczność, kollatorowie, parafijanie i pobożni ze stron dalszych znakomitsi goście, zaproszeni na obiad przez proboszcza, przechadzali się około kościoła i przed plebaniją, witając się wzajemnie, i na piękném powietrzu wesoło przedobiednią przepędzając godzinę. Kompanija liczna, z obojęd płci i różnego wieku złożona, na rozmaite też dzieliła

tem, a jak tam nazywano *Gubernator*, był drugim panem, jedynie znajomym i codziennie mającym stosunki z włościanami: byle więc był pocziwym, łagodnym i sprawiedliwym, bez żadnej prawie pracy, bez uszczerbku dochodów pańskich, zbierał często znakomity fundusz, do którego dary włościan nie mało się przykładały.

Kiedys naprzykład, jeden z takich administratorów *Szkudzkich* ożenił się, jak powiadają, z piękną bardzo kobietą, która z dumy, czy z kaprysu, nie pokazywała się nigdy włościanom, a ciekawi byli poznać swą panią; postanowili więc każdy osobno przychodzić z podarkiem pieniężnym dla niej, lecz razem z prośbą złożenia go we własne jej ręce. Wieść nie daje wiadomości jakich użył środków mąż, do przełamania oporu kapryśnej czy dumnej piękności... było w *Szkudach* około 2000 chat, odebrała więc pani tyleż wizyt, ale za tę *audjencję* złożone podarki wynieść miały pięć tysięcy dukatów.

W drugich książęcych także, ale innego imienia, a również wielkich na Żmudzi dobrach (zdarzenie to najprawdziwsze), rządcą był zacny i pięknego imienia szlachcic, *Bortkiewicz*. Rodzice jego posiadali wprawdzie niemały folwark w powiecie Rosieńskim, ale liczném ich Bóg obdarzył potomstwem, a tak w perspektywie, nie wielkie dzieciom obiecywały się dostatki. Star-

się grona: tu starsi i poważniejsi ojcowie rodzin i księża, tam matrony i marcowe kawalery, tam znowu panienki i około nich w koperczakach rzeźwe wierzciplęty... a wszędzie dobry humor, obyczajna prostota, i ruch pełny życia i swobody. Między gronem kilkunastu dziewczę, jaśniała, jak róża między polnemi kwiatami, panna *Dorota Uwojnianka*, Chorążanka Korszewska, panienka na wydaniu, powtarzam jak róża, bo świeżością i rumieńcem do téj królowej kwiatów podobna, oczkiem jeszcze figlarném i humorkiem wstrętym, jak drobnym cierniem serce konkurentów raziła.

Więc około panny chorążanki Korszewskiej, otoczonej gromadą nie ujmujących jęj wdziękom

szy więc ich syn, ukończywszy nauki, podług powszechnego natenczas obyczaju udał się na dwór księcia, trzymać się klamki pańskiej i szukać tam sobie *krescytywy*. Jakoż przed lat kilka tak się potrafił młodzieniec zasłużyć i podobać księciu, taką zjednał sobie ufność i szacunek jego, że mu on zarząd swych dóbr Żmudzkich powierzył. Lat z dziesiątek pełnił on potem ten obowiązek. Włościanie pokochali go bardzo, i dobrze mu się działo, lecz nie mógł on jak inni składać grosz do grosza i zgromadzić kapitałik, bo złączony familijnie z wielu dostojnemi domami na Żmudzi, żyć musiał i przyjmować gości nad możność zwyczajnego administratora, a stróż wierny dochodów pańskich, swoich zatem oszczędzać nie mógł, i tak talar talara gonił, a żaden długo w kieszeni się nie osiedział.

W tém księciu wyjeżdżającemu za granicę potrzeba było gotówki: postanowił on więc wypuścić w arędę dobra Żmudzkie, i wziąć z góry kilkakroć stotysięczną z nich roczną inratę. Wiadomość ta jak piorunem uderzyła *Bortkiewicza*: tracił miejsce—przeraziła też bardzo przywiązanych doń włościan—tracili ulubionego pana—bo księcia, który nigdy w tych dobrach nie był, nie znali nawet. Więc rada w radę między niemi, postanowiono, aby niekto inny jak *Bortkiewicz* wziął w arędę dobra te. Przyszli doń zatém z tą propozycją— a pieniądze zkąd? zapytał on zdziwiony: trzykroć sto tysięcy moje

towarzyszek, skupiła się młodzież na dziedzińcu plebańskim; między nimi, dojrzały wiekiem, znaczniejszy mężką i krzepką posturą, a najpilniej zalecający się pannie, był pan *Wincenty Mejra*, młodzian mogący mieć lat dwadzieścia pięć, ale już wsławiający się siłą nad wiek, zręcznością do korda i odwagą..... Wtém wychodzi z plebanii, uchylając się we drzwiach, bo te dla każdego wygodne, na jego urodę za niskie były, powiedziałbyś *Samson* czy *Herkules*, bo do obu tych historycznych osiłków porównaćby się mógł, człek o jakie dziesięć lat starszy od Mejry, przystojny, lecz razem *rubasznój* i *zuchwałój* miny..... Dwa te przymioty, na pozór sprzeczne, a jednak często

dziatki! a ja i trzech tysięcy nie mam. — Pieniądze my złozym—odpowiedzieli: nam częściami oddawać będziesz, a zysk wasz. I tu zaczęło się dobrowolne otaxowanie się na składkę. *Bortkiewicz* pisał kredą na stole, a włościanie dyktowali liczby: wkrótce podsummowano 15,000 czerwonych złotych i nazajutrz już one były w szkatule *Bortkiewicza*, bez kart, bez obligów, z prostą tylko notatką, kto i wiele przyniósł.

Wziąwszy zatem *Bortkiewicz* z sobą kilku zacnych gospodarzy, bo przed księciem nic z téj okoliczności zataić nie chciał, wyprawił się z pieniędzmi do Warszawy, gdzie natenczas przebywał książę dziedzic. Tam on dowiedział się o wszystkich szczegółach téj sprawy z niewymówném zadowoleniem, i gości swoich, włościan, przyjął najuprzejmiej: chlubił się przed całą Warszawą ich zamożnością, która była razem i dowodem jego względem ich ludzkości, a z pańską wspańiałością nagradzając i swych chłopków i ich rządę, przyjął ochotnie przywiezioną propozycję, rozliczył intratę na korzyść *Bortkiewicza*, ustępując mu nawet bezpłatnie krescencje kilku tam znajdujących się folwarków. Folwarki te w miarę obszerności dóbr nie były wielkie, bo gotowe czynsze tam jako i we wszystkich znakomitszych na Żmudzi dobrach składały główny i prawie jedyny a wysoki dochód dziedziców; zakładano je bowiem pierwiastkowie dla pomieszczenia i utrzymania tylko miej-

łączące się i w naturze i na licach ojców naszych, a to bardzo naturalnie: bo zasadą ich charakteru były dobroć i miłość, a duma i zarozumiałość nałogiem codziennym z samowolnej nieuległości wyłęgłym. Dla tego też, czy to w ogólnych prawach i uchwałach na dobro kraju, czy to w szczególnych osobistych zamiarach, co miłość przedsięwzięła i postanowiła, to duma i zarozumiałość wykonać nie dozwoliła, i wzajemnie co duma i zarozumiałość nabroiła, to miłość i poczciwość poprawiała i łagodziła, a ta nieustanna fluktuacja, jest właśnie treścią dziejów kraju całego, i dziejów na onczas każdego szlachcica czy pana.

Wychodzący z plebanii, i z postaci i z humoru

scowych *oficiów*, ale w kraju tak handlowym pod Rygą, na ziemi tak błogosławionej, i małe zasiewy, zwłaszcza lnu, znakomite przynosiły zyski. Słowem, po latach kilkunastu téj arendy, Bortkiewicz kupił tu na Litwie chat z półtorasta, piękny i we wszystkie wygody opatrzony majątek, do którego nakoniec z łałem włościan tamtejszych przeniósł się. Lecz rozłączenie się to nie przerwało wzajemnego między nimi przywiązania i wzajemnej wdzięczności. Miło było widzieć, jak zapraszani przez Bortkiewicza na domowe jego rozmaite obchody i uroczystości, przybywali doń kochani goście jego, włościanie staruszkowie ze Żmudzi, a nigdy mu przybycia nie odmówili; jak on sam, ojciec licznej rodziny, rad im był z całego serca, zasadzał ich u stołu obok siebie i dorodne już dzieci swoje przedstawiał im, nauczając synów miłości, wdzięczności i poszanowania dla tych nieoszacowanych przyjaciół swoich; i nakoniec, jak poczciwi starcowie błogosławili domowi, i jakby własnemu, potomstwu jego. . . . Nie mam potrzeby dodawać, jakim był sam Bortkiewicz panem dla swoich własnych włościan.

Niegdyś w młodości mojej przysłuchiwałem się opowiadaniu téj całej historyi przez naocznego jój świadka, a umieszczam ją tu naprzeciw tylu potwarzom, modnym niestety! a w ogólności niesprawiedliwym, o obchodzeniu się z włościanami ojców i dziadów naszych.

był właśnie *typem* (szkoda że na to polskiego właściwego nie mamy wyrazu) tej dwoistej szlacheckiej natury. Pan Żegota z *Milanowa Milanowski*, zawzięty jak *mazur*, bo z Mazowsza, jak to później obaczemy, ród swój prowadził: uparty jak Żmudzin, a w gruncie poczciwy jak oba.

Gdy wyszedł z plebanii *Milanowski*. siedział wówczas, na ganku pan Kasztelan S. . . . *Dominos* (1) Żmudzki, bogactwem i senatorską godnością najważniejsza figura w tém zgromadzeniu. Zmierzyli się niechętném okiem dwaj zawzięci nieprzyjaciele . . . Dla czego nieprzyjaciele? choć krewni, niżej się dowiemy.— *Hardopyszek!* — rzekł przez zęby, lecz z przyciskiem Żegota, mijając Kasztelana. — *Banita!* — rzekł podobnie Kasztelan za odchodzącym.

— Pana Pułkownika *Murmuluka!* — zawołał znowu *Milanowski* z szyderczym uśmiechem, mijając kasztelanowego brata, figurę wysoką, chudą i wyperukowaną, a ustrojoną w jakiś *permodum* wojskowy cudzoziemski mundur.

— Dowód to łaski pańskiej! — odpowiedział powitany, wymową przez nos przepuszczaną, od której właśnie *Murmulukiem* był przezwany; a za odchodzącym Żegotą dodał, mruczając już zupełnie jakby w katarze: *Tausend teufel!* to jest *bodajbys sto djabłów zjadł*.

Wtém Żegota postrzegł pannę Dorotę, otoczoną rojem adoratorów, sam do jéj serca i ręki szczéry, serdeczny i powszechnie ogłoszony pretendent. Dotąd jego rywalem był tylko pułkownik *Murmuluk*, ale się on go nieobawiał wcale, bo chociaż

(1) Od dawnych czasów i dotąd, pospólstwo żmudzkie niektórym tam familjom dodaje nazwanie *Dominos* — w Telszewskim na przykład: *Gadonom* i *Piśsudzkim* — w Szawelskim: *Szemiotom* i *Burbom* — w Rosieńskim: *Przeciszewskim*, *Billewiczom*, *Dowgiałtom* etc.

wdzięki tylko były posagiem *Dosi*, mającej liczne rodzeństwo, a pan pułkownik na całej swęj fortunę oświadczał opisać jęj przed ślubem dożywocie, i nadto bogaty dar summowny uczynić i oblięiem czystym upewnić za wiano, wszakże gdy ta fortuna jego, chociaż obszerna, była jako i on sam starą ruiną, a brat, pan Kasztelan, mający kilku synów, oppugnował się wszelkim małżeńskim imprezom beżzennego ich stryjaska, przeto jak rodziców panny Uwojnianki nie nader łudził majątek pana Pułkownika, tak córeczce nie mogła się podobać podstarzała i śmieszna jego figura. — Nakoniec, ostatni przeciw niemu argument Żegoty był w kordzie; bo chociaż Murmuluk pułkownikiem wojsk pruskich się mianował, a mundurem, przysłowiem niemieckim *tausend teufel*, i opowiadaniem naprzykrzonym każdemu bitwy pod Kistrynem (1), tego dowodził; wszakże często z dobrym skutkiem probowano z nim tego środka, i nieraz zbliżającemu się już do kobierca pałasz rywała zagroził drogę.

Ale spójrzawszy na grono chłopców młodych, otaczających *Dosię*, Żegota wśród nich przeczuł do razu niebezpieczniejszego współzawodnika w *Mejrze*... Twarz mu więc, po śniadaniu już zarumieniona w plebanji, ciemnym wnet powlekła się karmazynem. — Chrząknął — chrząknął tylko!... ale aż ziemia zadrzała!... Niegdyś krzyknął Achilles i Trojanie uciekli... tu chrząknął Żegota i panice spłoszyli się od *Dosi*... Ale *Mejra*, jak ów natenczas Hektor, został na miejscu a we wzroku ich którym się spotkali tyle było nienawiści, tyle wżgardy, tyle zemsty, że się zdawało, iż krew im ze źrenic wytryśnie... Ah! bo niestety! krwią zapisane były karty ich przeznaczenia!...

(1) Bitwa pod Kistrynem, w czasie siedmioletniej wojny.

Jak rój motylów rozpierchły się dziewczęta, każda do swojej mamy, i zbladła Dosia do swojej odbiegła. — Rywale jeszcze raz spojrzeli na siebie jak bazyliuszki, i nakoniec Mejra zawrócił się ku plebanji, a Żegota, postrzegłszy przy bramie kościelnej dwóch nieodstępnych nigdy odeń łózaków swoich, *Poroczka* i *Norejka*, dających mu na migi jakoweś znaki, wyszedł do nich.

— Co to jest? czego chcecie? — zapytał.

— Jedźmy, Jegomość — rzekł *Poroczka* — są tu jakieś na nas zasadzki i praktyki; poznaliśmy z *Norejka* kilku kasztelańskich huzarów, przebranych po naszemu: piją u Szendera, a że to brat rodzony naszego arendarza Judela, przeto nas ostrzegł i zaprowadził tylnemi drzwiami do komory, gdzie dosłyszeliśmy po trosze, jak oni traktując miodem szlachtę, i złote jej góry od Kasztelana obiecując, zmawiają na zaczepkę z panem; więc czy nie lepiej byłoby wymknąć się? bo może....

— Cóż tam może? — przerwał surowo Żegota. — Czy posiedziawszy w domu za piecem tchórzem już podszyliście się? Czy już zapomnieliście konfederalckiej komendy „*Muszk* (1) *Poroczka! Muszk Norejka?* A właśnie mię teraz ręka pali, więc chciałbym... *Muszk!* — dodał uderzając po szabli.

Łózaki ukłonili się, i skonfundowani wymówką pańską szli za nim, żadnych już nie czyniąc przestroż.

Zatém zuchwałym krokiem Żegota pomaszerował przez rynek; ustępowała przed nim lóżna gawiedź i pospólstwo. *Poroczka* i *Norejka*, od pana nabierając energii, czupurne także nastroili miny. I taką troistą kalwakatą obeszlł plac cały, otarli się koło Szendera, a nigdzie nie spotkawszy, ani dostrzegłszy nieprzyjaciela, w powrocie przed ko-

(1) *Muszk* — Bij.

ściół właśnie środkiem przerzynali rynek... gdy na drodze zatrzymała ich *barykada*.

Barykadą tą był długi i szeroki stół, nałożony wielkimi kupami pierników, a otoczony gromadą dzieci włościańskich i matulek, sypiących przedającą żydówce koronczyki i pruskie dytki.— Z radością rozchwytywała dziatwa pietuszki ze złoceniem grzebykami, baranki z takimiż różkami i różne fabuliczne smoki i latawce, ze słodkiej masy ulepione; a starsze dziewczki i matule rozbierały skwapliwie na zapas i na gościńce dla pozostałych w domu, szerokie jak łopaty pierniki w różne złoczone na wierzchu floresy ozdobne.

Żegota, zatrzymany w marszu, chciał najprzód stół przewrócić; lecz gdy żydówka rzuciła mu się do kolan i błagać zaczęła, inna myśl do głowy mu przyszła.

— Słuchaj! — rzekł — co chcesz za cały stół?

— Jasny Panie! — odpowiedziała zagadniona niespodziewaną propozycją i przełkniętą jeszcze Siora — Jasny Panie, to wielki towar i gwałt pieniędzy kosztuje. Miód drogi tego lata a tu sam lipiec odborny.

— Mów szachrajko, przerwał jęj groźnie Żegota — bo nie mam czasu długo z tobą się targować.

— Jasny Panie! czy ja mogę tak prędko zliczyć; ja jeździła aż do Torunia uczyć się piec tego piernika; a co ja tam za to zapłaciła! aj! aj!

Żydówka ochłoneła już ze strachu, i pustą rozmową, starała się sobie dodać czasu na rozmyślanie jak najlepszej ceny swemu towarowi.

Po lipiec — mówiła dalej — trzeba jechać aż do Kowna, a i tam trudno dostać, bo wszystek sycą na trójniaka, i wszystek rok na rok panowie wypijają. — Niech im Pan Bóg daje na zdrowie!....

— Czy długo będziesz bałamucić? — zawołał znowu zniecierpliwiony Żegota — cenę, bo stół do dja-

bla przewrócę, i pierniki twoje rozlecą się na cały rynek.

— Gwałt! gwałt! co mnie robić? kiedy Jasny Pan tak chce koniecznie, to bez urazy Pańskiej... Nu, a co Pan z niemi zrobi jak kupi?

— A tobie co do tego? Zjem!

— Nu, to nie może być, chyba schowawszy, to na długo będzie dla zakąski albo....

— Do miljon kroćset!...— wrzasnął Zegota porywając za stół.

— Jasny Panie, gwałt! stój pan! stój! zapłać Jegomość dziesięć talarów, i bierz!

Zegota uśmiechnął się na tak przesadzoną cenę; pospółstwo nawet, przypatrujące się tej scenie, łajając żydówkę poczęło a zmieszało ją najbardziej, krzyknawszy, że to chyba razem i z tą skrzynią pełną także pierników, na której siedzi: ale Milanowski nieuważając na nic, i zapłaciwszy dziesięć talarów: — bierzcie stół! — rzekł do łózaków — i nieście za mną — a widząc że we dwóch temu podołać nie mogli — Pomóście dziatki — rzekł do pospółstwa — a dostaniecie tych kołaczów.

Kilku wnet chłopaków rzuciło się do pomocy Poroczce i Norejce. Szedł więc naprzód Zegota, za nim niesiono stół z piernikami a za stołem brnął lud, ciekawy co z tego będzie?

Kompanja na dziedzińcu plebańskim widząc że coś się nadzwyczajnego na rynku dzieje, zbliżyła się z drugiej strony do sztachetów i pytała także co się stało panu Milanowskiemu, i co z tego będzie?

Tymczasem on kazał postawić stół przy samej bramie kościelnej, tak, że ktokolwiek z plebanji wychodził na rynek lub do pojazdów, tuż koło niego przejść musiał; kazał jeszcze przynieść zedel i zasiadł za stołem jakby do najważniejszego dzieła.

— No, chłopcy— rzekł on najprzód do niosących stół; macie po wielkim pierniku za waszą fatywę.— Ci ukłonili się i z wesołym podskokiem odeszli.

Prowadźcie mi teraz wszystkich ubogich rzekł do swych hajduków...

Pan Kasztelan tymczasem siedział dotąd na ganuku, rozmawiając poważnie ze zbliżającymi się ku niemu, a oglądając się niekiedy w różne strony, jakby kogoś oczekiwał. Gdy Żegota ze stołem i tłumem zbliżał się do bramy kościelnej i zaczął potem tę wspaniałą dywidendę pierników, Kasztelan nań się zapatrując wzruszał ramionami, poglądał nienawistnie i mówił sam do siebie:— Banita buszuje, buszuje! ale poczekajno, poczekaj! przytrę ja tobie rogów!— I znowu oglądał się niecierpliwie. Jakoż deczekał się widac oczekiwanego, bo dostrzegł zbliżającego się doń jakiegoś szlacheica, a może jednego z własnych przebranych huzarów, których Kasztelan utrzymywał kilkudziesięciu na swoim dworze, i z których kilku poznali łózaki Milanowskiego; ten obszedł plac kościelny z drugiej strony, wlaźł do ogrodu plebańskiego przez płot, a z ogrodu wyszedł na dziedziniec i spotkał idącego naprzeciw siebie Kasztelana.

W tłumie i gwarze nikt na ten manewr nie zwrócił uwagi: szlacheic kilka słów szepnął na ucho Kasztelanowi, ten za całą odpowiedź kiwnął głową, i emisaryusz znowu tąż samą drogą i lisim krokiem odszedł, a Kasztelan wszedł do plebanji, i zabierając się do odjazdu, z proboszczem żegnać się począł.

Pleban obfite i pokilkakrotne zastawiając śniadania, bo wyśpieszyć obiadu dla wielkiej publiki, na zwykłą zaraz po nabożeństwie godzinę, niepodobna mu było, miał nadzieję że goście jego cierpliwie, bo niegłodno tę pauzę zniosą; zadziwił się więc odjazdowi Kasztelana, i zakłopotany staru-

szek przeproszać go zaczął za tę mimowolną zwłokę, upewniając, że wnet waza będzie na stole, a błagał najpokorniej aby zostać raczył, dla honoru i ozdoby jego ubożuchnego, ale z serca ofiarowanego kollatorom i dobrodziejom tego kościoła, traktamentu.

Lecz Kasztelan, uspokoiwszy go najuprzejmiej, upewniał, że wszyscy widzieć mogli na dziedzińcu posłańca, którego doń wyprawiono z domu, z wiadomością wymagającą rychłego powrotu, a zatem, że odjechać musi bez zwłoki.

Gdy to się działo w plebanii, tymczasem Żegota obdzielał piernikami liczną nader gromadę żebraków na fest zebranych, a z pod kościoła i zewsząd przedem przyprowadzanych; lecz zostało jeszcze pół stołu zakupionego towaru; natenczas zawołał on głośno: — Sam tu! kto chce piernika, niech się pokłoni.

Nie wielu się kwapiło na to myśliwskie nawolywanie; kilku jednak z pospólstwa śmiejąc się podeszli, poklonili się i dostali piernika. Lecz w tejże samiej chwili wyszedł Kasztelan z bramy i stanął, nadezłując na swą karetę, po którą posłał, a która odeszła była pod karczmę, bo stangret i służba, nie spodziewając się przed obiadem wyjazdu z plebanii, odjechali tam razem z innemi ekwipażami; znalazł się więc prawie obok Żegoty i odwrócił się doń tyłem.

— Kasztelanie! — zawołał Żegota — pokłoń się, dam piernika!

Kasztelan odszedł dalej jeszcze o kilka kroków.

— Ho! ho! panku — wołał za nim Milanowski — nie chcesz pokłonić się szlachcicowi, a nawet krewniakowi swemu....

Przerwał dalszą perorę idący za bratem Kasztelanem Pułkownik. Skoro się on ukazał w bramie, opuściła Żegotę zawziętość i rubaszenie zawołał znowu:

— Pułkowniku Murmuluk! pokłoń się, dam piernika!

— Dowód to łaski pańskiej — odpowiedział jak zwyczajnie przez nos i powoli Pułkownik, kłaniając się z daleka — a wtém nadeszła karetą. Kasztelan wsiadłszy do niej i zabrawszy brata, rzekł przez okno do Żegoty:

— Poczekaj ty Banito! wraz na łbie pierniki mieć będziesz! Ruszaj!.... a Pułkownik przez drugie okno rzucił mu jeszcze: — „*Tausend teufel.*“

Na te apostrofy zerwał się porywczo Milanowski, lecz, pojazd pędząc z kopyta był już daleko.

Żegota, usiadłszy na nowo za stołem, postrzegł blisko siebie stojącego jakiegoś człowieka, niepoczesnej postaci, ale gęstiej miny, patrzącego nań wytrzeszczonemi oczyma, kręcącego wąsy i muskającego się po czuprynie.

— A to co za pokusa? — zapytał on.

— Aj! bodaj żem ja go widział u Szendera — odpowiedział Norejko.

— Słuchaj kpie! — zawołał więc nań Żegota — chodź sam tu, pokłoń się, a dam piernika na zakąskę miodu kasztelańskiego, coś pił u Szendera.

Jakoż podszedł szlachcic, jakby na wezwanie, ale *insperate* zamachnąwszy ręką po stole, wszystkie pozostałe kupy pierników zmiotł na ziemię, i dął w nogi ku kramom co miał siły.

— Ha! chłystek! zdrajca! krzyknął Milanowski — łapaj! łapaj! *Muszk* Norejka! *Muszk* Poroczka!

Nizeli to wymówił, już oba gonili figlarza, ale posłyszawszy za sobą znajomą konfederacką komendę *Muszk*, dobyli szabel, i z podniesionemi biegli za uciekającym.

Milanowski wnet poznał, że ta zaczepka nie jest bez kozéry, i że lozaki jego trafić mogą na zasadzkę; krzyknął więc na pospólstwo: — zbieraj kto chcesz pierniki, — a sam śpiesznym krokiem szedł ku kra-

mom, na środku rynku w kwadrat zabudowanym, za których jednym bokiem zniknęli właśnie i zbieg i pogoń.

Nie omylił się on: była to zasadzka, ułożona przez Kasztelana, a zdana na wykonanie kilku szlachcicom stronnikom jego, kilku dawnym jego dworzanom i pod ich komendę dodanym kilku huzarom, z planem podrażnienia Żegoty tak, aby on sam koniecznie zaczął zbrojną zaczepkę; czego łatwo dokazać mieli nadzieję, znając charakter i zuchwałość jego. Szło zatem, że w sprawie kryminalnej, która z tej akeyi wyniknąć miała, Żegota choć zwyciężony i zrabany, bo tego się pewnie spodziewał Kasztelan, nasadzając kilkunastu na jednego, nie mógł zaprzeczyć się, że był napastnikiem, a tak uległby wyraźnemu prawu: „*Infestor se ipsum occidit.*“ Napastnik sam siebie zabija. — Kasztelan zaś, aby pozoru podejrzenia uniknął, wyjechał, jakeśmy to widzieli, z miasteczka.

Uciekający szlachcie wpadł w kupę spiskowych towarzyszków, czekających go i ukrytych za kramami; za nim lecący Poroczko i Norejko ujrawszy nagle tę gromadę, stanęli; wtém któryś z wodzów bandy krzyknął:

— Napaść mości panowie! Gwałt! błorę wszystkich za świadków! brońmy się!... i wnet kilkanaście szabel rzuciło się naprzód, a nim hajduki, choć rosłe i silne chłopcy, mogli się opamiętać i złożyć, dostali po łbie i rękach cięcia, lekkie w prawdzie, ale jednak okrwawieni i ranni, nie mogli dotrzymać placu, i niepomni na rycerską sławę, tył poddali, a po prostu mówiąc, uciekać zaczęli.

Attakująca rzesza nie nacierała natarczywie, czy to mądrze umiarkowana w zwycięztwie, czy to że miód szenderowski zuchując im po głowach, płatał się po nogach.... możeby nawet przyszło do rady wojennej i do *armistitium*... gdyby w tej chwili Żegota, biegnący na sukurs swoim, nie wpadł na

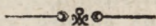
nich, jak zgłodniały wilk na trzode wieprzów, co się w niebezpieczeństwie takim cisną w kupę, i ostre kły swoje wyszczerzają naprzeciw napastnikowi....

Wyższy o pół łokcia od wszystkich, z rapirem o pół łokcia dłuższym od szabelek szlacheckich — *Muszk!* krzyknął on z całych piersi, i dopadając osłupiałej na ten krzyk tłuszczy, dźwignął mieczem potężnie... kilka kling wybitych z rąk i rękojeści furknęło w powietrze.... a Żegota, zwinawszy przed frontem nieprzyjacielskim krzyżowego młyńca, puścił rapir *horyzontalnie* po nosach, zębach lub łbach; podług wysokości figur jak komu przypa-dło.... *Muszk!* jak z pistoleta palił, i wnet jak-by echa od tego wystrzału rozlegały się aj! oj! aj! oj! rozmaitemi głosami.— *Muszk!* aj! aj! oj! oj! oj!

Opojona szlachta dostawszy w pierwszym zama-chu za swoje, ranieni i nieranieni pierzchali wszy-scy.... przebrani huzary stanęli szczerniej w kro-ku, lecz i ci, nie mogąc wytrzymać krzyżowego młyńca, który jak błyskawica wijąc się koło Że-goty, odbijał i kruszył ich pałasze, a potem kosił ich *horyzontalnie*, uderzyli także na odwrót.... Wtenczas Żegota zmienił manewr.... walił płazem po uciekających — *Muszk!* oj! oj! oj! oj! *Muszk!* aj! oj! oj!... a za każdym *Muszk!* sztaba żelaza spadała z góry na grzbiet dognanego, boleśniesz-tam i na dłuższy czas, niżeli lekka rana wypie-kając piętno.

«Tak niegdyś sławny rycerz Palestyny,
Oślą paszczęką gromił Filistyny.» (1)

(1) Monachomachija.



III.

Jak wygram *rehabicję* (1) na suksessorach króla Jana III do Milanowa, który on za bezcen kupił od mego antenata, i jeszcze jakby na despekt naszego mazowieckiego gniazda, Wilanowem po włosku przezwiał (2), to będę większy pan i od mego krewniaka pana Kasztelana, mawiał pan Milanowski, gdy się między bracią przy kielichu rozdobruchał i facecye prawić zaczął. Wiedział on bowiem dobrze ze swych aktów domowych, że w roku 1677 Jan Sobieski, król, upodobawszy sobie w pięknej nad Wisłą okolicy, blizką od Warszawy wieś, Milano-wo zwaną, starożytną szlachecką rodzinie Milanowskich jeszcze od książąt Mazowieckich nadaną, kupił ją za 45,000 złotych ówczesnych, i we wspanią potém rezydencję monarszą zamienił. A gdy jeden ze sprzedających, Jan Milanowski, na wyprawie Wiedeńskiej dzielnie pocztom polskim przywódząc, pod okiem króla baszę jakiegoś własną ręką zabił, a liczny hufiec turecki z nieniejszym daleko własnym rozproszył; przeto król po powrocie z wyprawy, w nagrodę męztwa jego i zasługi, *panem bene merentium* (3) mu udzielił, to jest dał mu w dożywocie starostwo na Żmudzi Tabiny zwane.

(1) *Rehabicja* termin prawny — znaczy: przywrócenie do własności.

(2) Historyczne, prawdziwe.

(3) Chleb dobrze zasłużonych.

Syn tego walecznego męża pojął za żonę córkę możnej żmudzkiej rodziny Jagintów, a po niej dostała się potomstwu jego w puściznie wieś po Żmudsku *Berżułukas* (pole brzozy) dziś *Berżyłówką* zowiąca się. I oto historia rzeczywista przesadzenia się Milanowskich z Mazowieckiej na Żmudzką ziemię.

Za czasów jeszcze pogaństwa w Litwie, na początku XIV wieku, familja Mejrów miała już swe posiadłości na Żmudzi, około Jurborga, nad granicą pruską, a lubo niektórzy ród ich od Niemców pochodzącym być twierdzili, i nazwiskiem z niemiecka brzmiącym, mniemanie to usprawiedliwiali, wszakże Mejrowie przeciw temu ich zczudzoziemszczeniu z niezbitym stawali dowodem, bo z nadaniem od Witolda, za krwawe walki z Krzyżakami (zatem z Niemcami), przodkom ich majątności Kilpinie, od wyrazu litewskiego *kiłpa* (strzemie) nazwanój, niedaleko zamków krzyżackich Ragnety i Tylży leżącój. Ileż to dostojnych rodzin na Żmudzi, takimież nadaniami i za również w bojach z Krzyżactwem zasługi, poszczycić się, pewny jestem, może?

Dwie zatem rodziny, mające we krwi od przodków sobie przelane pochop i zapał do męztwa i korda, żyły od wieków w sąsiedztwie; Milanowscy w *Berżyłóвке*, Mejrowie w *Kilpinie* — a rozdziałała ich tylko fortuna państwa Uwojniów od wieków także sławnych prawników. Z takiego położenia tych trojga siedlisk zdawaćby się mogło, że między dwoma wążącemi mieczami, rozjemcza *Themis* na gwihcie szali usładła. Ale niestety! *Themis* to była prawdziwa szlachecka, swarliwa, a do nieustannych processów, kłótni i sporów, szczególniej granicznych, podbudzająca, więc Uwojniów opiekunka i patronka. Jakoż od dziadów i pradziadów, to na jedną, to na drugą stronę obracając się oni, jednemu lub drugiemu dokuczali sąsiedztwu — ale

na przemian: bo ani Żegotom, ani Mejrom nie mogąc dotrzymać pola na dyferencyach, zawierali pospolicie z jednemi kombinacyę, która zawieszeniem broni nazwać się mogła, warując zbrojną pomoc w przygodzie, gdy na drugiego nastawać mieli, i wzajemnie; ztąd i Milanowscy z Mejrami klócili się za cudzą sprawę, a wszystkie trzy domy żyły w nieustannój zwadzie, rozgardyaszu i kłopotcie.

Taki stan rzeczy, idąc przez pokolenia, dotrwał aż do czasu, gdy Żegota Milanowski, starszy ze swój rodziny, wrócił po Konfederacyi Barskiej do domu, i nie znalazłszy w życiu rodziców, został gospodarzem w *Berżyłowie* — a Rafał Mejra, mający również kilku młodszych od siebie braci, wyrosł na młodzieńca, i dawnym szlacheckim obyczajem, aplikować się do *jurysprudencyi* i do szabli razem, co jedno drugiemu nie przeszkadzało, począł; i na koniec, gdy u państwa Chorażostwa Uwojnow zakwitła Dosia, która ręką swą na jedną lub drugą stronę oddaną, zjednać mogła dwóm przynajmniej ze trzech klójących się rodzin zgodę wieczną, a własnej stałych już sprzymierzeńców.

Trzydzieści lat z górą liczyć mógł sobie naówczas, gdy wrócił do domu Milanowski — sam czas do ożenienia się. — Dwadzieścia pięć miał Mejra, sam czas do miłości. — Dziewiętnaście wiosen liczyła Dosia, sam czas do małżeństwa. Uważając te *cyrkumstancye*, Pułkownik Murmuluk, pretendent trzeci do ręki Dosi, powiedział:

— Gdym był pod Kistrynem, to była tam taka baterja, co na dwa boki strzelała i najciężej było zdobyć ją; alem ja podszedł z trzeciego boku....

— To i Dosię myślisz Pułkowniku zdobyć z trzeciego boku? — przerwał ktoś.

— Dowód to łaski Pańskiej!...

Z Pułkownikiem więc Żegota był w emulacyi jedynie tylko z racyi Dosi, o co mało dbając jakżeśmy to wyżej namienili i nie lękając się wcale tego rywala, nie wiele też go i nienawidził. Lecz z Kasztelanem nienawiść ich wzajemna głębsze miała przyczyny, srożej raniła obie strony, i do niebezpiecznych wiodła skutków. Była ona *dziedziczną* i między *krewnemi* — czytelnik więc znający namiętności ludzkie, tém samém uzna, że musiała być najzawziętszą. „*Rara concordia fratrum*“ mówi dawne przysłówie; dodaćby można makaronizmem „*Rarissima szwagrorum*.“ Dwie *Orwidówny* poszwagrzyły niegdyś dziadów Kasztelana i Żegoty; nie małego potem dziedzictwa żonek swych zgodnie rozdzielić oni nie mogąc, zawzięli się do kłótni i pieni.

«Po piętnastu dekretach, szesnastu remissach,
«Dziesięciu podkomorzych, pięciu kompromissach»,

proces przeszedł do dzieci i wnuków, gmatwając tylko coraz gorzej kwestyę dzielczą i jątrząc coraz głębiej serca do miłości z przyrodzenia przeznaczone.

Za pośrednictwem wielu poważnych obywateli ziemskich, a szczególnie powszechnie tam naówczas szanowanego *Szambelana Zaleskiego*, (1) mógłby się i ten długi process skończyć na pojednaniu; bo pan Zaleski nowy zupełnie honoru szlacheckiego wynalazł dowód, który dotąd na pozwie za nadrą i na ostrój szabli u boku zależeć zdawał się.

— Napadać, bić się, kaleczyć — mówił on, gdy upartych do pokoju nakłaniał — to po tatarsku; knuć zdrady, milczkiem kasać, pieniać się i upornie stać przy niesłuszném, to po niemiecku; ale nie po na-

(1) Szambelan Zaleski, ojciec Michała Zaleskiego, starosty Szwentowskiego, znanego już w naszych czasach całej Litwie, a dziad Zaleskich dzisiaj żyjących w Wielonie.

szemu, ale nie po szlachecku! Bo wiecież Waćpaństwo — perorował zwykle — zkąd jest *styrps* tego wyrazu szlachectwo? Szlachectwo *provenit* od szlachetność i jest jak *dyftong* jedno z drugim związane; szlachciec zatem jeżeli jest prawdziwy karmazyn, to powinien dowodzić tego *re et nomine* w pocziwém życiu swoim. Burda, kręciel, cheiwy cudzego pieniacz, nie jest szlachciec prawdziwy, choćby genealogję od Japheta prowadził.

Takimi argumentami *ad hominem*, modyfikowanemi stosownie do stanu i usposobienia osób z którymi miał do czynienia, przygaszał Zaleski zawziętość, zawstydział głupią zarozumiałość, i rozbudzając w sercach sentymenta godności szlacheckiej wymuszał dla niej ofiary z zastarzałych nałogów do *juromanii*.

— Bięda nam była z tym panem Szambelanem Zaleskim — powiadał mi pan Dargwojń, dawny niegdys sądowej Rosieńskię repartyeyi mecenas. — Człowiek bywało przed *kadencyą* (1) nawpisuje sobie do *wokandy* (2) z pięćdziesiąt aktoratów i nieszeptny wyliczy kapitalik w sperandzie; ale pan Szambelan, świadomy bardzo interesów całej Żmudzi, przed każdą kadencyą wymyśli jakikolwiek u siebie festyn i pozaprasza prawujących się. Nikt mu przybycia odmawiać nie śmiał, bo był to człek mądry i zacnej duszy, a zatem we czci u wszystkich. Zjechawszy się więc ichmość oponenci, patrzą najprzód na siebie z ukosa, ale klócić się w domu tak dostojnego obywatela nie mogą; i po dniach kilku, a czasem i kilkunastu, bo na to ani umysłu, ani fatygi Zaleski nie żałował, wyjeżdżają pogodzeni jak bracia. Nadchodzi potem kadencya, i aktoraty spadają *per non sunt* jakby ich nie było;

(1) *Kadencyą* — tak się zwał termin zjazdu sądów.

(2) *Wokanda* — książeczka w którą adwokaci wpisywali rejestra spraw, których bronili.

pana *sukolektora kopy* (1) i nasze *honoraria*... fu!... — skończył, dmuchając po dłoni.

Miło jest tę sprawiedliwą wspominkę poświęcić imieniowi męża, którego obywatelskim cnotom i usiłowaniom nie jedna familja na Żmudzi, winna była pokój i ocalenie kawalka karmiącego i dziś jeszcze jej potomków.

Pan Szambelan więc Zaleski, zabierał się już do kombinacyi Milanowskiego z Kasztelanem, czegoby pewnie dokazał, gdyby nowa przyczyna nie wynikła niespodziewanie w kraju, która dawną między nimi nienawiść familijną, wzmogła polityczną, przeciwnego sobie stronnictwa zaciętością.

Wybuchnęła Konfederacya Barska. — Przeciw króla!... Za królem!... dwa te hasła rozdzieliły naród, i wzięto się do oręża.

Żegota Milanowski stanął w Konfederacyi pod dowództwo pana Regimentarza Bilewicza, wraz z jednomyślnymi przyjaciółmi swemi, Rotmistrzem Kowieńskiej brygady *Muśniczem*, *Jamontem*, *Witor-tem*, *Narwojkiem* i innymi; przeciwnie: Kasztelan, wiodąc za sobą poczt z kilkudziesięciu swoich huzarów, z *Górskim* stanęli na czele partyi królewskiej. Zaczęły się więc krwawe po kraju kowrody, w których nikt talentów wodza, i nikt prawie uległości dobrego żołnierza nie dowiódł; ale osobistego męstwa i poświęcenia się codziennie jawiły się przykłady, które budząc tylko chwilowy aplauz towarzyszków i nie wchodząc na kartę dziejów, razem z cchem odeń ginęły; a jeżeli niektóre i zostały w pamięci i przeszły w domowe podania, to chyba że jakiś stary konfederat, rozpamiętywał i rozpowiadał potem przy kominiu dzieciom i wnukom, sweje własne i cudze z owych czasów przygody.

(1) *Kopy* — tak nazywano opłatę od stron prawujących się dla sądu przez sukolektorów wybieraną.

Żegota stanął pod chorągiew Regimentarza z dwó-
ma nieodstępniemi i doświadczonej sobie wierności łó-
zakami, *Poroczką* i *Norejką*. Włóścianie to byli je-
go, ale synowie starych sług domowych, hodowali się
razem z paniczem, i z nim razem pobywali nawet
w szkołach, w których i panicz niedługo gościł, tyle
tylko liznąwszy łaciny, ile do zrozumienia terminów
prawnych i sentencyów przy kielichu potrzeba było;
w konsyderacyę zaś i afekt braterski kordem się po-
tém: wrębał.

Tenże sam więc kord i dzielne ramię poświę-
cił Żegota sprawie, w której *sub fide, honore
et conscientiae* (1) jak natenczas mawiano, przy-
jął uczestnictwo, a gdziekolwiek nim błysnął, do-
trwać mu w kroku nie mogli *regalistowie* (tak na-
zywano stronników króla), i często liczne ich bandy
z pomocą tylko *Poroczki* i *Norejki* we trzy szable
płoszył.

Lecz wtenczas najbardziej krew się w nim zapala-
ła, wtenczas ani komendą ani żadną radą uhamo-
wać się nie dawał, gdy kasztelańskich huzarów na-
przeciw siebie dostrzegł, i nieraz, mimo olbrzymiej
siły, byłby zginał w takim zapędzie, lub w niewolą
z łózakami swemi byłby ujętym, gdyby go rychła
odsiecz towarzyszy nie salwowała.

Uprzykrzyło się nakoniec Kasztelanowi, że jego
huzary stali się celem pośmiewiska całej Konfede-
racyi i stron obu: bo żarty, anegdoty i dykteryjki
żołnierskie, z obozu do obozu przechodziły, humory-
styczny niejako, przy zerwaniu innych, między bra-
cią utrzymując związek. Nieznośném mu było ha-
sło Żegoty: „*Muszk Poroczkas! Muszk Norejkas!*“
którem jego rycerzy wszędzie z urąganiem witano.
Zemścić się więc i zmyć hańbę ze swój chorągwi
postanowił, wzajemnie zatém na Milanowskiego tyl-
ko godzić swoim kazał; ale trudno było czegoś do-

(1) Pod zaręczeniem wiary, honoru i sumienia.

kazać z żołdactwem, które widząc codzienne dowody męstwa i siły jego, przywykło zmykać nie tylko przed nim, ale i przed każdym niebezpieczeństwem. Stowarzyszył się więc Kasztelan z pułkiem królewskim tatarów, i w utarczce pod Wiesznianami (1), obrawszy oddaloną od całego obozu, a dogodną swym zamiarom pozycję, ukazał się ze swymi huzarami na przodzie, i podrażnił nieostrożnego zawsze a zapamiętałego Milanowskiego.

— Hęj bracia! widziecie kasztelańskich huzarów — krzyknął on: — Wiara! za mną! wytrzepiem im skórę! — i puścił się pędem... Kasztelan, czekający tylko na to natarcie, zwinął się w śpieszną rejteradę, bardzo podobną do zwykłej przed Żegotą ucieczki, a ten gonił, bez ustanku krzycząc: „*Muszk Poroczkas! Muszk Norejkas!*“ którzy oba lecieli obok niego...

Sypnęło się wprawdzie za nimi kilkanaście szabel, lecz nie mogli zdążyć tuż za Żegotą, który leciał w całym pędzie konia... W tém ukryty za wzniesieniem na zasadzce wypada oddział tatarów, i odcina mu sukurs i odwrót... w tejże chwili huzary, pobudzeni głosem obecnego pana swego i wodza, Kasztelana, odwracają się czołem... Milanowski otoczony.

— Żywcem go wziąć! żywcem! nie strzelaj! nie strzelaj — krzyczał Kasztelan... I czemużbyśmy nie mniemali, że głos ten był głosem jego serca czy sumienia, wzdygającego się na imię bratobójcy, które z krwią Milanowskiego spaść nań w tej chwili mogło... Lecz komenda ta i późną już była i mało słyszaną, owszem, strzały ze wszech stron sypały się gęsto... ale Bóg kule nosił żadna śmiertelnie nie uderzyła Żegoty; *Poroczka*

(1) Miasteczko na Żmudzi, nad samą natenczas granicą pruską.

tylko upadł z zabitym koniem, on zaś nie stracił głowy, ani męztwa, lubo czuł się być rannym. Mgnienie oka i śmierć albo niewola!... Tatary nadlatywały ścisłym szeregiem; w nich przebić lukę i dopaść swoich niepodobna było; huzary przeciwnie, zajeżdżali szerokiemi ale rozstrojonemi kołami, a wśród nich Kasztelan wołający bez ustanku: Żywcem go wziąć! — każdy jednak huzar na któregooby natarł, musiałby choć najmniejszy zastawić opór przierzynającemu się lub się go jakkolwiek uczepić: jeden Kasztelan umknie mi z drogi, pomyślał Żegota... i z podniesioną szablą rzucił się nań krzyknawszy: — ha! zdrajco! dobędę ja ci żywca!... — Kasztelan odskoczył z miejsca jak od pioruna... Żegota przesadził obławę! — Norejko zaś będący obok, nacierał na Kasztelana i rąbać się począł z kupiacami się na obronę jego huzarami, a więc pocziwiec umyślną ofiarą siebie samego, boby mógł razem ze swym panem umknąć, ułatwiał mu ratunek i zatrudniał nacierających.

Gonić! gonić panie Poruczniku! gonić! — wołał Kasztelan do oficera nadbiegłych w téjże chwili tatarów. lecz ten zakomenderował: — Stój!

— Kogo gonić? — rzekł — jednego całym szwadronem? piękny z pana jenerał! i gracka pańska komenda cha, cha, cha! no! przecież we stu jednego uchodzili — bo właśnie huzary wiedli okrwawionego Norejkę. — Winszuję wiktoryi — mówił dalej porucznik — winszuję! cha, cha, cha! Ale mi nie czas tu się zabawić; słyszysz pan ogień, tam się widać nie po naszymu biją; może pan zechcesz po tak wielkiem zwycięztwie odpocząć, ale ja.....

— Panie Poruczniku — przerwał dumnie Kasztelan — proszę tych żartów zaniechać! w swoim czasie przypomnę to panu. — Teraz idźmy razem. Hej! wy, z konia! — rzekł wskazując na dwóch huzarów — zwiążcie tego łotra; znam ja go od da-

wna, i zaprowadźcie jego do *Wieszni* do obozu. — Ależ wara! pilnować, bo jak uciecze, odpowiecie mi skórą! — konie ich wziąć na podwoły; od pieszych trudniej mu będzie umknąć; a teraz dalej — Marsz!



IV.

Został więc Norejko i dwóch przy nim strażników.

— No—rzekł jeden z nich— trzebaż wiązać pana Norejki.

— A kiedyż nie ma czém — odpowiedział drugi.

Tymczasem Norejko usiadł na ziemi i lewą swą porąbaną rękę, zaczął prawą opatrywać; krew już zastygła, cięcie było jakby ze swawoli zadane; odwiązał więc chustkę z szyi i zawijając ranę: — Oj *Mateuszas, Mateuszas*, rzekł do jednego z huzarów, wieleż to razy mogłem zdjąć tobie głowę z karku, ale pamiętałem zawsze że ty syn mojej stryjecznej ciotki, i tylko kiedy niekiedy płazem dostałeś; a tyś mnie rękę pokaleczył!

— Ok Jeezus (1) a dalibóg, że nie ja! czy ja nie wiem, że waćpan mój brat? czy my nie na jednem polu wykodowali się? dalibóg, że nie ja, ja zawsze makam tylko szablą koło mojego nosa, a strelam w górę; mi całą komendą tak zmówili się; jest prawda z dziesiątek niedowiarków z nami, co strelają do ludzi jak do wilków; ale mi prawdziwi kreściani, to w górę....

(1) Język to jest włościan Żmudzkich i Litewskich, pragnących mówić po polsku.

No to ty pijaku Szucillo, wytrąbiłeś z beczkę mojego miodu po kiermaszach, a teraz okaleczyłeś mnie.

— A niek mnie Pan Jezus *Szytelski* i Najświętsza Panna *Pojurska* od tego broni. Prawda, ja pożegnawszy się, rzuciłem szablę na ziemię (treba będzie jęj poszukać) i kwyciłem waćpana wpół, bo pomyśliłem sobie, że jak kto w tęg makaninie trafi przypadkiem jego w ciemie, to i *skwituje amen*. A obraza boska, a grech śmiertelny! ale jak kwycę wpół, a pomoże drużyna, to i weźmiem w niewolę kokanego pana Norejki, i tak rychtyk stało się kwała Bogu.— Na co nam bić się, kaleczyć się? czy mi cudzy? kiedy panowie chcą, to niechaj biją się.... Mi całą komendą tak zmówili się.... Ok Jeezus! jak tam smalą z muszkietów!!! Ale mi tyłem całą wojnę obejdziem i trafim do Wieksznian. No tak i idźmy! ale panie Norejko waćpan tylko nie uciekaj broń Boże! bo wiązać waćpana mi nie mamy czém.

— Ej, dajcie mnie pokój! gdzie mnie tam uciekać?— odpowiedział Norejko— ja ledwo iść mogę, tak mnie ręka boli. Ale poczekajcie; czego śpieszyć się tam gdzie biją się. Ot leży zabity biedny Poroczka, towarzysz mój; oj będzież po nim płakał pan nasz kochany! Zmówim przynajmniej wieczne odpocznienie za jego duszę, w Wiesznianach najmę pocziwych ludzi, aby go pochowali.

— Ok Jeezus! zabity pan Poroczka!— zawołał żałośnie Mateusz. Wieczneż jemu odpocznienie! O to jakiś bezdusznik trafił jego widać w same serce!... A Szucillo przeżegnawszy się nabożnie, bóty zabitemu ściągać zaczął.... Wtém zrywa się Poroczka i chwyta za łeb Szucillę, ha łajdaku!— krzycząc!— jak ty ważysz się zabitemu bóty kraść?

Wyrwał się przełęczniony Szucillo, i wszyscy odskoczyli z przerażeniem, bo i Norejko, niespodziewając się tego zmartwychwstania, szczerze

chciał za duszę kolegi się pomodlić; ani się domyślał, że on pod zabitym swym koniem się przyczaił, i umazawszy się krwią końską, leżał cicho, oczekując końca tej fatalnej dla nich rozprawy.

— Ok Jeezus!—krzyknął Mateusz—panie Poroczka! albo leż, albo stój, albo całkiem prepadaj!!! kiedy kto zabity... to niepowinien być żywy! albo siak, albo tak!

Szucillo przelektły i drżący, słowa wymówić nie mógł, zegnał się tylko bez ustanku.

— No chodź bracie—rzekł Poroczka do towarzysza.

— Jak to kodź bracie?—odezwał się ochłonięty nieco Szucillo—mi pana Norejki do Wiesznian prowadzić musim: kiedy waćpan żywy, to idź sobie z Panem Bogiem gdzie chcesz: ale pan Norejko w niewoli jest; pięknie nas prymie pan nasz, kiedy jego nie przyprowadzim!

— A kto tobie powiedział że ja żywy?—krzyknął nań Poroczka—jak ja mam być żywy, kiedy u mnie w samym sercu kula siedzi? Ja upiór?—tu wyszczerzył okropnie zęby, i wytrzeszczył oczy...

— Ok Jeezus!—krzyknął na tę minę Szucillo i za Mateusza się schował.

— To wy poganiny mówili dalej upiór—chcecie żebym ja i na poświęconém miejscu nie leżał—żeby mnie tu kruki rozdziobali, a wilki koście roznieśli... poczekajcie! przyjdę ja do was w nocy, i będziecie musieli nieść mnie aż na mogiłnik Szyłelski i tam pochować, albo wam głowy pokręcę!

— Słukaj panie Poroczka—odpowiedział odważniejszy Mateusz, wierząc i nie wierząc tym słowom—czy waćpan żywy, czy zabity, nie łyży przynajmniej, i mów czy siak czy tak; wszak dawno znamy się; waćpan zawsze figlar wielki! kiedy i teraz skrewisz, a obaczę gdzie waćpana na kjer-maszu, to dalibógże koć i doprawdy potem zamresz,

ja sam odrąbię waćpanu głowę rydlem i między piętami położę. Obaczysz!

Tymczasem Norejko zbliżył się do perorującego i szablę mu z pochwy zdrową swą ręką nagle wyrwał. Uciekajcie łajdaki! — zawołał — bo wypłazuję obydwóch. — Poroczka podjął także własny pałasz.

— Ok Jeezus! — wrzasnął znowu Mateuszas — dalibógże panie Norejko bądźle kiepsko! Cóż my powiemy panu jak waćpana nie przyprowadzim?

— Powiedźcie jemu — rzekł Poroczka strojąc znowu straszliwą minę upiora i zgrzytnąwszy zębami: — powiedźcie jemu, że dziś o północy przyjdę i kark mu skręcę.

— No, do—dotrzymajże tylko, dotrzymaj słowa! — zawołali oba razem — bo jak skrewlsz... — a żegnając się i ściskając ramionami, odeszli.

Nazajutrz, w nadgraniczném miasteczku pruskiem, o półmili może od placu utarczki Wieszniańskiej odległém, do izby, w której leżał ciężko raniony Milanowski, właśnie gdy felczer po wyjęciu kuli w ramieniu uwieczlęj, bandażował głęboką ranę, weszli Poroczka i Norejko, i zawołali: *Tegul bus pagarbintas Jezus Chrystus* (1). Żegota ujrzawszy swolch, wyrwał się z rąk felczera, chcąc ich uściskać, lecz ból ostry rąk mu podjąć nie dozwolił, a utrata krwi w ucieczce i przy operacyi siły mu odebrała; upadł więc na łóżko, a poczciwi i przywiązani słudzy do nóg mu się rzucili, połamami od kurtek ocierając oczy.

(1) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

V.

Wreszcie naród mir uderzył—upadła konfederacya, naczelnicy wynieśli się za granicę, a szlachta, nieuważając na żadne banicye i groźby jakby powiedziawszy sobie: „Kiedy zgoda to i zgoda!“ powracała do domów, nagromadziwszy tylko zapas wypadków i przypadków wojennych do opowiadania i przechwałek, kończących się częstokroć na guzach i bójkach, gdy zbliżeni gdziekolwiek przeciwnicy kłamstwami się potracili.

Milanowski, lecząc się długo z ciężkiego postrzału, i rozsluchując się razem co się w kraju działo, i jakiego bezpieczeństwa używali powracający do domów konfederaci w tém nadgraniczném miasteczku pruskiém, do którego ranny był popadł aż do końca rozruchów przebył — *Poroczka* i *Norejko* często i po kolei przemykali łatwo strzeżoną granicę, dowiadrywali się do Berżyłówki i do przyjaciół Żegoty, z coraz lepszymi wracając nowinami... Nakoniec, wieść powszechna i listy przez nich przynoszone upewniły niedowierzającego konfederata— a niedowierzającego dla tego, bo się więcej niż ktokolwiek dał we znaki nieprzyjaciółom— że śmiało wracać może; że król nawet przyjmie zarówno łaskawie i stronników i garnących się ku niemu przeciwników swoich; słowem że wszystko idzie w zapomnienie. Raptem więc i niespodzianie, w którąś niedzielę, ukazał się Milanowski w swym parafijalnym kościele szyłelskim.

Na widok jego zbladł obecny tam Kasztelan.

Na widok Kasztelana zaczerwienił się Żegota— zdawało mu się, że głęboką bliznę jego gorące przeszło żelazo... Oh, bo głębszą daleko była rana, jęcząca nienawiścią w sercu jego!...

— On brat mój — wnet pomyślał — z zasadzki i zdradą na mnie napadł... on winien krwi mojej!... On... lecz Bóg niedozwolił przekleństwa w swoim domu świętym — a tenże sam głos sumienia, który na wieszniańskim placu boju, wywołał, jakeśmy to widzieli, z ust Kasztelana „nie strzelaj“, tu przemknął po zapamiętałej głowie Żegoty słowami: „odpuść nam nasze winy“ i ochłodził ją, uspokoił i ukorzył przed ołtarzem.

Po nabożeństwie i gorliwem podziękowaniu Bogu za szczęśliwy swój powrót, Milanowski szedł do plebanji, powitać swego starego pasterza; tam otoczyli go i ściskali serdecznie sąsiedzi, przyjaciele i niedawno nieprzyjaciele nawet, jedni i drudzy mężu jego, stałości i cierpieniom, sprawiedliwą przyznając chwałę.

Zatém rozgościł się on w domu i odwiedził sąsiadów; poznał bliżej piękną Dosię i gorący ku niej uczuł affekt, a nie tając się z tém bynajmniej, owszem w częstych odwiedzinach domu państwa Chorażowstwa Uwojniów i w konkurach do ich córeczki, starając się zjednać jej wzajemność a łaskawość rodziców, dozwalał bezkarnie przeorywać sobie miedze, niszczyć kopce, i spokojnie patrzył na niesłuszny uszczerbek swój ziemi, nie rozwodząc skarg nawet, któreby mu wstępu do progów *Dosi* zaprzeczyć mogły.

Baranek to był więc łagodny naprzeciw Uwojniów, ale lew to był straszliwy naprzeciw rywalów, i aby nie dać czasu znęcać się im ku nieporównanym wdziękom dziewicy, myślał bez dalszej zwłoki wybrać stosowną chwilę i dobrego przyjaciela, dla wystąpienia już z otwartą swadą.

Wybór ten padł na pana Rupejkę, jeszcze natenczas adwokata subsełów Rosieńskich, nim potem został on jednym z najslawniejszych patronów Trybunału Litewskiego, i pełnomocnikiem najzamożniejszych domów na Żmudzi i Litwie, a nawet Księcia Ordynata Radziwiłła, jak to przypomniał sobie czytelnicy *Pamiętników Rwestarza*.

Pan Tomasz Rupejko był obowiązany przyjacielem Milanowskiego; aplikowali się oni razem w Rosieniach, ale chudy pacholek, pan Tomasz, nieraz od możniejszego kolegi sukursowany to talarciem, to kontusikiem podnoszonym, to pasikiem jedwabnym, znał że w pilnej pracy cała mu dzwignienia się z tej biedoty nadzieja; pracował więc usilnie, sposobiąc się na *człowieka* i dokazał na koniec swego: *wyszedł na człowieka!* (1) na człowieka mającego powszechną wziętość, a zatem i fortunę; by gdy potem córkę jedynaczkę wydał za męża, za pana Szymona Zawiszę (a gdzież tam pierwój było Rupejkom do Zawiszów!) pięćkroć sto tysięcy wyliczył posagu, a po śmierci jego najmniej drugie tyle zostało wnukom na żałobę. Otoż rosnąc tak w dostatki i sławę, pan Rupejko nie zapomniał jednak nigdy, że go w pierwszych a trudnych krokach wspierał po przyjacielsku Milanowski, i na zawsze został mu wdzięcznym. Dla tego Zegota, polegając na jego przyjaźni i znaniej jako adwokata *in his et similibus rebus* elokwencyi, postanowił wezwać go do Berżyłówki, gdy niespodzianie jegoż samego zajeżdżającego pod ganek postrzegł.

(1) *Wyjść na człowieka*—wyrażenie to upowszechnione dawniej, dziś niekiedy już tylko użyte, dowodzi jak wysokie i dostojne znaczenie przywiązano natenczas do tego nazwania *człowiek*, i jak pracować i kształcić się trzeba było, aby na nie zasłużyć!!!...

— A witajże mi, witaj, kochany, serdecznie kochany panie Tomaszu! — zawołał Żegota, wybiegając na przyjęcie miłego gościa, i ściskając go oburącz. — Szczęśliwe *fatum* tutaj cię przyprowadza, co nawet biorę za dobre *presagium* w moich zamiarach; bom dziś jeszcze chciał ślać do ciebie, wzywając twego przybycia i pomocy.

— *Fatum* zawsze fortune, gdy mnie do twoiego domu prowadzi, zacny mój i kolego i benefaktorze, bo mnie wzajemne z tobą uściski *circa prae-cordia ludunt* (1); ale na ten raz i ja przybywam żądać twojej pomocy, do czego *fatum* bodaj fatalne mnie zmusza.

— Jezus Marya! cóż takiego?

— Odpocznijmy — rzekł Rupejko — nlech się nacieszę twoim szczęśliwym z wypraw wojennych powrotem, twoim zdrowiem po tak srogim szwanku jaki poniosłeś — potem opowiem ci co się święci.

— Posłuchałem rady twojej, panie Tomaszu, w liście twoim ostatnim przez Norejkę mi przysłanym, i powróciłem — rzekł Milanowski.

— Aby zaś i ochota ci nie przysła nadal do marsowych impetów — kontynuował Rupejko niby zaczęte wyznanie Żegoty — postanowiłeś ożenić się z sąsiadką swoją, panną Chorążanką Uwojnianką, i mnie na swata prosić masz.

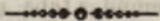
— W Imie Ojca i Syna! — rzekł zdziwiony Milanowski — Czyś czarownik? czyś myśli moje podsłuchał?

Rozśmiał się Rupejko. — Szydło w worze nie utalił się, mój kochany panie bracie — mówił on dalej; — więc i twoje afekta do ładnej Chorążaneczki rozgłosiły się już wszędzie; a więc nie trzeba czarów, ani wielkiej perspikacyi, aby zgadnąć, że mnie, najlepszego przyjaciela masz użyć w swaty. I słu-

(1) Po sercu głaszczą.

żyć ci będę *ore et corde praestantissimo!* (1) Ot i cała twoja zagadka — mojej uie tak łatwo się domyślisz.

— Nie będę sobie i łba suszył nadaremnie — odpowiedział Milanowski — gdy sam mi wszystko rozpowiedzieć masz, boś po to przybył. Co każesz na wszystkim gotów; tymczasem rozgość się jak we własnym domu, a koniki do stajni.



VI.

Po długim niewidzeniu się i po świeżych wypadkach krajowych, dwaj przyjaciele mieli dość treści do poufnych pogadanek, które przy wieczornym chłodzie, pod cieniem dwóch stoletnich klonów, ręką rycerską przodka Milanowskich, a jakieśmy to widzieli, towarzysza wiedeńskiej wyprawy, niegdyś zasadzonych i do dziś dnia na dziedzińcu Berżyłowskim szerokie rozpościerających konary, prowadzili. Ale, gdy w opowiadaniu dziejów swych konfederackich Zegota przyszedł do ostatniej swjej przygody i zasadzki nań Kasztelana pod Wiesznianami, i gdy mu swą wieczną nienawiść i zemstę zaprzysięgał: — Cała Zmudź — przerwał mu Rupejko — wie o tym postępku Kasztelana, i chociaż on to fortem wojennym nazywa, chociaż usprawiedliwia się tém, żeś najzawzięciej zawsze i bez ustanku na jego huzarów godził, jakbyś innego przed sobą nie miał nieprzyjaciela, wszakże nikt mu tego pochwalić ani darować nie może; a jednak kochany mój

(1) Usty i sercem najstalszém.

Żegoto, proszę cię abys' w rzeczy i rozmowie, którą gwoli mnie z nim mieć będziesz, miarkował twój furor i inwidyę....

Co to jest? czy nie godzić mnie z nim chcesz? — rzekł żywo Milanowski.

— Aj, nie! wcale nie! choć wolałbym, dalibóg wolałbym.... Ale posłuchaj — mówił dalej Rupejko. — Jestem ja plenipotentem pana Podkomorzego Szemiota. Są między nim i panem Kasztelanem spory, z racyi przejść niektórych dóbr z imienia do imienia, i dla tego porozumieć się obu stronom koniecznie należało, aby przerwać już wzajemne manifestami napoczęty process. Wybrałem się więc zawczora do pana Dygnitarza, nie tylko jako pełnomocnik przeciwnika jego, ale jeszcze jako i pośrednik, mający *plenum jus* od Podkomorzego, ułożyć ten interes na zgodę, choćby nawet ze stratą, bo to pan spokojny i bogobojny, pieni nie lubi: dość powiedzieć, że brat cioteczny Szambelana Zaleskiego. — Pan Kasztelan przyjął mię ozięble, ale ja w traktowaniu rozmaitych interesów i z rozmaitemi ludźmi, umiem często poznać z miny, co u kogo w głowie siedzi: więc zdało mi się, że pan Kasztelan chce dać *ad intende* jako processu się nie lęka i kombinacyi nie zbytecznie pragnie, a zatém pomyślałem sobie: *via recta brevissima!* (1) i aby to majaczenie skrócić, bez długich wstępów przystąpiłem do projektu ugody, rozwijając wszelkie widoczne z niej dlań korzyści, a powolności i odstępstwa Podkomorzego. Ale Kasztelan, wysłuchawszy mnie, rzekł dumnie: — Mospa nie Rupejko! — a mógłby mię przecież i panem Podczaszym nazwać, boć wie że nim jestem — pan Szemiota chce ze mną *Kombinacyi*, a ja chcę najprzód odeń *deprekacyi*, bo pan Szemiota pierw-

(1) Droga prosta najkrótsza.

szy *publice* manifestem mię oskarżył.— Włec póki *publice* także nie nastąpi jedna, nie może być druga.

— Mości Kasztelanie, — odpowiedziałem — manifest ten ja sam pisałem, i ręczę panu, że tam nikt nie najdzie ani jednego słowa, któreby ubliżało panu; interes tylko i nie więcej, a zatem nie ma się za co gniewać, i nie ma za co przepraszać. Oprócz tego, przy szczęśliwój da Bóg zgodzie, manifesta *pro et contra* zapisywane, z akt eliminować będziemy.

— Otóż to właśnie że wiem, iżś Waszeć pisał ten manifest, a jednak nic nie mam do Waszecz, boś za to zapłacony; pan Szemiota niech odpowiada, który na takie Waszeczne błazństwa dozwolił.

— Ha, to już za grubo! pomyślałem bo jak są różne gradusy głupstwa ludzkiego, tak powinny być i różne odpowiednie gradusy gniewu za nie. Naprzykład „*odpuść im Panie bo nie wiedzą co czynią*.” słowa te święte powinniśmy mieć na względzie, gdy mamy do czynienia z ludźmi zupełnie głupimi. Ale pan Kasztelan nie należy wcale do tej kategorii, więc z rozmysłu mię poniewiera; *invidia* tu razem i *superbia* jest, a *debellare superbos* powinien każdy uczciwy szlachcic, który szanuje jak powinien swój klejnot, i którego ktoś *superba pede* podeptaćby chciał... Wszystko to mnie przemknęło po głowie; ale jeszcze dla świętego pokoju i żądanej zgody, pohamować się chciałem, i *mutando quadrata rotundis* (1) ostrzedz raczėj niżeli rozgniewać pana dygnitarza.

— Waść, Waszeć — rzekłem zatem — nigdy nie powinno było wyjść z ust pańskich, gdy się mówi

(1) Wyrażenie to przenośne znaczy w treści, mieszając przyjemne z gorzkiemi— *quadrata rotundis* — *rogate z okrągłemi* dosłownie.

do równego sobie szlachcica, a tém bardziej teraz, gdy nas od roku nowe łączy pokrewieństwo.

— Jakie pokrewieństwo?— zapytał mię zdziwiony Kasztelan — o żadném ani starem, ani nowém niewiem.

— A przecież wiedzieć pan powinienes— rzekłem — że od daty jakieś został Senatorem, każdego szlachcica bratem nazywać musisz; tak chce prawo, a jest to razem i piękna attrubucja i obowiązek wysokiego urzędu pańskiego; a pokrewieństwo to nowe, mnie od *obelgi*, pana od śmiertelnego grzechu *pychy* zasłonićby powinno.

Rozumiałem, że takim obrótem, wynosząc razem dostojność urzędu i delikatną łącząc wymówkę, zreflektuję pana Kasztelana; ale gdzież tam?

— Mój Mości panie bracie, kiedy tak chcesz koniecznie — odpowiedział mi z widoczném urągowaniem — ale braterstwo takie przyjąć mogę chyba tylko na lewą rękę, rozumiesz mię Waś? bo jak świat światem, najemny *gębacz* Kasztelanowi nie będzie bratem. Ruszaj więc z Panem Bogiem, a pan Podkomorzy i sam znajdzie do mnie drogę jeżeli zechce.

Po tych obelżywych słowach, odszedł pan Dygnitarz trzasnąwszy za sobą drzwiami, i dobrze zrobił, boby i mnie cierpliwości nie stało. Wyjechałem więc z konfuzyą, ale też i z postanowieniem poszukiwania satysfakcyi i za krzywdę mego szlacheckiego honoru. Przez dzień wczorajszy dałem folgę rozpalonéj głowie mojej, aby *frigida sanguine* (1) poczynąć sobie w tak ważnej okoliczności, a dziś przybywam do ciebie, jako do przyjaciela *a teneris unguiculis* (2) abys mi dopomógł... Trzeba wyzwąć Kasztelana... rzadki to

(1) Zimną krwią.

(2) Od lat dziecińczych.

będzie ewent na świecie: *jurysta* z szablą w ręku, i prosty szlachcic na przeciw jasnie wielmożnego Dygnitarza! Ale cóż robić, panie bracie? przypomnę sobie młodsze moje lata, kiedy z tobą noga w nogę na Rosieńskim sejmiku stawał.— I *Muszk!* po naszymu!!!

— *Muszk!* po naszymu!— przerwał niecierpliwie Żegota— ale na co to wszystko potrzebne, panie Tomaszu? na co? On cię skrzywdził we własnym domu swoim, więc gdzie grzech tam i pokuta; jadę wraz i daję ci słowo, że tamże *in loco loci* takie mu dam regularne reflexye i spełna, że będzie mu kwita za nas obu i z boryszem!... Wyzywać jeszcze tego *hardopyszka* i tchórza! nie wyjdzie zaręczam ci...

— A czyś ty zwarzował?— przerwał wzajemnie Rupejko.— Właśniam cię prosił, abys twój furor w interesie moim modyfikował, a ty chcesz awanturę zrobić; pięknem trafił! Rozumiałem że ci pod Wiesznianami dobrze téj gorącej krwi upuścili, aż ty taki sam jako i przed tém; nie ma więc rady z tobą; muszę kogoś innego do téj sprawy poszukać.

— No, mów czego chcesz, panie Tomaszu?— rzekł usiadając spokojnie Żegota.— Niedopuszczę abys sprawę twego honoru komu innemu powierzał, bo ten ktoś musiałby być lepszym ode mnie twoim przyjacielem, a takiego na całej Żmudzi nie najdziesz.— Dysponuj więc co i jak mam uczynić, a spełnię wszystko punktualnie. Słuchać spokojnie inwektywy kasztelańskiej na ciebie nie mogłem, bo suspikuję że on cię tak nienawidzi za to właśnie, że i w procesie z nim, tyś mym obrońcą gorliwym i przyjacielem.

— Być to może, a więc tém bardziej moderamini użyć należy.— Ja żądam aby pana Kasztelana wprowadzić gładko i grzecznie w *sak*, z którego by mu nie łatwo było wyleźć. Dla tego wyzwiesz go

panie bracie, i oznaczysz mu plac przy okopach Szwedzkich, pod Kołtynianami (1); będziemy walczyć *in conspectu* grobowisk rycerzy przodków naszych; to nam meztwa i ochoty dodać powinno — mówił Rupejko z uśmiechem.

Broń, — ta którą każdy szlachcic dla obrony swego honoru u boku nosi; świadków i sekundantów niech zbiera wiele chce; bo uprzedzić go należy, że i ja będę miał około siebie nie skąpo przyjaciół, nawet i takich którzy w godności nie ustąpią najmniej panu Kasztelanowi... Termin, od dnia i godziny wyzwania, za tydzień.

— A na co tak długi termin? — rzekł Żegota. — I na co wielu sekundantów? Mnie jednego dość będzie.

— He! bo nierozumiesz mojego planu — rzekł dalej Rupejko. — Widzisz, zdaje mi się, że pan Kasztelan nie zechce łąba nadstawić; bo to co innego huzarów swoich na harc wysyłać i samemu w obozach konfederackich językiem szermować, a co innego stanąć bez ceremonii w kroku na przeciw ostrój szabelki; jednem słowem, mniemam, że wyjść nie zechce; dla tego, prócz zaufania w twojej przyjaźni, wzywam ciebie a nie kogo innego do tej sprawy, bo Kasztelan pomyśleć musi, a całe *publicum* powie, że gdzie Żegota Milanowski sekundantem, tam nie na żart wyzwanie. Naznaczam plac sławny i znajomy całej Żmudzi, aby ciekawsi wiedzieli gdzie się udać na to *spectaculum*; cieka-

(1) Pod Kołtynianami, miasteczkiem parasijalnym, na boku błoni na milę rozległych, są dwie wielkie, jedna obok drugiej, góry i wały jakby szance; tradycja o nich jest powszechna, że to są okopy szwedzkie, i ztąd nazwanie. Lecz prawdopodobniej, że są z czasów pogaństwa dawniej Żmudzi. — Tu w roku 1812 marszałek Macdonald stoczył potyczkę, rejterując się z pod Rygi.

wych zaś będzie tyle, ile jest niechętnych panu Kasztelanowi; więc zająć mogą całe pole. Nakoniec, daję mu czasu cały tydzień; powiesz, że dla tego, aby uczynił należyte interesów swych rozporządzenie i napisał testament; ale w rzeczy dla tego, aby szeroka *fama* rozeszła się o tém wyzwaniu i w gorszy kłopot go wprowadziła. — Nie wyjdzie — plac ostrzegamy; gdzie potem oczy pokaże — wstyd! hańba! — Jeżeli wyjdzie a nie zechce się bić — to deprecacya solenna będzie pożyteczną nauką i przestrogą i temu pankowi, i jemu podobnym, aby przed szlachtą nosów w górę nie zadzierali, a *jurysprudentów* Mospanie wszystkich za najemnych *gębaczów* nie mieli. Nakoniec, wyjdzie i zechce mi dać pocziwłą satysfakcyę — to wołaż Pana Boga mój bracie! *Muszk!* po naszymu!

Dobrze, rozumiem teraz wszystko — rzekł Żegota — mądryś! nie ma co powiedzieć. Dajże Boże usłużyć ci wiernie! Zatem jutro rano jadę, a na powrót mój tu zaczekasz.

Teraz zaś, panie Podczaszy dobrodzieju mój, łyknieniem na tę biędę. Powróciwszy do domu, wnet około najważniejszój sprawy zawiąłem się, nasyciłem maliniaku i udał mi się wyśmienicie — czy zgoda?

— Zgoda — rzekł Rupejko — łyknieniem!

— *Nu to, ani susi, ani pusi* (1) mówi nasze stare żmudzkie przysłowie. — Héj! Norejko! przynieś flaszę — zawołał Żegota — i gdy Norejko wnet rozkaz wypełnił, dwaj przyjaciele, powtarzając za każdą szklanką *ani susi, ani pusi*, wysuszyli ją do dna.

(1) Potem ani szaleć będziesz, ani opuchniesz.

VII.

Nazajutrz rano Żegota już był na koniu, a za nim oba nieodstępni łózaki, *Poroczka* i *Norejko*. Mil parę odbyć on musiał do pana Kasztelana, i wrócić wieczorem do domu, by długiem oczekiwaniem nie udręczać Rupejki; puścili się więc kłusem, i obiegłszy połowę drogi, gdy piaszczysty kawałek się nadarzył, a spotniałym koniom folgi dać trzeba było, jadąc stępo, Żegota rzekł do swych towarzyszy, przed którymi żadnej nigdy nie miał tajemnicy, i którym z wieczora dając rozkaz do jutrzejszój podróży, i cel jej powiedział.

— Cóż wy o tém wszystkiém myślicie?

— Co my mamy myśleć? my nic nie myślim, ani rozmyślamy, gdy Jegomość co rozkazuje. W ogień, chwała Bogu! szli za Jegomościem nie myśląc, a teraz co?... przede dniem wstaliśmy — mówił Poroczka — zadali obroku koniom, wyczyścili każdy swego, i pańskiego napoili; potem w kuźni na toczydle przepuścili trochę pałasze, do pistoletów i swoich i pańskich nowe skałki powkręcali i nabili kulami; wypili potem po sztofie piwa grzanego, zjedli na śniadanie pół pieczeni, a drugą połowę wsunęli w kieszeń na drogę, a gdy Jegomość wstał, posiadłali konie, i choć w piekło za Jegomościem!...

— Wybraliście się rezolutnie, jak na konfederacyę; ale zdaje mi się że pistolety obeszłyby się bez ostrych nabojów.

— Kto to wie?— rzekł Norejko— *I kłoni krytys, sausas ne kelsy!* (1) jak to ludzie powiadają.

Żegota pomyślił trochę i rzekł:

— Prawdę mówicie, ostrożność nie wadzi; ależ nas trzech dosyć na cały dwór Kasztelana, wszelakoż gdy przyjedziem i ja wejdem do budynku, miejcie baczną na wszystko.

Mogła być dziesiąta przed południem gdy się zbliżyli do Kasztelańskiego dworu. Nie bez wzruszenia ujrzał go Milanowski, przypuścił więc konia, jakby w takt żywiej bijącemu sercu i w lot stanęli na miejscu.

— Jest Pan w domu?— zapytał Żegota, zsiadając z konia, jednego z licznej służby uwijającej się na dziedzińcu.

— Jest— odpowiedział ten zdziwiony na widok Żegoty; bo wszędzie wiadomą była nienawiść jego wzajemna z Kasztelanem, a tém bardziej w samym tym dworze; służący więc wbiegł pędem do pałacu, i gdy tam uwiadomił o zjawieniu się takiego gościa, Kasztelan zmieszany nagle, nie wiedział co począć. Siedząc w głębi pokoiów obszernego swego domu, nie widział przyjeżdżającego; gdyby był dostrzegł, kazałby pewnie zatarasować bramę; — możeby ją natenczas Żegota szturmem zdobywał, lub przez jaki wyłom w ostrokołe wdrzećby się do fortecy starał... Lecz teraz było po czasie, bo nieprzyjaciel już był w środku... i słysząc go było wstępującego mężkim krokiem po wschodach, a nareszcie przechadzającego się po gościnnéj sali, i rozkazującego po kilkakroć lokajom, aby o jego przybyciu panu donieśli.

Kasztelan więc zbierał na prędce w głowie myśli i projekta; nakoniec zdało mu się że stanął na naj-

(1) Wpadłszy w kałużę, sucho nie wstaniesz.

lepszem, to jest, aby się nie widzieć z nienawistnym gościem. Kazał więc przywołać wodza gwardyi swojej, choć już ze stopy wojennej zeszlęj, a raczej podręcznego do wszelkich funkcyi dworzanina Mielezko, i gdy ten przyszedł:—Wyjdź Wasan—rzekł mu—do tego *banity* Milanowskiego, który tu nie wiem po co wpadł *insperate*, i powiedz mu, że chory i widzieć się z nim nie mogę; a jeśli ma jakiś do mnie interes, to niech Waści opowie, lub może ze mną skomunikować się listem... Ale słuchaj! drzwi za sobą na klucz spuszczaaj... i poczynaj sobie z nim uważnie..... i ostrożnie.—Nie dawnoś Waści w tych stronach, więc nie znasz jeszcze tego szalonego *subjectum*!

Mielezko skłonił się, ręką na szablę swą wskazał i wyszedł do sali; tam powtórzył Żegocie wyrazy swego mecenasa.

Łesz Waćpan—odrzekł mu surowie Milanowski—a łgarstwo nie przystoi szlachcicowi, bo rozumiem, że takim jesteś gdy szablę masz u boku. Kasztelan zdrow, tak jak ja i Waćpan.

—Ja sam dobrze wiem—odpowiedział z równymże humorem Mielezko—co szlachcicowi przystoi a co nie, i nauki w tém nie potrzebuję. Pan mój powiada że chory, więc ja wierzę, a pulsów jemu nie macam, bom nie doktor.

Żegota pokręcił wężem, i chrząknął po swojemu; obraziła go hardość dworaka, ale miarkował się pamiętając na instrukcyę Rupejki.

—Mniejsza o to—rzekł—nie z Waćpanem rzecz; proszę tylko pójść do pana Kasztelana, który ze strachu może i doprawdy zachorować, i powiedzieć mu, żeby śmiało wyszedł do mnie, bom nie przyjechał tu kłócić się z nim, ani przypominać mu *wieszniańskię* potyczki; znaleźliśmy na to inną porę. Przybyłem zaś w interesie mego przyjaciela, pana Podczaszego Rupejki, i kilka słów mam tylko powie-

dzieć panu Kasztelanowi; ale jemu samemu, koniecznie w oczy. I choćby mi tu przyszło siedzieć rurski miesiąc, to doczekam kryzysu tój jego wilczěj choroby, a obaczyć się koniecznie muszę.

Mieleszko z takiem poselstwem poszedł znowu do Kasztelana.

Tymczasem, wyjrzawszy z oficyny kuchenněj przez okno na dziedziniec, znajomy nasz rycerz *Mateusz*, postrzegł i poznał *Poroczkę* i *Norejkę*, a nie mogąc wstrzymać chętki pogadania z nimi, wyszedł ku nim, i kręcąc głową:

— Ok Jeezus! — rzekł — Panie Poroczka, a Waćpan tu! Oj będzie rydel w robocie, będzie! Jaki z Waspana upior! tfu!... pryde, pryde o pół nocy mówiłeś, i skręcę głowę waszemu panu; a czy przyszedłeś? tfu! A on nam na jutro po pięćdziesiąt fuchtelów wluć kazał za Waspanów. Oj! oj! — a gdybyś dotrzymał słowa!!!

— No, wybaczej *Mateusz*; zapijem kiedyś tę sprawę; a gdzież twój towarzysz *Szucillo*?

— Nie ma jego we dworze; on dziś na służbie, konie pasie.

— To taka wasza teraz żołnierszczyzna?

— At, Waspanom kce się wszystko wojować! Mi sobie teraz odpoczywamy, spokojnie kleb jemy i Pana Boga kwalim, za grehi pokutujem, po odpustach kodzim — a z kolejki każdy na służbę idzie — kto konie pasie....

— Kto bydlę pasie — odpowiedział *Norejko* śmiejąc się.

— A niek Pan Bóg broni! nie — konie to co innego, to żołnierska sprawa, a bydlę to pastuska. Na służbie kto konie pasie, kto przy kredensie półmiski liże, kto przy kukni pieczenie kręci... Ot i ja dzisiaj do kukni wykierowałem się; kręcąc, kręcąc pieczenie dla panów, to i sobie kawałek przykręcisz. Ha! ha! ha!

— To ty dziś jak niedźwiedź pana *Wojszwyły*.

— Ok Jeczus! niedźwiedź pana Wojszwyły! Czy to prawda, że on raz kukcika na rożen wsadził, spiek i zjad.

— Prawda, prawda, a wiesz ty jeszcze czém on jego dzyngował?

— A czém? da zmiłuj się panie Poroczka, po-
rucz.

— Mateuszas! do pałacu!—zawołał wtém przebiegający lokaj i wpadł do oficyny.

— Czémże niedźwiedź kukcika dzyngował?—pytał ciekawy Mateuszas; ale Poroczka i Norejko zwrócili uwagę na to zawołanie, a tymczasem posłaniec wywołał jeszcze kilku służących, a biegnąc z nim mimo, powtórzył znowu:—Mateuszas do pałacu!

— Cóż to znaczy?—rzekli oba razem zdziwieni i niespokojni łózaki.

— He! he! he!—rzekł odchodząc Mateuszas—pewnie pana Żegoty w niewolę brać będziem, tak jak waspana, panie Poroczka, pod Wiesznianami, he! he! he!—a potém opowiesz mnie waspan, czém on jego dzyngował?—I odszedł śpiesznie za drugimi.

— A ja mówiłem: *I kłoni krytys, sausas ne kelsy*—rzekł Norejko do kolegi.—Tu na coś niedobrego zanosi się; ruszaj bratku do pana, ja zostanę przy koniach i oglądać się będę na wszystkie boki.

W pałacu, Kasztelan dowiedziawszy się z ust Mieleszki o rezolucyi Żegoty:—A to mi djabli nadali takiego gościa!—rzekł.—Słuchaj waćpan, takiój załogi i takiej zniewagi w domu własnym ścierpieć nie mogę, a widzieć się z nim tém bardziej nie chcę teraz, boby on się chwalił, że strachem na mnie to wymógł. Posyłaj więc natychmiast po kilku ludzi i postaw ich za drzwiami, a sam wyjdź tam do niego i powtórz mu toż samo coś powiedział, a nareszcie powiedz bez ogródek, że widzieć się z nim

nie chcę, i że kiedy uparcie zechce tu siedzieć, to że masz ludzi za drzwiami, którzy go jako *intruza* wyprowadzą z mego domu, co i bez ceremonii proszę uczynić, jeżeliby inaczej wyprosić się nie dawał.

— Ciężki to jednak rozkaz dajesz mi JW. Pan— rzekł pokręcając głową Mieleszko.

— Masz waść przecie rozum, i masz ręce swoje i moich ludzi. . . . Użyj najprzód pierwszego, bo burda w każdym szlacheckim domu, a tém bardziej w senatorskim nie przystoi; ale gdy głowę nie nie poradzisz, to już natenczas użyjesz rąk, a wino padnie na turbatora *securitatis publicae*.

Posłano więc, jakeśmy to widzieli, po ludzi do oficyny,— co obudziło baczność łózaków Milanowskiego— i skupiwszy ich razem z pałacowymi lokajami, postawiono za drzwiami prowadzącymi do sali, w której się znajdował Żegota.

Kasztelan odchodzącego Mieleszkę zatrzymał jeszcze i rzekł: — Masz oto arkusz papieru i kałamarz z piórem; kiedy zechce niech swój czy cudzy interes, w którym tu przyjechał, napisze, a ja dam potem rezolucyę, czy jemu, czy temu kto mi takiego szalonego nadał posła.

Wszedł więc znowu Mieleszko do Milanowskiego, rzucił z ukosa okiem na Poroczkę, stojącego pod oknem dla dania w potrzebie hasła Norejce, i pomyślił: — Oho! ciężko będzie dwóch takich Goliatów gwałtem ztąd wyprosić.

— No a cóż?— skwapliwie go zapytał Żegota.

Toż samo co i pierwój, Mości Dobrodzieju.

— Pan Kasztelan tu nie wyjdzie?

— A nie wyjdzie, i kazał mi to Jegomości oświadczyć bez ogródek.

— No, to ja pójdę poszukać go!

— Z tego nic także nie będzie!— rzekł zastępując ode drzwi Mieleszko i zamykając je na klucz, a klucz chowając do kieszeni szerokich swych kozackich karmazynowych szarawarów.

— Czy nie waść mi zaprzeczysz?— albo te wasze dawniej tchórze huzary, a teraz pastuchy, których za drzwiami postawiłeś?

Poroczek bowiem ostrzegł pana o zwołaniu służby do pałacu i opowiedział teraźniejszą kondycję huzarów, a wejście ich hurmem do przyległego pokoju, dające się słyszeć w sali, ostrzegło o napaści czy o zasadzce.

— Juźciś nie jesteś pan Samson, abyś kilkunastu zwyciężył — odpowiedział Mieleszko — a i ten Jegomości Goliat znaleźć tu może Dawida. Ale pytam pana, na co mu tak koniecznie potrzebna prezencja Kasztelana, że o nią, jakby po tatarsku dom jego nachodząc, dobijać się chcesz? Masz pan doń interes własny czy cudzy? oto papier i pióro, pisz Jegomość, a Kasztelan przeczyta i da rezolucję komu należeć będzie, bo kazał mi to panu zaręczyć.

— Da rezolucję... da rezolucję! — mówił namyślając się Milanowski. — Ale czy da satysfakcję?

— Jak to mój Dobrodzieju — przerwał Mieleszko — czy to ma być pojedynek?

— A tak, pojedynek?

— A mój miły Dobrodzieju! — wykrzyknął on. — A ściskamże stopki pańskie! a chwałaż Bogu! A *Daj samże go tu! daj sam! daj sam!* — Tak wykrzykując radośnie, Mieleszko okręcał się na jednej nodze, składał się ręką w powietrzu jakby na różne cięcia, podjeżdżał, przysiadał, kokoszył się rozmaicie, jakby w zajadłym pojedynku, wołając bezustannie: — *A daj samże go tu! dajsam! dajsam!*

— Panie bracie! czyś ty sfiksował? — rzekł Żegota patrząc z zadziwieniem na te sztuki Mieleszki. — Z czego tak się cieszysz? Dajmy żeś gracz i ochotnik do korda, to wszakże ten pojedynek nie do ciebie należeć nie może. Ja przybyłem tu, jako uproszony przyjaciel od pana Podczaszego Rupejki,

abym się u pana Kasztelana dopomniął o krzywdę jego honoru szlacheckiego, której się dopuścił Kasztelan, traktując go onegdaj we własnym swoim domu obelżywemi słowy, a po prostu mówiąc, abym go wyzwiał na pojedynek z Rupejką — a zatem....

— A zatem — przerwał Mieszk — interes pański skończony; przyjmuję ja w imieniu Kasztelana wyzwanie pana Podczaszego Rupejki *Verbum nobile*, że będzie on miał satysfakcję.... *Daj sam go tu! daj sam! tatuleńku daj sam!*

Milanowski zmierzył uważnem okiem od stóp do głowy tę oryginalną figurę.— Smagława statura, wąs czarny zawieszisty, kresa przez łysinę, oko żywe i pełne, szyja długa, jedwabną zieloną chustką nie-dbale obwinięta, kurtka na opasce, i szerokie karmazynowe aksamitne rajtuzy, ściśnięte u pasa rzemiennym pendentem, zapiętym na srebrną blachę, na której cyfra królewska S. A. R. wyślacana jaśniała, i наконец szabla u boku. Wszystko to rozważał pilnie Żegota, obchodząc go dokoła, a jednak nie mógł z pewnością pomiarkować kogo miał przed sobą i jakiego animuszu, jakiej kondyi i funkcyi był ten człowiek. Nakoniec, po niejakiem milczeniu, rzekł:

— Słuchaj panie bracie, djabli cię wiedzą czego ty chcesz i co ty myślisz z twojem *Dajsam!* z twemi łamańcami i z twoją mową ni w pięć ni w dziewięć! jednakże zjesz kata, nim mnie obalamucisz..... Możeś ty jeden z takich, którzy z szabelki żyją, a czepiając się wielkich panów i za nich łba własnego nadstawiając, klecą sobie fortunę, a przynajmniej mają chleb powszedni. Ale tu się potrójnie okpisz, panie bracie; bo najprzód pan Kasztelan musi sam swoją personą stanąć na placu, naprzeciw ucziwego i powszechnie szanowanego szlachcica, którego skrzywdził; zastępstwa żadnego nie przyjmujemy.— A jeśli nie wyjdzie...

plac ostrzelamy.... Waść wiesz co to znaczy... i do spotkania!— Powtóre, jako szlachcie, możesz sekundować swojego mecenasa; a ja będę sekundan-tem mojego przyjaciela Rupejki, więc kiedy zechcesz, to nasze pryncypały po sobie... a my po sobie... Możesz zatem dostać drugą kresę po łysinie, ale *gratis*, i tu znowu będzie trzecia omyłka, bo Kasztelan nie ci nie da, i nie będzie za co, gdy weźmiesz guza z własnej ochoty.

Mieleszko wysłuchał cierpliwie téj perory, pokręcając tylko głową i rzekł:

— Mój Dobrodzieju. *Książdz z ołtarza, pisarz z kałamarza*, a biedny szlachcie z czegoż? Więc dajmy na to, że i zgadłeś Jegomość po części moją funkcję, to cóż w tém złego? toć wprowadzie *krwawo* na chleb zarabiam. Więc i nie dziw, że przeczuwając robotę człek się rozechocił.... A czyj się tu łeb nakresuję, Pan Bóg to wie! dość że ja przyjąłem wyzwanie w imieniu pana Kasztelana, i odniosę mu one wnet; więc powtarzam tylko prośbę o czas i plac... a *Dajsam!*

— To się znaczy panie bracie, że gdy ci się nie udało wystraszyć gościa, więc się go chcesz gładko pozbyć, a co gorsza — mówił Żegota patrząc niedowierzliwie na szlachcica — powiem otwarcie, że ci Judasz z oczu wygląda!... Gotowyś ustne moje wyzwanie połknąć, i mówiąc czy nie mówiąc o niém Kasztelanowi, przybyć potem sam jeden na plac, oświadczyć, że Kasztelan o wyzwaniu nie wie, i sam się panu Rupejce za adwersarza ofiarować, a mnie na dudka wystrychnąć. Niebezpieczny to plan, panie bracie, jeżeli go masz; a mieć możesz, bo byłem niejednokrotnie świadkiem takiej praktyki, przez ludzi twego rzemiosła nastroczanej; a chociażby ci tam za taki figiel nie z pałaszem spotkać się przyszło... ale cóż nam potem? Tybyś właśnie swego dopiął; boby Kasztelan musiał tobie dać na kamforę; a nasz pojedynek rozchwiałby się po bła-

żeńsku!... Ale panie bracie, włącząc się ty po świecie, i nie w jednej szkole, jak uważam, ucząc się *sapiencyi*, musiałeś słyszeć ruskie przysłowie: *na chytrość jest mudrość*, o toż tak zrobimy:— Nie chcę gwałtem dobijać się do pana Kasztelana, bo powinienem to moje honorowe poselstwo odbyć dokładnie; chociaż po takim mnie przyjęciu wszelkie uwagi i względy na bok by odrzucić należało, i powinienbym wzajemnie po tatarsku, jakieś waść powiedział, skwitować za politykę dygnitarską. Napiszę więc wyzwanie i oddasz pismo moje panu Kasztelanowi. Pisma jak słowa nie będziesz mógł skrócić, bo *verba volant scripta manent*; nie przyjmujemy zatem ekskuzu, że go nie odebrał, gdyż je piszę we własnym jego domu, na własnym jego stole, oddaję pisanie moje szlachcicowi, jego dworzaninowi, a podpiszę... podpiszę dobitnie.... Waść zaś, panie bracie, w tej całej sprawie *respice finem*!—I zasiadł do pisania.

Mieleszko, skonwinkowany na wszystkie boki i w tém co myślał, i w tém czego może i nie myślał, stracił rezon, stał spokojnie, przygryzając tylko paznogie i rozważając słowa Żegoty.— Podpiszę dobitnie, coby to znaczyć miało? *Respice finem*?... Oj, tak, będę uważał i pilnował końca, bo on go-tów *in fine* jakąś sztukę pokazać....

Zegota tymczasem pisał, ale powoli, i jakby namysławiając się nad każdym słowem, a między przestankami uczepiając niedbale pytania do Mieleszki.

— A dawność tu, panie bracie?

— *Ante tres mensas* — odpowiedział Mieleszko, rad się pochwalić ze swoją łaciną.

— Ha! toś nie był z Kasztelanem na konfederackiej wyprawie; możeby huzarowie jego tak szpetnie nieuciekali, gdyby niemi taki *Dajsam* dowodził.

— Któż to wie, jakby było? któż to wie?— odpowiedział przez zęby Mieleszko, a myślał:— Coś on długo pisze, a tylko dwa wiersze dopiero napisał... I podniósł się na palcach, zaglądając przez ramę Żegoty na papier.

— A czego Waspan zérkasz na to co mój pan pisze?— odezwał się niespodzianie Poroczka.

Nagły ten głos, gruby jak żubra, zdziwił i skonfundował Mieleszkę. Odskoczył on w tył. Ozierając się nań Żegota rzekł:— Na co ta wczesna ciekawość, panie bracie? wszakżę oddam na twoje ręce to pismo, więc je i przeczytasz.

— To nic panie dobrodzieju... ja tylko chciałem, nieprzeszkadzając panu... obaczyć czy prędko pan skończy— mówił jękając się Mieleszko i zjadliwym wzrokiem rzucając na śmiejącego się Poroczkę.

— A czego ci tak pilno?... Wieleż odbyłeś w życiu pojedynków, panie bracie?

— A kto ich tam zliczy?

— Musisz mieć dobrą szablę, i pewnie nie jedną? Jakąż teraz głównie masz przy boku?

— Wyszynka, mój dobrodzieju, prawdziwa wyszynka— ale odpowiadając pomyślił:— Oho, o szabli mowa, bacność!

— To dobry gatunek— mówił Milanowski— chociaż bywają kruche.— I dalej rzekł powstając:— No, oto masz, panie bracie pismo moje, które proszę oddać panu Kasztelanowi; ma tu on oznaczone sobie miejsce spotkania pod Kołtynianami, przy okopach szwedzkich, znajome wszystkim na całej Żmudzi; ma pozwolenie przyprowadzić z sobą przyjaciół, wielu zechce, bo i my nieskapo ich przyprowadzimy; ma na koniec tydzień od dziś dnia czasu, na ułożenie interesów i napisanie testamentu.

— Aż tak!— rzekł zdziwiony Mieleszko.

— A to Waść, panie bracie, przywykły widać do pojedynków kończących się na dzbanie!

— Bywało i tak i owak, mój dobrodzieju.

— No, a teraz pokaż mi swoją wyszynkę— rzekł Żegota.

— A to na co?— zapytał niespokojnie Mieleszko, odstępując w tył kilka kroków.

— Ot, lubię broń i mam nieszeptny arsenalik. Jeżeli twoja wyszynka mnie się podoba, możemy uciąć facyendkę, w której przydatek nie z twojej panie bracie będzie kieszeni.

Pokuszony Mieleszko chciał już wyjąć szablę z pochew, ale nowe podejrzenie.... Anuż on weźmie z rąk szablę i nie odda... rozbroi, a potem co zechce to zrobi, i jeszcze drwić będzie?....

— Nie, mości dobrodzieju — odpowiedział więc — nie mogę handlować mojej wyszynki, bo i głównia przednia, i osada dobrze mi do garści przypada, a pan wie, że na tym grunt kiedy przychodzi machać gęsto...

— Ho, ho, panie bracie — mówił znowu Milanowski — nie wyszynka u ciebie w pochwie, ale rożen od pieczeni być musi, gdy jej nie chcesz pokazać. — No, to przypatrz się mojemu pałaszowi — warto — zaręczam. Wiedz bowiem panie bracie, że mój antenata pod Wiedniem głowy nim Turkom zmiatał.

Dobyl więc, można śmiało nazwać, miecz swój, prosty, długi, szeroki.

— Patrz!...

Lecz Mieleszko niechętnie, krok naprzód i krok w tył stawiał.

— Cóż u diabła? — zawołał ze śmiechem Żegota — a to Waść, panie bracie, tchórz wierutny! *daj sam! daj sam!* a do pocziwój szlacheckiej i chrześcijańskiej broni zbliżyć się nie śmiesz. Czy rozumiesz że cię zetnę? wstydź się!....

Mieleszko nie był zapewne tchórzem, ale ostróżnym, a nie mogąc przeniknąć czem może zakończyć Milanowski, tym podejrzliwiej patrzył nań, gdy on

nagi miecz miał w ręku; lecz zbliżył się nakoniec, i przypatrywał się ciekawie.

Sino-ołowiane, węzówój barwy żelazo, zdradzało hart swój błyszczącą gdzie niegdzie gwiazdką, jakby iskrą przysypaną popiołem, a gotową sypnąć żarem od pierwszego ciosu... Na takim tle bladém jaśniał przy rękojeści, złotem nabity, krzyż podwójny, ze starożytnym z gockich liter podpisem: *In hoc signo vinces*.

— Patrz, Panie bracie — mówił Żegota — jaka to święta i mądra sentencja: *In hoc signo vinces*; to znaczy *krzyżową sztuką płataj!* Zatem i ja inaczej się nie biję. — Uważaj!...

Tu odstąpił kroków kilka aż ku końcowi długiego stołu, przy którego środka dotąd oba stali, i mgnieniem błyskawicy wywinąwszy krzyża w powietrzu, spuścił ostrze całym ciężarem potężnego ramienia wzdłuż po twardych słojach dębowego stołu... odszczepiona ćwierć dyla z łoskotem upadła na podłogę.

Mieleszko osłupiał... ruszał tylko ustami, ale nic wymówić nie mógł....

— A co? — zawołał śmiejąc się Żegota — *daj sam go tu! daj sam!*... Mówilem ci *Respice finem*. — Otóż masz *finis* dobitny do mojego pisma, a szczególnie, panie bracie, masz przestrożę dla siebie, że jak *in fine*, podrwisz słową w tej sprawie, i zechcesz figlami mądrości swojej zasłonić Kasztelana, to ćwierć z ciebie, jak z tego stołu odwalę. — Bądź zdrów. — I wyszedł.

Jeszcze Mieleszko nie mógł się opamiętać, gdy wbiegł Kasztelan.

— A co wyjechał? — zapytał on żywo: — Co tu za huk stał się? jakby co ciężkiego na podłogę spadło.

— Ot, co spadło — przemówił Mieleszko podnosząc kawał stołu.

— Jakto, porąbał stół?

— No, no, panie dobrodzieju! no, no. A niech go wszyscy djabli wezmą!... Nie zapomnę ja nigdy!... oto *mach!* kiedy *mach!*... ale oto pismo do Pana.

— Dawaj! naczęś mu dozwolił stół rąbać?

— Oho, Jaśnie Wielmożny Panie! niech go tam jasny piorun trzaśnie! Oho ho! oto *mach*, kiedy *mach!*

Kasztelan nie słuchał już tych niezwykłych i nieporządných wykrzyków przerażonego Mieleszki, który z podziwienia i trwogi nie tylko zupełnie upadł na sercu, ale nieobecnego nawet Zegoty jeszcze się lękał.

Kasztelan przebiegał podane sobie pismo, i za każdym słowem coraz mocniej się czerwienił; nakoniec, drżąc, z zapamiętania i złości:

— Gdzie ten banita — wrzasnął — Wyzwanie! i w tak obelżywych wyrazach i warunkach? Gdzie on? Napadł na mój dom! porąbał stół! *violator!* i śmie jeszcze takie niegodziwości pisać!!!

Nie wiemy wyrazów tego biletu wyzywającego, lecz zapewne Milanowski, obruszony nieukazaniem się Kasztelana jakby nową poniewierką, nie zachował w nim zalecanego przez Rupejkę umiarkowania; dla tego widać długo się namyslał pisząc, i dla tego tak głęboko dojął nim Kasztelana, że ten czytając i wściekając się ze złości, krzyczał:

— Gdzie on? gdzie ten banita? rozbojnik! kryminalista!...

— A ot jeszcze na dziedzińcu, przybiera się do wsiadania na koń — rzekł Mieleszko — spójrzawszy przez szybę.

Milanowski bowiem wyszedłszy z pałacu, aby nie rozumiano że się śpiesznie unosi i ucieka zrobiwszy awanturę, zaczął naprzód baraszkować ze

swymi łózkami, potem zatrzymał jakiegoś starego kredencera przewlekającego się przez dziedziniec, i z nim gawędził trzymając już konia swego za cugle...

— Jeszcze na dziedzińcu? — wrzasnął Kasztelan — Hej! biedz i zamknąć bramę!... Mieleszko! biegaj z ludźmi...

Jakoż Mieleszko skinął na ludzi, aby wypełniali rozkaz pański, ale sam nie śpieszył się... a tymczasem już i Żegota siadł na konia, co przez okno postrzegłszy Kasztelan, i widząc że lud jego wysypał się wprawdzie na ganek, ale nim się namyślił zastępować mu drogę, Milanowski będzie za bramą, w niepohamowanej zapalczywości otworzył okno i krzyknął na całe piersi:

— Stój Banito! stój!...

Żegota odwrócił konia postępującego wolnym krokiem ku bramie.

Rozbojniku! — krzyczał Kasztelan. — Na! to twoje wyzwanie! odwieź Rupejce, takiemu jak ty sam bezczelnikowi! Masz!... Podarł w szmatki pismo, i cisnął przez okno na wiatr.

To nagłe ukazanie się nieprzyjaciela ze srogą obelgą na ustach, to podarcie i wyrzucenie ze wzgardą pisma, uderzyło jak ognistym grotem Żegotę. Nie myśląc już więc ani pomnąc co robi, wyrwał pistolet z olster... Kasztelan postrzegłszy giest ręki, uchylił się od okna... a w tém Żegota wypała... i kula w mosiężnej grubej blasze, pokrywającej zamek u drzwi na przeciw okna będących, uwięzła (1).

Rozruch i gwałt zrobił się niesłychany. — Kasztelan zbiegł na dół i ukazał się na ganku, prac ludzi i Mieleszkę, a krzycząc:

— Łapać! łapać kryminalistę!

(1) Prawdziwe.

Ludzie wszakże posuwali się leniwo! a Żegota uradowany w duchu widokiem Kasztelana, zawołał:

— A gdzież kryminał? przecież żyw i zdrów jesteś, a ja cię tylko ostrzelałem, jako nieprzyjmującego wyzwania, co, i na placu powtórzę.

A że Mieleszko naglony przez Pana, podsuwał się z ludźmi, więc dobył pałasza i zawołał doń:

— *Respice finem, Panie Dajsam!*

Mieleszko na to zawołanie stanął, a ludzie iść nie chcieli, bo i Poroczko z Norejką jadąc stępem za Panem swoim, dobyli także szabel.

Kasztelan więc napróżno wrzeszczał, łajał i hałasował; Żegota był już za bramą, a Mieleszko na pożegnanie odważył się wreszcie krzyknąć:

— A niech cię jasny piorun trzaśnie!

Tu czytelnik niech się cofnie myślą do sceny na rynku Szyłelskim rozpoczynającej tę powieść, bo tamta była skutkiem teraz opisaną. — Kasztelan w srogim gniewie i złości, wypędził tejże godziny Mieleszkę, na którego mężtwie brzydko się zawiódł. Lecz wkrótce gdy się opamiętał, rozmyśliwszy się spokojnie nad tém wyzwaniem, poznał, że lekceważyć go nie należało. Nazajutrz więc wybrał się do pana Podkomorzego Szemiota, i zagaił tam propozycję opisania się w sporach do procesu prowadzić mogących na kompromiss, na pana Szambelana Zaleskiego; co z ochotą przyjął Szemiot, a wśród kielichów pojednawczych zaproszony pan Podczaszy Rupejko, zgodził się na przystojną i w liczném obywatelskiém gronie powiedzianą sobie deprekację Kasztelana, a tak przez przyjaciół sformowaną i ułożoną zawczasu, że samego Kasztelana nie nadto ambarasowała: zgodził się zaś tém łatwiej, że wiedząc jak Żegota zakończył wyzwanie, za główny warunek zgody położył

wzajemne przez Kasztelana zaniechanie wszelkich protestacyi lub prawnych kroków i zapomnienie wszystkiego co się stało. — Na ten warunek Rupejki skłonił się chociaż po mocnym oporze Kasztelana, bo inaczej Rupejko pod *Kołtyniany* zapraszał. Więc lubo kroków prawnych przyrzekł nie rozpościerać za tak wyrazistą *violencyę* swojego domu — a nie rozpościerałby i bez tego, bacząc na mowy ludzkie, które go by śmiesznością okryły, że jak wprzód całą swą huzarszczyzną, tak teraz całym dworem nie mógł dać rady jednemu Żogocie... — lecz wcale nie przebaczył mu w duszy, i owszem, przemyślając nad sposobami zemśczenia się, umyślił i osnował napad wykonany jakeśmy to widzieli w Szytelach, a zakończony zupełną kłęską napastników.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Dzisiejszym młodzieńcom, mającym zamiary wstąpienia w stan święty małżeński, i rozmyślającym nad wyborem najłatwiejszych ku temu środków, dam radę, zda mi się bardzo pożyteczną, bo wypływającą ze znajomości tegowiecznych obyczajów i powszechnego dziś prawie w takich okolicznościach celu, a usuwającą te nudne i kłopotliwe starania, zabiegi, swatowstwa, te *fac similia* miłosnych zapalów, które wszystkim przebywać i ponosić przychodzi dla próżnej przyzwoitości, tém trudniejszej dla młodzieży emancypującej się teraz właśnie z pod wszelkich przymusów, i takich nawet, które dawniej miłość lekkimi i pożądaniem czyniła.

Nastrecza tę radę kochany nasz Zabłocki w którejś ze swych komedyj. Tam jeden z ubiegających się o rękę pięknej i bogatej dziedziczki, gdy rywale jego, romansowemi idący drogami, między nadzieją i bojaźnią nie mogą swego zgadnąć losu... on zbliża się rezolutnie do tajemniczego bóstwa, i jednym wierszem jak jednem cięciem, rozwiązuje gordyjski węzeł swego przeznaczenia.

„*Pani masz rękę, serce — proszę o pieniądze.*” Formuła, jak to widzą czytelnicy, bardzo zwięzła, szczerą i prosto do celu wiodącą, a właściwiej, zda się, dla naszych czasów i obyczajów ułożona, niżeli dla owych przed kilkudziesięcioletnich, w których żyli i żenili się rodzice nasi, w których miłość poczciwa a prawdziwa wiodła szczęśliwe pary do kobierca, a powszechnie, uroczym, rozlane w młodzieńczych kołach, jak woń rokoszna wiosennych kwiatów w powietrzu, *zalecanki*, lubego, swawolnego i igrającego z sercami Kupidyńka, miały swém godłem i bóstwem.

Zalecanki, słowa tego używam ja na wyrażenie owęj serdecznęj sympatyj pociągającej wzajemnie serca jednęj płci ku drugiej, a raczej na wyrażenie skutków téj sympatyj, objawiającej się w żądzy i staraniu wzajemnego podobania się. Słowo to lekkie na pozór, daje mi jednak powód do poważniejszego zastanowienia się nad ideą, którą przezeń wyrazić chcę.

Autor powieścio-pisarz, rozmyślając i studując obyczaje w okresie czasu, w którym powieść swą mieści, i wspomagając się w téj koniecznej dla się pracy, to źródłami pisanemi, to nakoniec domysłnością autorską, która jest główną zasadą powieścio-pisarskiego talentu — gdy myśl swą na obranym przedmiocie zastanowi, wnet się ona rozpromienia wszechstronnie, ulata w przeszłość daleką, i potem z biegiem czasu, jak z biegiem rzeki spływa, przemyka jak łódź lekka nurtami niesiona, po przestrzeni pamiątek i wyobrażeń, śledząc i upatrując wszędzie losy i zmiany rozważanego przedmiotu... i tak nakoniec dobiega i wraca do punktu, z którego ją autor w przestrzeń i w przeszłość rzucił..... Tym sposobem rozwijają się umiejętną ręką pasma pojedyncze wielkiego spłotu obyczajów ludzkich; i pod takim szczególniej względem autor pożytecznie pracować może dla ludzkości, gdy

obierając jedno tego splotu pasmo, zdobiące go lub szpetne, pierwsze ku naśladowaniu, drugie ku obrzydzeniu ziomkom przekazać będzie umiał: pierwsze w dalszą tkaninę wplecie, drugie wyrwie z osnowy i wątku.

Piękne zaiste powołanie talentu! a w wyborze treści tém szczęśliwsze dla powieścio-pisarzy, że im się dostała najpiękniejsza, błyszcząca, złota nić życia, która z serca jak z jedwabniczego kokona wywija się i wplata w losy ludzkie — nić miłości i wszelkich z niej zjawień i skutków w dziejach człowieka! Ale też za to i podwójna ich spotyka trudność, która podwójnej a głębokiej wymaga znajomości i serca ludzkiego i obyczajów społeczeństwa, aby dzieła ich i utwory najchlubniejsze piętno, to jest piętno prawdy, na sobie miały. Bo gdy inne uczucia i namiętności, raz dobrze odgadnięte, jednostajnym prawie w każdym wieku i czasie objawiają się sposobem, i ani nadają barwy obyczajom i społeczeństwu, ani jęj od społeczeństwa nabierają, a pobudzane i wzburzone jakakolwiek przyczyną, przewiechrzywszy świat i ludzi, nikną potem i na długo częstokroć, w głębi duszy zmordowanego niemi człowieka, lub w głębi zmordowanej całej ludzkości, jak żar na dnie ostudzonego wulkanu: to miłość, jak płomień żywotny rodzaju ludzkiego, goreje nieustannie, ożywia świat cały, i jak codzienny pokarm duszy, przylega do wszelkich jęj myśli, wyobrażeń, i z niemi razem przybiera rozmaite kształty, ozdoby i kolory... A ztąd coraz to inne wyrazy, sposoby i środki na objawienie swych uczuć i sympatii wynajdując, coraz to w nową i odmiennego kroju szatę ubiera towarzystwo. Tak każdy okres czasu cechuje się innym, właściwym sobie rodzajem zalecanek, i śledząc za nim, daleko ważniejszych dójsięby można rezultatów, i daleko trafniej osądzić stan moralny narodu, pod to dochodzenie wzię-

tego, niżeli z rozbioru poważniejszej na pozór dziejów jego treści; bo tu uwaga ściagałaby i przeglądała usposobienia serc ludzkich, których poczciwość lub zepsucie jest wizerunkiem i dowodem stosownego stanu społeczności, a której tajnie najrzeczywiście się wydają na zewnątrz, w takich najinteresowniejszych okolicznościach życia.

Sprawdźmy więc naszą teorię, przypatrując się pięknej Dosi, i rozwiniętym około niej *zalecankom*, a ztąd wypadkom przedłużającym ciąg dalszy opowiadania naszego.

Dorodna i ładna Dosia wzrosła i wychowała się pod okiem poczciwej matki swojej, pani Podczaszynie Uwojniowej, słynącej w całej okolicy za wyborną gospodynię. I była nią w rzeczy samej; bo gdy mąż, zawzięty prawnik jak o tem namieniliśmy, jeździł bez ustanku po ziemstwach, grodach i rozmaitych kondeseencyach, już-to w swoich, już-to w cudzych interesach, ona zajmowała się pilnie całym gospodarstwem domowym i skrzętnie gromadziła talarki; a chociaż mężuło, zwykle goły wróciwszy do domu, dobrą część ich zabierał, lecz ze wszystkich schowanek jejmości wysledzić nie mógł, zostawało więc zawsze trochę, a z tego rósł coraz pękatszy woreczek, zakłęty głęboko gdzieś w skrzyni na dnie, na szlachecki posażek dla Dosi. Jedna też tylko Dosia o nim wiedziała, bo gdy doń coś dosypać przyszło, pani Podczaszyna, wyprawiwszy naprzód z domu pod różnemi pretekstami wszystkie pokojowe dziewczki i resztę młodszych dziatek, szła z Dosią do alkierzyka, dobywała worek, dosypywała z kieszzonek skórzanych z boku pod suknią wiszących, jedną i drugą garstkę *musztyniów*, i tuląc czule córkę do serca: — „to dla ciebie, moje dziecko“ mówiła;

córka z płaczem całowała ręce matki, a ta rozrzewniona do głębi, i córkę i worek żegnała.

Scena taka powtarzała się razy kilka do roku i rzecz nadzwyczajna! widok pieniędzy najpiękniejsze tu uczucia i najśłodsze łzy pobudzał! Jakaż sprzeczność zwyczajnym tego widoku skutkom! Ale tego skarbu nikt się ani domyślał, a o pannie Dorocie mówiono, że kto ją wezmie, ten wezmie skarb prawdziwy, bo nie tylko dobra i piękna dziewczyna, ale i dobrego *gniazda* — *jabłko od jabłoni nie daleko pada*; będzie i Dosia taka jak matka, bez której pan Podczaszy Korczewski, jużby dawno fortunę przeprocesował.

Że zaś właśnie w tamtym wieku wzgląd na to przysłówie był na szczególniejszem baczeniu, i gdy jako dziś o ilości posagu panny, tak natenczas o obyczajach domu jej rodzicielskiego, nim do bliższych przystąpiono oświadczeń, pilnie się wywiadywano; nie dziw zatem, że posiadając te główne zalety, nadobna Dosia, niżeli się opatrzyła na świecie, ledwo na kilku festach obok mamy pokazała się, wnet młodzież rojem ją otaczała, a trzech, jakeśmy to widzieli, niewątpliwych do swęj ręki dostała konkurentów. Każdego z nich wdzięki Dosi ujęły najprzód, ale każdy inaczej nad swęm z nią ożenieniem rozmyślał i innemi powodami się do tego skłaniał.

Najmłodszy *Mejra*, zakochany do szaleństwa, najbliższy sąsiad, a zatem najczęściej widujący Dosię, śmierć nad jej utratę przekładał, i równą takięj miłości nienawiść nosił w sercu dla rywalów, a szczególnież dla najniebezpieczniejszego — to jest dla Milanowskiego. — „Ożenię się z nią — lub zginę! Oto cała treść myśli Wincentego Mejry.“

— „Ożenię się z Dosią, dumał sobie Zegota: „dalibóg ładna, hoże i zdrowe dziewczę! Kocham „ją szalenie! To mi gosposia w domu! takięj mi „właśnie potrzeba! a będzie pocziwa i rupna jak

„jój matka. Pan ojciec pieniacz, ale co mi tam!
 „za reformę prawować się nie będziem, bo posagu
 „nie da, a ja nawet żadnego nie chcę.... Ejże!
 „a rywale?... Ah! wszystkich ich przez kij
 „przesadzę!.... moja Dosia! tak mi Panie Boże
 „dopomóż!“...

Nakoniec, myśli i projekta pana Pułkownika
 wojsk pruskich poznamy z rozmowy jego ze sta-
 rym i poufałym, a często nawet zuchwałym sługą
 jego i powiernikiem.

W pałacu dawniej wspaniałym, teraz ruinie,
 zostały zaledwo zamieszkiwać się mogące dwa po-
 koje, któremi się pan ze sługą podzielili; w je-
 dnym więc z nich wieczorem, Pułkownik zdjawszy
 z głowy perukę i starannie ją na kołku umie-
 ściwszy, przeszedł kilka razy marszowym krokiem
 wszerek i wzdłuż izbę, zapalił fajkę, i usiadłszy
 w starém szerokiém krześle, gotowym był do zwy-
 czajnej wieczornej ze sługą pogadanki lub kłótni,
 co zależało bardziej od humoru sługi niż pana.—
 Bonawenturo! — zawołał więc.

— Ja — odpowiedział z za ściany głos jakby
 przedrażniający, bo nosowy i gruby jak Pułko-
 wnika.

— A co tam robisz?

— Tabakę!

— A chodź-no tu.

— Zaraz.

Pułkownik całą wielką wypalił fajkę, nałożył
 i drugą, nim się to zaraz ukończyło; nakoniec uka-
 zała się przezedrzwi łysa głowa, i dwie podobniu-
 tenkie łysiny powitały się z sobą.

— A czego? — zapytał on.

— Chodź tu, pogadamy.

— Aha! — wsunął się natenczas zawiedły, jako
 i pan jego, Bonawentura, z którego twarzy kwa-
 śnej i skrzywionej łatwo odgadłbyś, jak wielki za-
 pas zrędy i gderactwa miał on w sobie; znosił

go jednak Pułkownik, bo jego własnej niktby nie zniósł, ktoby mu wet za wet oddać nie mógł, a nadto, oba wzajemnego łagodzenia się posiadali sekret.

Długo jeszcze oba milczeli, Pułkownik gęsto puszczał dym z gęby, a Bonawentura bez ustanku świeżą tabaką nos częstował; nakoniec Pułkownik podjął nań oczy i rzekł:

— Myślę żenić się.

— Z Uwojnianką? — odpowiedział ponuro Bonawentura i pociągnął mocno tabaki, kiwnął głową i spójrzał złośliwie.

— No cóż ty głową kiwasz? czy to źle?

— Gorzej będzie mospanie jak pod Kistrynem.

— A cóż ty wiesz jak było pod Kistrynem, kiedy tam nie byłeś?

— Kto wie czy i jegomość tam był? ale jegomość mówisz, że tam było ciężko jegomości; otoż tu byłoby ciężiej... ale że z tego nic nie będzie...

— Jak to nie nie będzie? — przerwał Pułkownik — dla czego nie będzie? co ty kpie prorokujesz? Otoż to że będzie! Pan Choraży, ojciec panny Doroty, powiedział mi onegdaj: daj mi panie Pułkowniku swój majątek i swoje interesa w ręce, a obaczysz jak w rok puścim z kwitkiem panów zastawników twoich pięknych folwarków. — Odpowiedziałem: — Dowód to łaski pańskiej!

Otoż widzisz jak on zna dobrze moje folwarki, włęc jak oświadczę, że wszystkie bez excepcyi oddaję w dożywocie mojej przyszłej żonie, i z pięćdziesiąt tysięcy talarów darem, to i jej dam fundusz i jemu zabawkę z zastawnikami. A któż jego córce da taką fortunę? czy ten hajdamaka Milanowski? Cóż on ma? *Berżyłówkę*? at folwark, chat tam jakich ze trzydzieści, i brat jeszcze na tem bodaj nie wypłacony zupełnie. — Czy Mejra? a cóż tam ich *Kilpinie*? na kilku braciszków? będzie okolica. — A tu u mnie, pani żona będzie pa-

nią całą gębą... finfa braciszowskiemu, panu Kasztelanowi, który czeka jak kania deszczu, aż ja nogi zadrę; bo trzech synków *hoholów*, na moją fortunę wyhodował.—Ale zjedzą kaduka... będę miał własne dziatki.... Dosia! he, he, he! odmłodnieję przy niej!.... —rozśmiał się i nadzieją tą ukontentował się serdecznie.

— A czemuż nie? — rzekł Bonawentura — może być jak w godzinkach *Abizai prawego Dawida grzejąca*.

— *Tausend teufel!* stary ośle! jak ty śmiesz mnie z Dawidem komparować? on miał lat ze sto, gdy się do Abizai tulił; a ja... zwyczajnie podżyły.... ale nie przeżyły człek! — zawołał dotknięty do żywego Pułkownik i tupnął nogą; ale wnet jęknął oj! oj! bo w gniewie zapomniawszy o pedogrze, bolącą stopą o ziemię uderzył.

Bonawentura zrozumiał, że już niebezpiecznie było drażnić się dalej i uragać z pana; więc zmieniając ton, a znając główną myśl jego, — da to i prawda! — rzekł — Jegomość choć stary ale jary? Pan Bóg da dziatki... i poprosisz jegomość pana Kasztelana z synkami na chrzciny pierwszego swego syna. Oto wtenczas będzie panu Kasztelanowi finfa! prawdziwa finfa!

— No, widzisz, także i mów; na tém grunt! dość jemu i tego co nabrał z mojej fortuny gdy ja wojskowo traktował! Więc i panu bratu finfa, i żoneczka młoda i ładna! he, he, he, i własni sukcesorowie!...

Tak sam rozdobruchany, chciał wzajemnie udobruchać sługę, i miał na to także niezawodny sposób. — A wiesz — rzekł — kto nam ślub będzie dawał? oto nie kto inny, jak waści brat, bernardyn, X. *Teopemptus*.

— Da jegomość tylko tak mówisz, a jak przyjdzie do czego, to biskupa zaprosisz! — rzekł niedowierzający Bonawentura.

— Nie, daję tobie słowo — nie kto inny jak X. Teopemptus.

Wnet zatem rozfałdował i rozweselił czoło Bonawentura, bo brat jego bernardyn, definitor, był jego chlubą na ziemi i nadzieją zbawienia w niebie; każde więc o tym bracie wspomnienie tak mu było miłym, że Pułkownik wzywał zawsze jego imienia, ile razy zrzedę sługi w pochlebstwo sobie chciał zmienić. — Teraz więc oba w lepszych humorach, szczęśliwie zamiarom swoim raili nadzieje. (1).



II.

W jakimże było stanie, i z jakim uczuciem serduszek Dosi, względem tych trzech pretendów?

„W głowie — w mowie — w myśli — w sercu — na kobiercu!”

Przekładając stosownie wyrazy téj staréj kabaly, a której stopniowanie dowodzi w układającym ją kabaliście znajomości dróg i kolei, któremi miłość wchodzi do serca i prowadzi do kobierca, wypadną kombinacye, odpowiadające myślom i uczu-

(1) Powszechnie dawniej na Żmudzi włościanie byli w stosunkach patryarchalnych z dziedzicami; zamożniejsi oddawali synów swoich do szkół, z kąd najczęściej wstępowali oni do stanu duchownego, garnąc się najbardziej do zakonu Bernardynów; lecz i w świeckim duchowieństwie nauka doprowadzała ich nieraz do wysokich dostojęństw kościelnych i do katedr uniwersyteckich.

ciom panien na wydaniu, w rozmaitych okresach czasu i obyczajów.

I tak, panowie konkurenci byli u Dosi w *głowie* i w *myśli*; w sercu zaś czy był który nie wiemy z pewnością; bo w owych wiekach kluczyk do serca młodej dziewczicy był zawsze w ręku jej rodziców: dla narzeczonego tylko odmykano je z lekka i ostrożnie, a oddawali go zupełnie mężowi, gdy z ich córką po ślubie od ołtarza odchodził.

Wszyscy trzej byli za to w mowie nie tylko jej rodziców, ale i całej otaczającej ją domowej gromadki, wśród której każdy z nich miał życzliwych sobie stronników, już-to troskliwych o przyszłe szczęście swjej panienki, już-to ujętych tajemnie podarunkami lub obietnicami przez którego z konkurentów.

I to była w tamtych czasach zwyczajna prawie droga szlacheckiej dziewczicy do kobierca; droga na pozór zimna, sucha, nie kwiecista, nie osłonięta różami, ale najczęściej natenczas prowadząca do szczęśliwego pożycia stadła, pod godłem najświętszem i najprzykładniejszem czwartego przykazania zjednoczonego.

Przyszła jednak kolej i na serce, gdy bardzo serdeczny Stanisław August, po pierwszych burzliwych latach swego panowania, miękko, spokojnie i rokosznie rozległ się na tronie... i łatwy, nie pracowity, nie mężki a chlubnie tylko i pochlebstwu wielce podatny, obrawszy sobie królowania zawód, monarchą opiekunem nauk, mającym sarmacką narodu swego szorstkość ogładzić, i po europejsku go oświecić deklarował się. — Po europejsku, to się natenczas znaczyło po francuzku; więc razem z literaturą, z językiem, z książkami, ubiorem, z obyczajami, napłynęły do nas, i francuzkie *zalecanki* — śliczne, gładkie, łudzące, pieszczotliwe, swawolne, zbliżające młodzież ku sobie a usuwające powoli zawady i przegrody, któremi

dotąd chłopców od dziewcząt *modestia* przedzielała, niekiedy je tylko wśród hucznej wesołości przeskoczyć pozwalając.

Zatém stolicę najprzód objęła jakaś jakby atmosfera wonna, rozmiękczająca i upajająca zmysły.... Wśród niej ozwały się pienia poetów, pochlebiające to królowi, to królującym nad królem pięknościom, to erotyczne i pokuszające; to czułe, wdzięczne i słodkie, na które czysta i tkliwa miłość harfę im nastrajała — otworzyły się teatry nietylko w stolicy, ale i po dworach niektórych bogatych magnatów (1). Wesołe i romansowe piosenki w łatwych a miłych nótkach rozplýwały się z nich po kraju:

Patrzcie bogacze świata
Jak mało człeku trzeba!
Kochanie w młode lata,
Pod starość kawał chleba, i t. d.
Raz na pniu między dębami,
Siedziały w parze turkawki (2) i t. d.

i tym podobne, nie uczonemi ale wdzięcznemi głosami śpiewały dziewice, wtórowali im chłopcy. — Nakoniec, z tkliwych najtkliwszy zjawił się Karpiński, i miłość swą ku nadobnej Justynie rzewnemi i słodkimi opiewając piosenkami, wszystkie młode serca jakimś rozkosznym upojeniem, jakąś tęsknotą zalał... kochać i być kochanemi ośmielił. (3)

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory;
Tam ja z moją Justyną
Słodkie pędził wieczory i t. d.

(1) Teatr w Słoniemiu u Hetmana Ogińskiego był bodaj najlepszym z prywatnych, bo sam książę był razem i aktorem i kompozytorem muzyki grywanych tam operetek.

(2) Początki piosenek z oper tamtoczasowych.

(3) *Amare auso*.

O! i pewnie nie jedna natenczas para, za przykładem kochanka Justyny nad potokiem w cieniu jaworów, nócąc te czule jego wyrazy, wieczną sobie zaprzysięgała miłość...

Nakoniec, w takim powszechném skłonieniu serc i uczuć, w muzyce zjawił się w ciągu tegoż samego czasu drugi Karpiński.... Któż mi zaprzeczy że nim był Ogiński Michał? jego polonezy tak uroczą, tak rzewną, tak niewymównie czystą i rozkoszną razem tchną harmoniją... że słuchając ich człek się w niej rozplywa, żrenica tkliwą łzą zachodzi... którą młodzieniec nieraz na dłoń kochanki ronił, a starzec zdziwiony że wzruszony, rękawem od kontusza wycierał.

Tak przeniesione ku nam *zalecanki* francuzkie, w stolicy podsycane zbytkiem i miękkością, a ośmiecane niedowiarstwem także francuzklém, rozpleniły się tam w rozpustę, znuiewieściałość i zgorszenie; lecz po wsiach i po całym kraju trafiwszy na serca pocziwe, i modném zepsuciem jeszcze nie rażone, jak mętne wody przeciekając przez czysty piasek wyklarowały się same, i szczęśliwie przeni narodowane, rozbudziły w nich tylko właściwą i wrodzoną charakterowi naszemu czułość, i wdzięczniejszych sposobów objawiania jój nauczyły.

Wtenczas to znalazły się środki otwierania serduszek dziewczęcych bez kluczyków rodzicielskich.... Lecz i w takim tajemniczym porozumieniu się serc, inny znowu znakomity poeta dał powszechnie wówczas znane, powtarzane i ściśle przyjęte, a miłość z cnotą łączące godło.

A kto jest uczuć zdolny uczciwe kochanie,

Albo już jest cnotliwym, albo nim się stanie. (1)

I dla tego w owym wieku,— który wiekiem ojców naszych, tak jak wiek Zegoty wiekiem dzia-

(1) Trębecki.

dów naszych nazwać możemy—najeczęściej wzajemna a pocztliwa skłonność wiodła pary do ołtarza. Okres ten wszedł jeszcze w pierwsze dni naszej, dziś już ludzi podżytych młodości, a jak i na jaki obyczaj w dzisiejszym wieku się przemienił, rozważać i sięgać nie będę; rada moja bowiem dla młodzieży, na początku tego rozdziału napisana, zawiera sens moralny który jest razem i definicyą terazniejszych *zalecanek*.

Wszyscy trzej zatem konkurenci Dosł wybiegali się z oświadczeniem swych zamiarów i z prośbą do rodziców o jej rękę.—W domu państwa Chorążych Korszewskich przeczuwano także ten atak, i dla tego pani Chorążyna, wybrawszy sposobną chwilę, zagabnęła męża pytaniem, co myśli o postanowieniu córki.

Ale on, który wszystko prócz procesów na jutro odkładał, odprawił żonę kilkakrotnie niedbałem „obaczemy“, albo potem o tém—poradzę się brata, pana Pisarza Ziemskiego Rosieńskiego.“

Pani Chorążyna niecierpliwie więc oczekiwała rady w tej najważniejszej dla niej okoliczności, a gdy czas upływał i mąż milczał, znowu więc nagiąć go poczęła.

— Cóż Wasze myślisz? — rzekła więc ona, odprowadziwszy go do osobistego alkierza. Gdzież te rady pana Pisarza? razy kilka byłeś w Rosieniach, i nie mi nie mówisz.

— A cóż tam tak pilnego?—odpowiedział mąż — czy już pannie Dorocie uprzykrzyło się u rodziców? to niech idzie z Panem Bogiem za kogo chce: „*Kaip pasyłosi—Taip uszmigosi*.“ (1)

— Co to Wasze prawisz swoje *kaip pasyłosi*? Czy Dosłę kto od nas wykradł? niech Bóg tego

(1) Jak się pościelesz, tak i wyśpisz.

bron!; czy to kochane dziecię nasze nie powtarza mnie zawsze, ile razy o jęj zamęźclu mowa, że nieinaczej, jak za wolą i rozkazaniem a błogostawieństwem naszym obierze sobie przyjaciela, i że wołałaby raczej nas nigdy nie odstępować. Więc Wasze wolęj pocziwie i po ojcowsku choć raz w życiu nad tém pomyśl, bo ostrzegam, że lada dzień którykolwiek z konkurentów, a może i wszyscy trzej razem, bo szpiegują jeden drugiego, zawitają tu z oświadczeniem.

— W takim razie moja Imość będę żądał aby mi dali *horę*...

— A w Imię Ojca i Syna! co wasze pleciesz?— przerwała żona — czy sfiksowałeś? prosić *hory*? proś wolęj Boga, aby ciebie i dzieci twoje strzegł od *hory*, a zięcia pytaj, czy da dobrą dolę twemu dziecięciu, nie *horę*.

— Waćpani bo mnie nie rozumiesz — po łacinie *hora*, po polsku *godzina*; otoż gdy wszystkie dylacye prawne już się urwą, to jeszcze ostatnie *refugium*, *hora*, *godzina*, której sąd niekiedy, i to przy wielkich forsach dozwala, a tymczasem nim ta *hora* upłynie, sąd przystępuje do wołania innych spraw, i tak *hora* przez lat kilka częstokroć się wlecze.

— A dajże mi Wasze pokój z tą swoją *horą*! ani słyszeć chcę tego wyrazu gdy o Dosi mojęj mowa; ale wyrozumiewam, że Waćpan godzisz na zwłokę, a cóż nam i jęj z tego przybędzie? Prawda, dziewczyna jeszcze młoda; ale gdy Bóg zdarza a jest z czego wybierać... i młodsze podrastają, co taki... i taki... — tu uśmiech na twarzy matczyńską chlubę, a jakanie się, skromność, a może i bojaźń uroków, oznaczały, — i taki... będą podobne do starszej.

— Oho! jaka Imość rozumna, zgadłaś; naturalnie chodzi mi o zwłokę; tak, ale o krótką — trzy latka tylko serdeńku! trzy latka! a potem

na kobierzec w Imię Boże. To łaska Boska taka dziewczyna! to łaska Boska! to skarb w domu! na co go więc tak prędko cudzemu oddawać.

— Tak ją bardzo kochasz? — rzekła wzruszona a przywiązana do swojej Dosi matka — to ty ją bardzo kochasz? — powtórzyła tkliwie i gładząc męża pod brodę. — Ja zawsze myślałam, że ty masz dobre serce i przywiązanie do dzieci... Ale czemuż ty Dosi po ojcowsku nie pocałujesz kiedy, nie pobłogosławisz jej, nie popieścisz, gdy ją tak kochasz, że z domu nie chcesz puścić; dziewczynaby się rozplynęła z radości.

— A jakże jej nie kochać — rzekł Chorąży — kiedy widzisz moja rybko, onegdaj kazałem kosić ową łąkę, o którą się prawuję od lat tylu z Mejrami. Myślałem, że znowu jak zwyczajnie co rok dotąd bywało, przyjdzie do kłótni i bitwy; przykazałem nawet ekonomowi, aby w razie napadu rejterował się, depeząc tylko łąkę z kretešem: — kiedy nie nam, to i nie wam — i sam wyglądałem z daleka co się stanie? Koszą moje chłopcy w najlepsze, aż zjawia się i pan Wincenty Mejra z wyżłem i z fuzyą. Pomagaj Bóg! krzyknął podchodząc. — Dziękujemy! odpowiedział ekonom. — Wtém postrzegłszy on mnie, podszedł powitał bardzo pięknie, i rzekł jeszcze: — „Proszę darować, panie „Chorąży dobrodzieju, że łąkę pańską podepczę „trochę, ale za to wszystkie bekasy, jakie na „niej zabiję, odeślę Chorążynie dobrodzice.“ — Jakóż pukał a pukał, chodząc ze swoim wyżłem, i gwałtem mi potem wbił, bo akceptować nie chciałem, kilka par dubeltów; które przywiozłem onegdaj imości.

— No, a nie tenże sam Wincenty przeszłego jeszcze roku, napędziwszy gwałt ludzi i swoich i cudzych, skosił tę łąkę i trawę wnet zwiozł do *Kilpin*, a teraz tak głośno, jakty umyślnie powiedział: „Pańska łąka“ że koście słyszeli. Oho!

toć ja gdy on bekasy strzelał, wszystkim moim kośćcom krzyczałem nad uchem: *Pańska łaka! Pańska łaka!*“ i ekonomowi kazałem przez cały dzień krzyzczeć nad niemi: *Pańska łaka!* aby im i śniły się te wyrazy, to nie zapomną; a *in casu necessitatis* (1) moja dobrodziko, najpewniejsi świadkowie własnego wyznania pana Mejry, że łaka jest moją.— Wczoraj nowy cud.— Ekonom pojechał po drwa; kazałem aby poprobował szczęścia w lesie dyferencyjnym, o który prawujemy się z Berżyłowką Milanowskich; ależ zaleciłem ostrożność!!! bo z Żegotą i z jego Poroczką i Norejką, to gorzej jak z Tatarami.— Cóż imość powiesz? w samej robocie nadciągnął tam Żegota z całą swą psiarnią i chałastrą, mógłby nam wszystkie konie i wozy pozabierać... ale jako żywo! uśmiechnął się tylko i jeszcze ekonoma, po starzej znajomości jak powiedział, z myśliwskiej torby dobrą wódeczką potraktowawszy, kazał nam uniżenie się pokłonić.

Otoż widocznie Dosia wygrała od razu dwie sprawy graniczne, których ja od lat kilku wygrać nie mogę. Jakże takić córki nie kochać!... Ale duszeńku! imosteczku moja serdeczna! trzy latka tylko! trzy latka!... a mówił to błagalnym głosem, wzajemnie gładząc żonkę pod brodę; wydasz ją potem za kogo zechcesz; ale ja tymczasem będę z jednej strony *ciąć*, a z drugiej *kosić*!... Panowie konkurenci przeczyć nie będą, a tak używalność i possessya trzyletnia, podług statutu utwierdził się.... Trzy latka serdeńku! trzy latka tylko wytrzymajcie!...

— Tfu! odpuść Boże ciężkie grzechy! — krzyknęła pocziwa Chorążyna, i drzwi za sobą zatrasła.

(1) W razie potrzeby.

Mężulo stanął osłupiały, z ręką do gładzenia żony pod brodę wyciągniętą... potem kiwając głową, z westchnieniem zawołał: *O mulieres! mulieres!* po djable z wami interes!



III.

Na ziemi Berżyłowskiej Milanowskich, nad rzeką *Okmianą*, jest obszerna i równa łąka, wśród której wznosi się, wyraźnie ręką ludzką, usypana, góra *Pilepiłajte*. — Przedchrześcijańscy Żmudzini tak zwali miejsca obrane starannie i naturą lub własną ich pracą przyspasabiane, na których bogom swoim palił ofiary i na które niekiedy, znosząc wszystko co mieli najdroższego; do obrony naprzeciw najścia nieprzyjaciół kupili się.

Góra ta w Berżyłowce jednemu i drugiemu celowi dobrze odpowiadać mogła, bo na wierzchu płaska i równa jak stół, ze wszystkich zaś stron stroma i niedostępna, wpadającym do Okmiany strumieniem i trzęsawiskami otoczona, nie łatwy do siebie dawała przystęp: a była jakby na przedniej straży od Krzyżaków, bo zamek ich *Ragnita*, nad Niemnem o cztery ledwo mile ztąd odległy. Że zaś była to razem i góra ofiarnicza, prócz podania o tém gminnego, dowodzi jeszcze i nazwanie łąki na której usypana *Ałkas*—co w języku żmudzkim (Ałas Aukas) znaczy ofiarę—a nadto na wierzchu jej płaskim i tak obszernym, że nie mała ludność pomieścić się tam może, stoi, i do dziś dnia czerstwo zielenieje, ze sześć wieków może liczący dąb ogro-

mny, drugi żmudzki *Baublis* (1), drzewo jak wiadomo święte w bałwochwalstwie, zasadzone tu zapewne ręką jakiego *Krywejty*, nieprzewidującego natenczas wcale, że szerokie jego konary krzyż kiedyś, godło wiary zwyciężkiej nad jego wiarą, osłaniać będą. Niewiadomo bowiem kiedy przez kogo, i na jaką pamiątkę wzniesiony, stary, dziś i mchem porosły, stoi krzyż pod tym dębem.

Noc letnia, ciepła a nawet parna, ale ciemna i pochmurna, okrywała tę górę i całą okolicę. A była to noc tajemnicza, czarodziejska... podczas której złe duchy obliczają zwykle roczny bilans swych skarbów, w zakopanęj i ukrytej w ziemi

(1) *Baublis*. Sławnym jest na całą Żmudź dąb ten, w powiecie Rosieńskim, w majątku *Bordzie*, obywatela (już zmarłego) Dyonizego Paszkiewicza; nieraz już nawet opisywano go (*Dziennik Wileński* na rok 1817, tom VI. stronica 502.—*Dziennik Warszawski* na rok 1829, numer 44, stronica 12 i dalsze). Nazwanie to *Baublis* było mu odwieczne, a podanie, jak mi powiadał Paszkiewicz, niosło że czczony był w bałwochwalstwie, jako bożek i opiekun pszczół i pszczolnictwa. Narbut w swych *Dziejach starożytnych narodu Litewskiego* (tom I. stronica 193) mówiąc o tymże samym *Baublisie* twierdzi: „Że mistyczne nazwanie tego dębu ma odpowiadać w Żmudzkim djalekcie, nazwaniu tego odgłosu, który byk wydaje, a jakim się ani krowa, ani wół nie odzywa. Widać że to był dąb jeden z wróżących, z którego wypruchniałości wychodził głos wiesz-czy, podobny do byczego ryczenia.“ Nie wdając się w roztrząsanie, czyli podanie, lub erudycja, na pewniejszej zapewne znajomości rzeczy oparta, bliższą tu jest prawdy; dodamy tylko, że w roku 1824, będąc na Żmudzi, odwiedziłem pana Paszkiewicza, i piłem herbatę razem z siedmiu mych odwiedzin towarzyszymi w *Baublisie*. Stał on i zielenił się wprzód na łące, lecz gdy pastusi wypalili w nim sobie od spodu głęboki loch, do którego podczas deszczu włązili, Paszkiewicz natenczas zdecydował się przenieść tułów tego olbrzyma do ogrodu. Z wiel-

gotówce, przyjmują od zakamieniałych skąpców nowe depozyta, a wzajemnie niesytym chciwcom odkrywając podziemne swe kassy ze złotem, wypłacają im z góry umówione *quantum* za ich dusze; innym znowu w różnych żądanych talizmanach i czarodziejskich sekretach dają asygnaty na podobną hypotekę, na wszelkie światowe rozkosze i sukcessa, i nakoniec uczują z czarownicami po łyśszych górach; piją targowe borysze, rozpisują cerografy, i z zapianiem koguta zamykają na cały rok swe konta i bióra. Słowem, była to noc w wigilię Ś-go Jana, powszechnie za straszną ogłoszona i przyjęta.— Wśród takiej zatem ciemności, człowiek jeden idąc ostróżnie, i grzęznąc za każdym prawie krokiem w trzęsawiskach i krynicach, zbli-

ką więc pracą odkopał jego korzenie, i obciąwszy je, odmierzył w górę pięć łokci i pół pnia, a wydrążywszy do reszty tak, że trzy cale tylko zostało, ścian drzewa, przewiózł do ogrodu nakrył ten kadłub, dał drzwi i okienka, polakierował wewnątrz i *Baublis* stał się altanką przeznaczoną na skład starożytności żmudzkieh, które Paszkiewicz zgromadzał rozkopując kurhany i okopy krzyżackie, po całej Żmudzi gęsto znajdujące się. Zbiór ten był nawet dość ciekawym, a umieszczony na półeczkach wewnątrz na około będących. Na środku stolik, z tego samego dębu i kilka zedelków, a tak goście których Baublis często do pana Paszkiewicza sprowadzał, wygodnie w nim pomieszczeni, siedmią wiekami objęci byli i rozpatrywali starożytności tych wieków, słuchając jakby prelekcji samego gospodarza o każdym szczególe. W mieszkaniu pana Paszkiewicza wszystkie drewniane sprzęty, szórokie stoły, ławy, krzesła, z pozostałego ogromnego kłoca porobione były, a nadto, krąg z całego dębu spiłowany i wypoliturowany, dozwalał policzyć słoje wyraźnie, a więc wiek dębu — siedmset kilkadziesiąt słojów, i tyleż lat żył Baublis. Zaczął zatem życie w czasie gdy w Polsce panował Bolesław Śmiały, i mógł być równieśnikiem wiążu Św. Stanisława — ma średnicy ta altanka w Bordziach łokci górą siedm.

zał się powoli z jednej strony do góry, niosąc na ramieniu rydel i siekierę; z przeciwnéj drugi brnął podobnie i niósł także narzędzia, a nadto jeszcze i sakwy. Nakoniec, od rzeki Okmiany szedł trzeci, a ten włókł za sobą długą żerdź, podpierając się także rydlem.

Dwóch pierwszych góra przedzielała, trzeci był w środku między niemi, a wszystkich czarna nocna ciemność kryła najzupełniej. — Prawie razem stanęli oni u spodu góry, i z bijącym mocno sercem pięć się na nią zaczęli... a podnosząc się coraz wyżej i czepiając się na oślep krzaków, któremi boki jęj porosłe były lub je łamiąc, sprawili szelest, który wszystkich trzech zarówno doleciał... Oslupieli zatem i stanęli jak morem obwiani... przeżegnali się... — znowu cicho i głucho. — Włęcz pną się dalej — jak najciszej, jak najostrożniej, jak najpowolniej... im wyżej, tém są sobie bliżsi... tém wyraźniejszy szelest się powtórzył... natenczas strach przejął każdego aż do serca. — Stanęli znowu, drżeli jak w febrze, i nakoniec ustać na zdętwiałych nogach nie mogąc, przypadli do ziemi... a bez ustanku trzepali pacierze, których ani skończyć, ani zrozumieć sami nie mogli....

Jeden wszakże opamiętał się rychlej od innych; sięgnął do kieszeni, dobył flaszkę, łyknął haust dobry... i wnet męztwo się wzmogło i rozważa się znalazła. — Chwilę jeszcze się zatrzymał, a nie nie słysząc, bo tamci oddech nawet tłumili w piersiach — dopełzał do wierzchu, ale nie wchodząc na płaszczyznę, tak się ułokował, że głowę tylko na nią położył, i w takiej ostróżnej pozycji warując do skarbu, po który przychodził, jak wyżej do półmiska, postanowił czekać i pilnować, co się tu dalej stanie?

Wkrótce zaczął rozmyślać i reflektować się.... Jeżeli tu jest djabeł, to mam na niego krzyż Pański... mam szkaplerze... byłem u wielkanocnej spo-

włodzi... bies nie da mnie rady!... a ja wiem czego on nie lubi... wiem... otoż zaprobuję... *Kukuryku!* zaśpiewał więc naśladować doskonale koguta i słuchał... cicho—znowu pociągnął z flaszki, a gdy w miarę haustów i śmiałość rosła *kukuryku!* powtórzył, i dodał:—*a co biesie, a gdzie ty?*

Na to zawołanie ozwał się głos z drugiej strony:—Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja chwałę — odpowiedział pierwszy śmiało już powstając i idąc ku dębowi na górę; ale kto ty? i po co tu?... w tym głos trzeci zajęczał przewlekłe.

— Ok Jezus! wszak to pan Norejko, a ja rozumiał że djabeł.

— I ty tu pijaku *Mateuszas!* a tyż tu po co?

— Po skarb, panie Norejko! po skarb! ale gdzież Waćpan? Oj kwała Bogu że Waćpan dał głos i odezwał się, bo ja zdeklby już ze straku.

— No któż tam trzeci? odzywaj się i chodź tu!— zawołał Norejko — bo to on był w rzeczy samój, i wzajemnie się z Mateuszem po głosie poznali.

— Idę, idę, mój kochany Norejko — odezwał się ten trzeci — to ja, *Druktejn*.

— Pan Druktejn! pan ekonom pana *Mejry!* a stara znajomość! kłaniam uniżenie! I Waćpan po skarb? oho! wielka nasza kompanija, nie podzielim się — No, ale chodźcie tu obadwa pod dąb — mówił Norejko — a sam już na pamięć tam trafiwszy i krzesząc ogień... Djabeł tu ich nadał, myślał sobie, teraz już skarbu nie wzięć! bo trzeba koniecznie być jednemu, jak ludzie powiadają, a trzem razem nie da się...

Odwiązał potem kilka suchych płonek u rydlówęj rękojeści na zapas uwiązanych, i zapalił je od nasiarkowanej hubki, co ułatwiło drogę pod dąb niespodziewanym przezeń towarzyszącej téj wyprawy.

Przywlekli się więc i Druktejn z długą żerdzią za sobą i Mateuszas z rydlem w ręku, a sakwami na plecach.

— Kłaniam uniżenie— powtórzył Norejko do Druktejna— kłaniam uniżenie. Czy to Jegomość za chleb nasz, co przez kilkanaście lat jadłeś, teraz przyszedłeś skarb nasz wykraść?

— Wasz skarb? dla czegoż wasz? czyście go tu zakopali?— odpowiedział Druktejn.

— Nie my, ale Waćpan wiesz dobrze, bo będąc dyspozytorem w Berżylówce nieraz tu przy kościach stałeś, że ta góra należy do pana mego, a zatem i skarb, który w niej jest do niego należy.

— Każdy skarb— rzekł Druktejn— gdziekolwiek jest— a co ich jest po świecie, to Boże zmiłuj się!— do tego należy komu się pokaże i kto go wziąć potrafi; gdyby ten skarb był pana Milanowskiego, toby już jemu i pokazał się...

— A Waćpanuż pokazał się?...— zapytał Norejko.

Tymczasem Mateuszas chcąc ogień utrzymać i większy podniecić, suchą żerdź Druktejna łamać począł.

— A co ty robisz najlepszego? to miara od dębu gdzie skarb leży!— wrzasnął ten zapomniawszy się.

— A w którą stronę— zapytał szybko Norejko.

Mateuszas zaś składając wnet kawałki żerdzi jedno do drugich:— No kwałaż Bogu!— rzekł— że jeszcze jój nie spalił.

Ale Druktejn czy postrzegł się, czy rzeczywiście nie wiedział, w którą stronę trzeba było żerdzią mierzyć odpowiedział:— Ot co tego to nie wiem.

— Musi być na zakód słońca, bo zawsze na zakodzie czarowniki zakopywają skarby rzekł Mateuszas, a Norejko wstał, piędzą wszystkie kawałki żerdzi przemierzył i na ogień wrzucił. Z suchego drzewa piękny więc zajaśniał płomień, i całą górę oświecił.

— Darmo tu przyszlście i przychodzić będziecie rzekł Druktejn, siadając pod dębem — nikt tego skarbu nie weźmie, tylko ja, albo syn mój, albo wnuk, albo prawnuk i tak dalej (1), póki Drukteinów będzie na świecie; a który z nas dostanie, to syn jego będzie *Dominos* większy od wszystkich żmudzkich *Dominosów*.

— Czemuż to syn, a nie on sam?

— Bo umrze zaraz każdy który dostanie ten skarb.

— A niek Pan Bóg broni! nie prydeż ja tu więcej! wykrzyknął Mateuszas.

Oho! ho! panie Druktejn, uczciwszy uszy, łzesz waćpan! chcesz tylko wszystkich odstraszyć; nie przyszedłbyś dziś po skarb, gdybyś wiedział, że jutro z pełnemi garściami złota umrzesz. Czy to ten skarb na takie słowo zaklęty?— mówił Norejko i śmiał się.

Stary Druktejn patrząc nań smutnie kiwał głową: mój kochany Norejko — mówił potem — znamy się od dawna; tyś był młodym chłopakiem, kiedym ja w Berżyłowce był dyspozytorem u ojca terazniejszego waszego pana; przecież często natenczas nad uchem słyszeć mogłeś: „pocziwy Druktejnis! pocziwy Druktejnis!“ chwała Bogu, było to sprawiedliwe moje przezwisko. No dla czegożbym na starość, zostawszy łgarzem i szalbierzem, darmo was chętał straszyć i oszukiwać? Cała Żmudź wie, że w tój górze jest skarb wielki, wiedzą nawet piąte przez dziesiąte, zkad on tu powstał, ale pod jakim zaklęciem, to bodaj ja jeden wiem tylko.

— I u nas o tём cały dwór rozpowiada to siak to tak — rzekł Mateuszas — a każdy inaczej, i każdy wybiera się przez cały rok po ten skarb, ale jak przyjdzie pora, to niema ani jednego *zuka*. Szuciłło nawet skrewił. Mówiłem jemu: — kodź! kodź bracie!

(1) Wszystko z miejscowego podania.

skarb wielki, ja jeden nie pryniosę. — A on na to: — niek ciebie djabli weziną i ze skarbem!

— Słyszałem i ja — przerwał gadatliwemu Mateuszowi Norejko, skonwinkowany umiarkowaniem i smutną miną Druktejna, że tu była wojna; że na téj górze Żmudzini bronili się, i że wszystkie tu swoje skarby zakopawszy, sami zginęli co do nogi; ale o Druktejnach nic nie słyszałem.

— A od kogoż miałeś słyszeć? chyba ci dąb ten, który był świadkiem wszystkiego co się tu natenczas działo, rozpowiedział; wiesz to zatem co wszyscy prawią, a ja tylko wiem samą prawdę; jaki to skarb i z kąd on tu wziął się i co się natenczas ze Żmudzinami stało — i na koniec, że nie kto inny jak Druktejn do niego się dobierze, kiedy przyjdzie czas na to...

— Panie Druktejn — rzekł z oburzeniem Norejko — za co waćpan jeden masz wszystko zabierać? skarb na naszój ziemi zakopali go wszyscy Żmudzini, a jeden Druktein ma wziąć?

— A dalibógże to niesłusznie — odezwał się Mateusz, poprawiając łom palący się.

— Ma wziąć... ma wziąć... mówił wzdychając Druktejn. — Otoż to, że już z dziesięciu, a może i więcej Druktejnów z tą nadzieją codzien spać się kładli, z tą nadzieją rano wstawali, z tą nadzieją żyli i umierali, a konając oddawali ją w sukcesyi synom swoim, którzy ją jak chorobę jaką zaraźliwą, do serca przyjąwszy, przez całe życie w biedzie i ciężkiej pracy, patrzali prawie na złoto, którego dostać nie mogli. — Nie jeden więc Druktejn i nie jedną noc Sto-Jańską jak dzisiejsza, póki był młody, przebył wałęsając się jak wilk około téj góry, bo każdy chciał skarbu, a nie chciał umierać; tak chciwość Boże odpuść, parła go w górę, a śmierć stając w oczy odpychała na dół... ale gdy dożył starości, to już śmiało laził, i pod tym dębem noce Sto-Jańskie strawił...

— Oho — przerwał Norejko — bo pod starość wszyscy chciwieją.

— Nie bracie — oh nie! ale że miłość i przywiązanie do dzieci tak natenczas ogarnia człowieka, że gdy już nie wiele zostaje latek osiwiśleń głowie, łatwiej przychodzi nałożyć tą głową, byle ich z biedy wyrwać. Ja sam, kochany mój Norejko, ósmy krzyżyk kończę, i choć dzięki Bogu, jeszcze na chleb zarobić i jeść chleb zdrowymi zębami mogę, ależ jednak Matuzalowych lat nie przeżyję, a tu u jedynaka mego, Maciusia, sztuka w sztukę trzech synków. Szlachecka kondycyjka nasza, w której jak w gniazdeczku makołagwy, siedzi cała gromadka, nie wyżywi ich nawet. Cóż z niemi potem będzie?... *oramus i boronamus!*... Oh! kiedy której niedzieli pojedę tam do nich, a biedny Maciś i jego żona zaczną z płaczem mizeryę swoją przedemną rozwodzić, a wnuczkowie mili, nie znając tego, jak zaczną dziadulka hołubić, a leżeć na kolana, na piersi i po łysinie gładzić i po twarzy busiać i wąs mój stary drobnemi swemi rączkami czochrać, słowem jak ptaszeczki do mnie się tulić... to aż serce pęka, mój dobrodzieju, to łzy ciurkiem się leją... ot i teraz wstrzymać ich nie mogę. Więc postanowiłem... więc postanowiłem — mówił dalej ocierając z łez oczy — i ja poprobować szczęścia.... A nuż! a nuż!!! Umrzeć mój dobrodzieju — no, to raz człowiekowi umrzeć — i pożyło się już, ale dziatki moje, ale wnuczki moje, jużby nigdy biedy nie znali — a przykazałbym im pod błogosławieństwem, aby na tej górze kościół wymurowali, i elemożyny biednym sypali, i pocziwemi zawsze byli.

— Panie Druktein — rzekł wysłuchawszy Norejko — prawda, dobrze byłoby twoim dzieciom, gdybyś ten skarb dostał, ale gdyby twój Maciś wiedział że to życiem masz przypieczęto-

wać, toby się na to pewnie nie zgodził, a gdyby się zgodził, nie wart byłby tego skarbu. Lecz nie o tym Dawidzie, gra idzie. — Powiedz zmiłuj się kiedy możesz, zkad to wam do głowy przyszło, że wy sami tylko, a nie kto inny, możecie skarby tutejsze zamancytować?

Druktejn dumiał, kiwał głową, nakoniec rozmyśliwszy się rzekł:

— Tać i powiem, bo gotoweś znowu pomyśleć, że stary Druktejn łgarz. — Otoż przed laty, dawno a bardzo dawno, jako i wiesz zapewne mój kochany Norejko, bo i na kazaniach często o tém wspominają księża, że Żmudzini żyli w bałwochwaltwie, to jest nie wierzyli w Boga w Trójcy Świętej jedyne...

— Ok Jeezus! a to szelmy! — przerwał Mateuszas.

— Milcz! — zawołał nań Norejko — wiem o tém panie Druktejn — cóż dalej?

— To wiesz także i o tém, że gdzie teraz Prussy, to w tym kraju panowali Krzyżaki, którzy naszych przodków na wiarę świętą nawracali....

— Oto pocziwe ludzie! daj im Boże zdrowie! — wykrzyknął znowu Mateusz.

— Oh! ale te apostoły — mówił dalej Druktejn — pod pretekstem nawracania, wytępiali biednych Żmudzinów, łupili, rabowali, palili....

— Ok Jeezus! oto szelmy!...

— A milczże gawronie! — ozwał się znowu zniecierpliwiony Norejko.

— Żmudzini więc kryli się w głębokie i niedostępne puszcze swoje, któremi natenczas cała Żmudź była zarosła ze swojemi bogami i skarbami, przed nieustanną napaścią tych okrutnych ludzi; a gdy i tam ich wytropili Krzyżaki, to bronili się mężnie i do upadłego, tak, że i Krzyżaki często na drogę do powrotu trafić nie mogli. Otoż jednem z takich miejsc do obrony była i ta góra, może tu umyślnie wśród błot i trzęsawisk

usypana, a szerokiemi natenczas lasami otoczona, na której Zmudzini długo swoje odbywali nabożeństwa, a Krzyżaki dobrać się do niej nie mogli, lubo wiedzieli, że za każdą ich napaścią, w puszcę tę i na tę górę chroniła się z całym swym mieniem mnoga okoliczna ludność, że tu było ostatnie już gniazdo bałwochwaltwa i miejsce przebywania ich Krywejty, czyli najwyższego biskupa... nie... — to grzech tak mówić... najwyższego *Mołny* tej ich tam wiary, i nakoniec wiedzieli, że bałwany ich, czyli bożki, których tu pod tym dębem tuzinami stało, były jakoby ze złota i srebra lane.

Nie odważyli się jednak oni brnąć w tę puszcę, pełną zasadzek, zasieków i samolówek, w jakich nieraz już przepadali, gdy nieostróżnie gonili Zmudzinów; więc postanowili zapalić ją ze wszystkich stron, i potem idąc obławą za pożarem, spędzić w kupę pod tę górę, jakby stado bydła, ukrywających się w puszczy bałwochwalców, ochrzcić ich w tej rzece razem tysiące, zabrać ich złote bałwany, lub jeżeliby się nie poddawali i nie ochrzcieli, wszystkich w pień wyciąć.

— A niek ich djabli wezmą! — nie dotrzymał Mateuszas i odezwał się.

— Otoczyli więc las ten ogniem i żelazem Krzyżaki, a gdy płomień jakby piekielny objął go w około i świdrował coraz głębiej w gęstwiny, przerażona ludność wszelka napelniająca puszcę, ustępowała przed pożarem, garnąc się pod opiekę bogów swoich i gromadząc się pod ten dąb. Nakoniec płomienie doszły aż do brzegów lasu i do tych trzęsawisk, lecz zgryźć ich nie mogły, bo gasły w wilgoci, a cała łąka ta i góra i brzegi rzeczki jak nabite były ludem jęczącym i płaczącym w rozpacz, codzień większej i gorszej, gdy po dniach kilku głód wszystkim dokuczać począł. Jedną już tylko drogą osaczonym Zmudzinom zostawała do wyzwolenia się z tej rozpalonej huty; tą drogą

była rzeczka, płynąca i wtenczas przez ten cały las wzdłuż, jako i dziś płynie, ale przez pola i łąki gdzie był las. Postanowiono zatem brnąć po niej i wybrnąć na czyste pole, unosząc z sobą co unieść się mogło, a resztę wszystko cisnąć w płomienie, aby się Krzyżakom nie dostało. Więc podług tego stanęli na przodzie najmężniejsi i najsilniejsi młodzieńce, i ludzie do krwawych bojów z Krzyżakami nawykli; wiedzieli bowiem, że ci na wyjściu z lasu przejmą ich niezawodnie; dalej długim a wązkim, do szerokości rzeczki stosownym tłumem uszykowała się cała tłuszcza; nakoniec wezwano starego Krywejty, aby zszedł z góry z bałwanami swemi i stanął w środku, zaprzysięgając bronić go i bogów swoich do ostatniego. Ale stary kapłan, zowiący się *Kryszpin* (1), nie zgodził się na ich żądania, ani na żadne ich prośby. — Moje dzieci! powiedział on im....

— A zkad waćpan wiesz jak on się nazywał i co on im powiedział? — przerwał Norejko.

— Zkad wlem? — mnie to mówił mój ojciec, jemu rozpowiedział jego ojciec, tamtemu ojcowi znowu ojciec... a więc tak jakbyś tą rzeczka szedł na przeciw wody, tobyś doszedł aż do krynicy, z której ona wypływa, a ztamtąd znowu gdybyś puścił po niej kawałek drewna, toby dopłynęło aż tu; tak gdybyś odkopywał i stanowił wrzęd trupie głowy moich ojców, dziadów i pradziadów, doszedłbyś aż do téj, która te słowa Kryszpina słyszała, a nazad idąc doszedłbyś do mojej, wkrótce trupiiej, która odda synowi co wzięła od rodzica.

— Aj panie Druktejn, nie gadaj, zmiłuj się nie gadaj o trupich głowach, bo strak! dalibógże strak! — mówił Mateusz.

(1) Kryszpin, Druktejn, są nazwiska podaniowe.

— A jakżeś ty tu odważył się iść, kiedyś taki tchórz? rzekł Norejko.

— Ot, bo ja myślał o pieniądzach nie o trupich głowach, a i tak jak coś zaszuciło i zaszamotało, to tylko co nie zdek.

— Więc Krywejte — mówił dalej Druktejn nie uważając na Mateusza — powiedział do błagającego go ludu: — Moje dzieci! tam za lasem ani ja, ani te bogi, nie będą wam potrzebne; czeka tam na was inny Bóg, inna wiara i inny kapłan — albo śmierć! Mnie tu umrzeć przy moich bogach! bo kiedy giną pany, to i sługi ich wiernie ginąć muszą. Wy idźcie! i ty Austello (1), córko moja, idź z niemi! idź!... Bóg chrześcijański, który starowiecznych bogów naszych żmudzkich, i w tym ostatnim ich przytułku dosięga; wiem, że ogarnie pod swoje panowanie cały ten kraj.... — Ale Austella płacząc i pełzając przy nogach ojca, zaprzysięgła że go nie odstąpi. — A ja nie odstąpię jej! — krzyknął młodzieniec stojący natenczas obok niej — nie odstąpię i zginę razem z nią i z tobą ojczyste!!! — Był to narzeczony Austelli, młody Druktejn czyli Druktejn, jeden z naszych przodków.

Długo jeszcze cały lud, wzruszony bardziej tym widokiem, błagał Krywejtę; ale uparty starzec nie ruszył się ani krokiem, a sam błagał córkę i zięcia aby szli z ludem.

Gdy nakoniec jedne i drugie zaklęcia i prośby nic nie wskórały; gdy kapłan bogów swoich ani dotknąć nie pozwolił, lud nagłony potrzebą jak najszybszego wybawienia się, z wielkim płaczem i narzekaniem zbił się w długi pas i webrnął w rzeczkę, obzieraając się z żalem na górę, na której zaśniał wnet płomień, jak lud mniemał, na ofiarę bogom przez Krywejtę zapalony.

(1) Austella, imie bogini opiekującej się pszczołami, pszczelnictwem. — *Narbutt.*

Rzeczka ta jak wiecie, wązka jest i nie głęboką; do brzegów jęj to dochodziła puszcza, to trzęsawiska i błota; gdzie błota, tam brnąć było łatwiej, bo z boków nie dopiekało, ale gdzie nawisłe drzewa łączyły się prawie wierzchołkami, i paląc się jakby dach ognisty nad wodą formowały, tam wśród dymu, sypiących się iskier i gorących popiołów, jak przez czeluście piekielne przechodzić biedni musieli... i nakoniec bo wszystkiemu jest koniec, choć nie wszyscy bo wiele a najbardziej kobiet podusiło się i popadało, całym tłumem na czyste pole wyszli.

Tu ujrzeli to co im Krywejte ich przepowiedział— *Nowego Boga—nową wiarę—i nowych kapłanów—albo śmierć!*... bo ścisłem kołem konno i zbrojno, od stóp do głowy w żelazie, stali Krzyżaki, zamykając wszelkie wyjścia z lasu; a przed niemi z krzyżem świętym, w bogate ornaty i kapy przybrani, stali kapłani, do ochrzczenia tęg bałwochwalczég z płomieni wychodzącég tłuszczy przygotowani.

Na ten widok stropili się Żmudzini—osłabieni takim przejściem przez las, które i najsilniejszych, a wprzód głodem już zamorzonych do reszty zwątlilo; nie zdołali oni przebić się przez taki otaczający ich płot żelazny. A w tęg podstąpili do osłupiałych kapłani, i z niemi razem mnoga liczba nawróconych już dawnięj braci. Kapłani modlitwami wzywali pomocy Boskiej i łaski Ducha Świętego, a nowi chrześcijanie kruszyli ich serca i przykładem własnym zachęcali do uznania prawdziwego Boga. Krótko a po prostu mówiąc, tak się chwala Bogu stało, że wodą poświęconą tejsze samej rzeczki pochrzcili wszystkich.

Lecz Krzyżaki pamiętali dobrze o złotych bałwanach, i nie znalazłszy ich jak się spodziewali między ludem, dowiedzieli się że razem z Krywejtą zostały na górze; nie tak więc nabożni, jak cheiwi, tąż samą drogą, którą przebyli Żmudzini,

nie zważając na żadne szwanki i niebezpieczeństwa, przez las przedzierać się zaczęli. Lecz gdy osmaleni wysunęli się na te błota, z zadziwieniem nikogo i nic na górze nie postrzegli. — Pędem oni wbiegli na nią, rozumiejąc że Kryszpin z bogami gdzieś się w niej jak kret zarył i schował; ale napróżno ryli, pruli i kopali ziemię, żadnego tam nigdzie nie było śladu nory czy lochu; znaleźli tylko popiół i niedopalone głównie.

Co się więc stało ze złotymi bogami, z Krywejtą, z jego młodą córą Austellą, i z jej oblubieńcem Druktejnsem? nikt powiedzieć ani zgadnąć nie mógł. Jedni mówili że oni, rozpaliwszy stos wielki, który na odejściu Żmudziń widzieli, rzucili się wszystko troje wogień, a bożki same tam powyskakiwały; drudzy prawdziwiej, czy zgadli, czy im się objawiło, że jak Krywe Krywejte zaczął swe bałwochwalskie czynić zaklęcia, a bluźnić chrześcijaństwu, tak w tej samej chwili, gdy za lasem lud cały upadł na kolana pod chrzest święty, góra się rozstała i pochłonęła w siebie i bogi i kapłana i ostatnich na Żmudzi bałwochwalców.

— Po jakimś czasie Mospanie na tej górze zaczęły pokazywać się strachy — mówił dalej Druktejn — a wielu i nieraz widywało w nocy, kobietę w bieli, to stojącą pod tym dębem, to chodzącą po tej górze z załamanymi rękami; Innym pokazywał się rycerz żmudzki, raz stojący także jak na warcie, drugi raz maszerujący sobie po górze, a czasami i oboje razem...

— Oj, oj, panie Druktejn, coś mnie zmora prekodzi po skórze, i zęby nie statkują! — odezwał się Mateusz.

— No i ja o tem słyszałem — rzekł Norejko.

— A ja o niczem nie słyszał — mówił znowu

Mateuszas.— Czy ja tu by poszedł? A niek Pan Bók broni! Mnie mówili tylko, że w téj górze jest skarb zakopany, więc ja wzięwszy rydel i wór, poszedł, a i tak kiba Najświętsza Panna Szyłelska uratuje mnie od febry z przełknięcia. — Pójdę tam zaraz piekotę i kryżem leżąc pięć mszy wysłukam.

Wszystkim na myśl przychodziło, że to pokazuje się Austella, córka Krywejty Kryszpina i jej narzeczony Druktejn, i że kiedy oni pokazują się i bładzą po téj górze do której zapadli, to nie darmo; więc że tam gdzieś na dnie być muszą i bałwany złote, zakłète jak zwyczajnie skarb.

Zamilkł opowiadacz i przez krótką chwilę milczeli wszyscy, lecz nakoniec odezwał się Norejko.

— We wszystkiem, tém panie Druktejn, co dotąd opowiadałeś, niema jeszcze racyi, dla czego same tylko Druktejny mają prawo do tego skarbu? a choć tam spalił się czy zapadł jakiś Druktejn, to nie Waćpana przodek, bo był jak sam mówisz narzeczonym tylko a nie mężem téj poganki Austelli, i niemiał potomstwa. — A i on jakież miał prawo do tych bałwanów złotych? one całej Żmudzi byli bogami, więc do całej Żmudzi i należą, a koniec końcem kiedy one tu są, kto ich wykopie to i zabierze; a że my na naszój ziemi nikomu kopać nie dozwolim. więc sami poprobujemy tego dziwu da Bóg w dobry czas, i potem sprawim egzekwije za duszę panny Austelli i jej narzeczonego.

— I nic nie dokażecie — rzekł Druktejn — bo kiedy już koniecznie trzeba powiedzieć aż do końca, to i powiem.

— Mój dawny a dawny antecessor, kto wie, może i ten który się natenczas z całym ludem ochrzcił, miał zdarzenie. Nie wiem już jakim sposobem i dla czego on tu nad tą rzeczką jedną całą noc przepędził. Nie uważał on, bo może i kalendarza nie umiał czytać, że to była właśnie noc Święto-Jańska...

— Ot pewnie bucze trząsał, bo wieczorem i nocyma najwięcej pstrągów lezie w bucz, a może jeszcze koło wody kodząc dla ciepłości... — tu Mateusz as pstryknął w garło — to i zdarzenie pokażało się.

— Pleciesz: żaden Druktejn nie był takim pijakiem jak ty. — Otóż gdy już zupełnie zciemniało, zjawiała się i stanęła przed nim biała dziewczyna. Wiedział on o tych strachach, zląkł się więc bardzo, przeżegnał się, i z pierwszego impetu krzyknął: *Tegul bus pagarbintas* Jezus Chrystus! — *Ant amžiu amžinuju Amen* (1) odpowiedziała ona, ale takim miłym głosem, tak pięknie i słodko na niego patrzała, że staruszek przyszedł łatwo do siebie, i spokojnie a bez bojaźni słuchał dalej jej mowy. Wiec opowiedziała ona mu wszystko, com ja teraz wam opowiedział, dodając, że jest *Austellą* córką Krywe-Krywejty Kriszpina; że Bóg odpuścił im bałwochwalstwo ich, ale że droga do nieba, na której oni już stoją, zawałona im bałwanami złotymi i srebrnymi, zakłętymi w tej górze przez jej ojca; kto więc te bałwany dobędzie z pod zaklęcia, uprzątnie im drogę do raju.

Mój pra pra i może z dziesięć razy pradziadunia, wnet się na to rezolwował i rzekł: — kiedy tak to prowadź mnie waćpanna zaraz na górę i pokaż gdzie kopać; a choćby mi własnymi garściami ziemię wyrzucać przyszło, dobędę tych zaklętych bałwanów i gościniec niebieski wam otworzę. A taka w tym momencie wzięła go do tej pracy ochota, że powstał rzeźwo i chwycił za rękę Austellę, mówiąc: no to idźmy!... Ale stropił się okropnie, bo na pusto garść swoją ścisnął, rękę Austelli nie było... krzyknął więc przerażony: *Kożna dwase Pona Dewa garbina* ... (2) a ona znowu głosem

(1) Na wieki wieków.

(2) Wszelki duch Pana Boga chwali.

wdzięcznym jak loretański dzwoneczek odpowiedziała: *Ir asz garbina!*... (1) i nie lękaj się rzekła — dziękuję ci za tę ochotę do wyzwolenia dusz naszych...

— Kto wie czy dusz, czy złota? — przerwał Norejko.

— Niechaj sobie! — Prowadzić cię nie mogę — mówiła ona, bo musisz być sam jeden tylko; ale wiedz pierwaj jakie zaklęcie rzucił ojciec mój, gdyśmy razem z bogami naszymi we wnętrznosciach téj góry przepadali. — Drukteinls natenczas dla miłości mojej dobrowolnie na śmierć się odważył; więc ja nikomu innemu jak tylko któremukolwiek Drukteinisowi z następców krewnych mego oblubieńca, mogę objawić gdzie i jak będzie on mógł dostać się do tych złotych bogów naszych (2). Ale i ten musi dobrowolnie, jak jego przodek, na śmierć się odważyć, bo umrze natychmiast kto ich dostanie, tak je zaklął ostatni Krywejte... Oh! nie wiedział on natenczas, że tym sposobem sobie i nam może na zawsze drogę do zbawienia zapiera; bo czyż się najdzie drugi Druktein, któryby swém życiem nas odkupił, choćby największe skarby miał wziąć za to, gdy tych używać nie będzie; a jednakże ofiarą tą zbawiłby on i nas i siebie, a potomstwo swe wzbogacił i uszczęśliwił na zawsze!... Ty sam czyż się na to odważysz? Czas jest po temu; jedna tylko noc w roku jak dzisiaj — Sto-Jańska na to przeznaczona — mów: chcesz że wiedzieć tajemnicę i ją spełnić?... Mój pradziadek stał i milczał... Stary Kryszpinisko, myślał on sobie, podrwił głową, i tém fatalném zaklęciem poplątał diabelnie tę sprawę; żałuje gdzieś teraz i płacze siedząc w norze i patrząc na swoje

(1) I ja chwałę.

(2) Podanie miejscowe.

bałwany; ale po czasie! po czasie!!! Cóż tu zrobić? Dobrzeby było i antecessora mego wyratować i potomków wzbogacić.... no, przy tém i siebie zbawić, jak panna Austella upewnia... Myślał, rozmyślał... ale że to był już starzec jak ja, biedny jak ja, miał dziatki i wnuczki jak ja — więc nakoniec przeżegnał się i rzekł: *Su saule ne pateksma* (1). Dziękuj się wola Boża! mów wacpanna; słucham i spełnię wszystko co do joty; daję na to wacpannie słowo szlacheckie, a dałbym i rękę w rękę ale cóż kiedy wacpanna rąk nie masz.

— Ot to stary zuk! — zawołał Mateuszas. —

Natenczas objawiła ona mu wiele trzeba mierzyć od dębu.

— Dwadzieścia cztery pędzie — przerwał Norejko — bo tak długą była żerdź Waćpana.

— A cóż potem? a wiesz wiele takich żerdzi położyć? a wiesz jak głęboko kopać? a wiesz co mówić dokopując już do bałwanów? Bez tego wszystkiego nic nie dokażesz, choćbyś całą górę rozrył na ćwierci. Austella zaś wszystko mu to objawiła i znikła.

— No, więc Waćpana pradiadulek zaraz zapewne wziął się do kopaczki.

— Tego ja nie wiem — mówił Druktejn — to tylko pewna, że skarbu nie dostał czy rozmyśliwszy się stehórzył i lękając się śmierci, zapomniał na swoje słowo szlacheckie, które prawdę mówiąc nie tak to i ważnem było, bo rękę w rękę z Austellą nie uderzył; czy z jakiej innej przyczyny, dość że do końca żywota swego ubogim będąc szlacheiurą, przed skonaniem tę tajemnicę swemu synowi opowiedział, i z głowy na głowę nam wszystkim potomkom zadał *pensę*, która jak to już mówiłem, każdej Sto-Jańskiej nocy spać nam nie daje i do téj góry nas pędzi.

(1) Ze słońcem trwać nie będziemy.

— Kiedyż nie on, czemuż drugi który po nim, wiedząc wszystkie kondycye tej klątwy, nie dostał się do tych skarbów? — zapytał Norejko.

— I tego nie wiem co im przeszkadzało; czy także bojaźń śmierci, czy co innego, jak na przykład mnie teraz niespodziewana wasza kompanija. — Ojciec mój wszelakoż kopał raz, i już dobierał się do jakichciś oharków, ale staremu sił a zatém i cierpliwości nie stało, a że miał nieboszczyczek, Panie mu odpuść, wszeteczny nałóg przeklinania się, więc i tu gdy mu ciężko przyszło, zawołał z przyciskiem: „A niechże sto diabłów!“ ... ale jak tylko mu to z gęby wyleciało kiedy nie zaczęła ziemia osypywać się, zapadać ze wszystkich boków jamy wykopanej, a wyniesiona przez niego na wierzch pudrować go z góry, to staruszek ledwo trafił na drabinkę, którą za sobą do jamy spuszczał, a dół zasypał się równiutenko, jakby go nie było.

— Z tego wszystkiego, panie Drukcieju — rzekł Norejko — miarkując moim prostym rozumem, wypada, że nie nie będzie, i kiedy dotychczas wam nie udało się, to i nigdy nie uda się. A jeszcze czy spowiadałeś się Waćpan z tego? albo czy choć poradziłeś się jakiego księdza? bo co innego wykopać skarb, wiedząc z powieści ludzkiej gdzie on jest, a co innego dobywać go z pod klątwy i z ła-ski jakiejś poganki, ni to zbawionej ni potępionej.

— A jakże mój dobrodzieju, a jakże taką praktykę zaczynać bez Boga! Oto pięknie! Opowiedziałem wszystko jednemu bardzo pobożnemu i mą-dremu kapłanowi Jezuitie na spowiedzi, a on mi na to: — Dobądź bogów fałszywych a wystaw świą-tynię Bogu prawdziwemu; uczyn na to votum na-tychmiast, to Bóg klątwę pogańską może zniwe-czyć raczy, i dozwoli także żyć, i samemu je-

szcze używać bałwochwalczego złota na chwałę jego. Wraz więc za siebie i za działki i za wnuczki moje, uczynilem i zaprzysiągłem takowe votum przed ołtarzem, a zatem i śmielej odważyłem się dzisiaj iść tutaj.

— A jednakowoż, panie Druktejn — mówił dalej kiwając głową Norejko — życzę Waćpanu tej *pensy* jak powiadasz, którą wasz przodek wam w successyi zostawił, nie zostawować swojemu Maciusiowi i swoim wnuczkom, bo to na wierzbie gruszki, a tymczasem świat szeroki; nie jeden z was mógłby na nim poczeiwą pracą dorobić się fortunki, a może i dobrej fortuny, bo nie święci garnki lepią, a natomiast wy wszyscy tańcujecie około tej złotej góry, i z biedy wyleźć nie możecie; nie przykowywaj więc do niej i dzieci twoich, a oni wolniej rękami i nogami machając poświecie, prędzej coś dobrego złapią, niż pilnując jak smoki zakłętego skarbu.

Druktejn, wysłuchawszy tej perory, pokiwał także głową, i na te proste ale roztropne słowa zwątpienie jakieś ogarnęło go.

Już i przeddniowa światłość zwiastowała blizki poranek.

— Czas wracać do domu — rzekł Norejko — a szkoda że złotych bałwanów z sobą nie przyniosę; przydałyby się nam bardzo teraz. Pan na konferencyi wyszeptał się co do talara, a tu żenić się trzeba; wpadła mu do serca wasza panienska, panie Druktejn, panna Dorota, i nie za długo będzie ona naszą panią.

— Daj Boże szczęśliwie — odpowiedział Druktejn — ale poczekajcie, nie tak to gładko ten dyamencik od nas dostaniecie; jest ktoś i jeden i drugi....

— A wiemy, wiemy — przerwał Norejko. — Pan Mejra golec! i pan Pułkownik grzyb! pięknieby panienska wybrała, gdyby za którego z nich poszła. Za Mejra bez chleba; — bo jest ich czterech na fortunę, a za Pułkownika bez męża. Daj Waćpan pokój z takiem swatowstwem. Ot, z moim panem przyjedzie na imieniny pani Uwojniowój, wiesz kto? pierwszy głowacz na Zmudzi, pan Rupejko; on będzie swatem naszym; już od trzech dni siedzi on u nas w Berżylówce i ciągną mali-niak za zdrowie panny Doroty; powiedz to jój Waćpan pod sekretem, niechaj panienska na ten dzień będzie *Parsypusześ kajp Resejniee Magdi*. (1)

— Dobrze, czekamy — czekamy — rzekł Druk-tejn — a teraz bywajcie zdrowi... I odchodząc dodał jeszcze: — Podobno to i prawda, mój kochany Norejko, coś mi o tym skarbie perswadował; bodaj że posłucham ciebie i Maciusiowi memu nie nie powiem.

— I dobrze Waćpan zrobisz; a teraz bądź zdrów.

— No i mnie treba już maszerować do domu — rzekł Mateusz — ale wstyd z próżnym workiem; będzie Szucillo oczy wypiekać: A gdzie twój skarb? gdyby ja koć jednego bałwanka prywlekl!

— Cóżbyś ty robił, gdybyś dostał tak wiele złota? — zapytał go Norejko, razem z nim schodząc z góry.

— Ok Jeezus! co jaby robił? a czy jest na świecie taki dureń, któryby nie wiedział co robić, dostawszy wiele złota? ot jaby zaraz wykupił się u pana Kasztelana. Czy to nie żal, kokany panie Norejko, że jak przyjedzie do naszego dworu bernardyn Golkąd, to siada razem z panem do stołu, i

(1) Wystrojona jak Rosieńska Magdalena — przysłowie to pochodzi z tradycyi, jakoby niegdyś w Rosieniach mieszkała sławna jakaś piękność, i bardzo strojnie się ubierała.

ja jemu talerki odmieniać muszę, a dawniej jak my obadwa z nim małe kłopycy byli, i w jednej wiosce kodowali się, czy nie razem śpiewali:

Wakas wakas wakarety

Łaba gyrtas buwau

Atsyngulau i ławetu

Salden uźmigau etc. (1)

on potem uciekł do Traskun i do klasztoru przystał, i już jego ztamtąd nie odbierali. Pan powiedział: niek kwali Boga kiedy kee; a mnie do dworu wzięli. Prawda, że on i teraz ze mną zna się, i tabaką traktując mnie, zawsze powiada po bernardyńsku:

Kas tabaku żywaja

Tu dungu kawaja. (2)

A z bratem jego, panem Bonawenturą; sługą pana Pułkownika, w wielkiej przyjaźni żyjem; zajdę do jego i teraz po drodze na kieliszek wódki całą noc nie spawszy i po takim straku, zakorujesz człowiek bez posiłku. A panu Pułkownikowi powiem, że niekaj za tydzień wybiera się w swaty, kiedy kee panny Doroty, bo pan Milanowski z pod nosa mu ją kwyci.

Norejko rozśmiał się, i rozeszli się każdy w swoją stronę.

(1) Wczora, wczora z wieczoreczka

Dobrze pociągnąłem,

Ukladłem się do łóżeczka

I słodko zasnąłem.

(2) Kto tabakę zażywa,

Tego w niebie chowają.



IV.

Od Świętego Jana do Świętej Elżbiety dni ośm tylko, ale dość było tego czasu aby nowina przez Norejkę Druktejnowi powiedziana, że Milanowski z oświadczeniem o rękę panny Doroty i ze swatem swoim ma przybyć na imieniny jej matki, doszła po sąsiedztwie wszem w obec i każdemu z osobna komuby o tém wiedzieć należało, a szczególnie ichmość panom współkonkurentom Zegoty; samój zaś pannie i czule do niej przywiązanej matuli, wielu niespokojnych myśli i nocy bezsennych, wielu coraz gorętszych łez i modlitw nabawiła.

Wzywany przez żonę pan Choraży do konsyliów, w alkierzyku odbywanych, i do objawienia swojej determinacyi; Kat że wie — mówił — co lepszego, czy las, czy łąka? i który z nich silniejszy, to jest, który lepiej, i skuteczniej bronić nas będzie na dyferencyi? Zegota, wiadomo Samson! ale i Mejra, jak powiadają osilek i ma jeszcze trzech braci za sobą gdyby się oni sprobowali w naszych oczach... a zresztą, ja najlepszy plan miałem: na trzy latka prolongata paniczom.... Ale nie chcecie mnie słuchać, więc; *Kajp posyktosi, tajp uszmigosi*, — i odchodził. Natenczas matka załamywała ręce, a Dosia chlipała w kątku...

— Moje ty dziecko! moje najmilsze dziecko — mówiła Chorażyna ocierając łzy córce i sobie — powiedz ty przynajmniej sama, proszę cię, i na błogosławieństwo matki zaklinam!....

Błogosławieństwo matki!... Wyraz ten święty, który mi pod pióro popadł, zmienia nagle szyk myśli moich, bo mię do głębi wzruszył... Gubię na tę chwilę ciąg powieści mojej, bo płyną mi słowa daleko ważniejsze, daleko czulsze, daleko miłsze młodym czytelnikom i czytelniczkom moim, aniżeli wszelkie powieści, bawiące ich umysł szybko przemijającą przyjemnością i rozrywką.

Błogosławieństwo matki! Oh! gdy ono z serca i ust się wylewa na głowę korzającego się u nóg jej dziecka, niebiosą zda się w tej chwili otwierają, i Bóg sam błogosławi razem i matce i dziecku, a aniołowie jego święci, osłaniając jaśniejącymi skrzydłami tę miłą i wdzięczną Bogu ofiarę, za cały świat, za całą ludzkość składają mu dzięki, za to najczystsze, najdroższe, najtkliwsze i najpiękniejsze uczucie miłości rodzicielskiej wlane przezeń w duszę człowieka, na osłodzenie gorzkiej jego doli na ziemi....

Błogosławieństwo matki!... czyliś go dziewico przyjęła u stop ołtarza, gdyś wdziękiem, młodością i swobodą kwitnącą, stateczną wiarę obłubieńcowi swemu ślubowała! Czyliś je przyjął młodzieńcze, gdyś także w obliczu Boga szczęście dla swój ulubionej i los błogi zaprzysięgał.... Czy gdyś z rodzicielskiego domu na świat szeroki się puszczał, a matka cię krzyżem świętym przeżegnawszy, łzawą żrenicą za wrota przeprowadzała... Czyście około śmiertelnego jej łoża skupieni, biedne sieroty z wpółoumarłych ust jej polecające was opiece boskiej, usłyszeli modły, i na kolanach przyjmowali ostatnie, a dla was jeszcze poświęcone jej technienie... Wszędzie i zawsze, w pomyślności czy w złej doli, wspomnienie chwili tej wzruszy najczulsze nerwy twego serca, rozbudzi w niem miłość dziecięcia, którą czas może uspił, żalność, którą czas ukoił... w westchnieniach nawet i łzach, któremi się oblejesz, uczujesz obecność niewido-

meego wpływu jęj na dni twoje, i nadzieję szczęścia za jęj orędownictwem tu na ziemi, szczęścia z nią tam w niebiosach.

Oto błogosławieństwo matki! Czyliż mniej ważnem jest błogosławieństwo ojca? Nie zaiste! lecz we wrażeniach i wyobrażeniach rodziców względem dzieci, ojciec jest rozum, matka jest serce... Szczęśliwy! nad czyją głową jedno i drugie razem się łącząc, wspólnym ją miłości rodzicielskiej, a zatém i łaski Bożej obdarzyły wieńcem. — A biada dziecku, które we swych wspomnieniach tęg błogięj nie doszuka się chwili! lub czyja dusza zimną tylko po nięj przemknie myślą... i biada czytelnikowi memu, który w tych słowach moich liryczną tylko znajdzie deklamacyę.

Powróćmy teraz do matki pragnącej zbadać tajemnicę swęj córki.

— Na błogosławieństwo matki zaklinam cię — mówiła Chorążyna — powiedz ku któremu z tych dwóch inklinacya twoja cię skłania? bo o tym starym szaląpacie Pułkowniku i wspominać nie chcę. Trzeba wczesnie wiedzieć jak się tu znaleźć; może przyjdzie posłać po pana Pisarza, twego stryjaszka, do Rosień, bo nasz Jegomość, niech mu Bóg odpuści, procederami tylko swemi ma nabiłą głowę.

— Moja matko! — rzekła Dosia, czułem pocąunkami osypując jęj ręce — ty wolęj powiedz którego mi z nich przeznaczasz. Ja kiedy o tęg myślę, to w głowie mi się kręci i tak straszno się robi, że aż dreszcz mię przyjmuje; a kiedy wieczorem tęg siebie nadręcę, to mi tak okropne sny marzą się, takie żałoby i całuny mnie okrywają, że przebudziwszy się polecam tylko Panu Bogu, modlę się przez całą noc, i zasnąć nie mogę; chętnie natenczas i pana Mejry i pana Milanowskiego wyrzekłabym się.

— Bóg z tobą, moje drogie dziecko! wszakże cię nie przymuszamy; kiedy przeczuwasz że nie ma

w tém woli Pana Boga, to mów śmiało; a każe gdy przybędą na obiad dać *juszniczek*...

— Jakże tu przeniknąć i poznać oczewistą wolę Boga, moja najukochańsza mamó? Jakikolwiek on mi da los, to zawsze musi być z woli jego. Znam ja że u was nie jedna; są siostry, są bracia; znam że mnie was opuścić trzeba i czas...— Tu zachodząc się z płaczu błagała matkę, aby sama powiedziała którego zięciem mieć chce?

— Nie wiem, nie wiem — mówiła znowu Chorażyna.—Oba cię gorącym affektem kochają. Mejra może bardziej, bo młodszy; ale kiedy na ciebie patrzy, to mnie aż strach! iskry mu się z oczu sypią, a lice jego młode i gładkie, okrutném i straszném się robi.... widać że ma temperament extra-choleryczny.

Milanowski trzyma wprawdzie zawsze minę, posturę i fantazyę buńczuczną i hardą; — do trzeciego mu nie gadaj boć to żołnierz — konfederat! Ale kiedy na ciebie spójrzy, to aż miło drugiemu! Z tego prognostykuję, że u niego od gniewu do miłości prędką alternata, a taki na męża najlepszy, bo choć się czasem zachmurzy i zapęrzy, a bez czego nie obejdzie się w małżeństwie, to za jedném miłym słówkiem żony, jak воск stopnieje nakoniec i substancya jego...

— Ach! ależ ten biedny Mejra!... — zawołała mimowolnie Dosia.

— Więc ty go kochasz? — przerwała żywo i niespokojnie matka.

— Nie! — nie! — najdroższa mamó nie! głos twój, to głos Boga! — Milanowskiego wybieram! Milanowskiego — mówiła szybko, całowała z uniesieniem ręce matki, i odbiegła płacząc rzewnie.

Matka uklęknęła i modliła się.



V.

Nakoniec nadszedł dzień Świętej Elżbiety. — W dzisiejszej modzie — solenizantka odebrałaby w wigilię na piśmie własnoręczne, urzędowe, że tak powiem, *testimonia* życzliwości... Oh niestety! nie właściwy to wyraz — *grzeczności* sąsiadów. Wszystkie te malenkie dokumenciki złożonoby w piękne kryształowe na widoku stojące naczynie, mieszcząc na wierzchu godniejszych, na jawną i oczewistą chlubę domu, jak na wystawę. Dawniej, gdy powiem, że więcej było prostodusznej szczerości a mniej szlifowanej grzeczności, powiem tylko komunał stokroć powtórzony, i choć może nie mniej dla tego sprawiedliwy, wszakże już oklepany, bo nadto dowiedziony... Rozsiane wieści, — że w tym dniu imienin pani Chorążyniej Korszewskiej będą razem i oświadczenia i zaręczyny; w dodatku, jakby dla rozweselenia kompanii, wyzwania, pojedynki, pojednanki; — wprawiły w ruch całe sąsiedztwo a nawet przywabiły i odleglejszych gości, dalszą lub bliższą konnexją z domem solenizującym połączonych. A tak nieobszérny ten domek od rana licznie napelniać się zaczął, i byłby się aż do ścisku przepełnił, gdyby piękna pora roku i piękna pogoda nie dozwalała mężczyznom, po złożeniu powinszowań solenizantce, rozchodzić się po dziedzińcu, a przez otwarte okna przepływające wolne powietrze, szerokiemi wachlarzami poruszane, nie rzeźwiło kobiet zasiadających wszystkie krzesła, taborety i zedle. — Pan Chorąży, którego Bóg nie skąpą łuszą obdarzył, poccił się na ganku, coraz

nowych witając gości, a pocziwa i zacna gospodyni przyjmowała ich w pokoju, dygając uniżenie wszystkim, a za rozmaite perory jednostajną formułą:— „Bóg zapłać państwu dobrodziejom, za tę nie zasłużoną dla mnie łaskę,“ dziękowała.

Przybył i dodał lustru zebranej kompanii pan Micewicz, orderowany pan a kolligat gospodarzy, bo wdowę po jakimś Uwojniu miał za sobą. Bogactwem i pobożnością na całą Żmudź on był sławny, założywszy bowiem w dobrach swoich miasteczko Skaudwile, fundował tam kościół, postarał się o erekcyę przy nim nowej parafii; a gdy na odpusty i jarmarki do swego miasteczka przybywał, miał zawsze w karecie worek drobnej monety, którą garściami na popólstwo i ubogich rzucił (1). Razem z nim wysiadł z kolaski pan Pisarz Uwojnia brat pana Chorążego, a natenczas *osobliwość* na Żmudzi; nosił się on bowiem po niemiecku, miał na głowie pudrowaną fryzurę, przy boku zamiast pałasza szpadę z porcelanową rękojścią, i jak wieść głosiła, umiał po francuzku, mówił z żydami po niemiecku, miał wiele książek i bywał za młodu w dalekich krajach, a co najbardziej, sam jeden na całą Żmudź odbierał z Warszawy pisaną gazetę; a zatem nigdy go na próżno nie zapytano: — co tam słyhać?

Niepopularne to wszakże było *palladium* mądrości, lecz właśnie dla tego samego, że niepospolite, poważane powszechnie tak, że po intratny urząd pisarstwa ziemskiego Rosieńskiego nikt na przeciw niego na sejmiku nie sięgał. — Niemiec! Niemiec! krzyczała szlachta, ależ *Statysta!* ależ *Mundrus!* *kajp Zaleskie gundrus!* (2) dodawała kręcąc głó-

(1) Nie potrzebuje przypominać, że główniejsze tu opisywane figury są tamtoczasowe i prawdziwe.

(2) Przysłowie to poszło od jakiegoś bardzo ugłaskanego bociana, chowanego w Wielonie u pana Szambelana Zaleskiego: *Mądry jak Zaleskiego bocian.*

wami, i na tém się kończyła opozycja. Pan Choraży chlubił się bratem i nie płacił mu nigdy w częstych swych procesach za ekstrakta i dekreta, a pani Chorażyna we wszelkich trudniejszych okolicznościach domowych do niego się po radę uciekała, której on z prawdziwą zwykle życzliwością udzielał. Radzi więc byli oboje dwóm takim luminarzom, z których jeden złotem i gwiazdą, drugi mądrością świecił — lecz cała kompanija jakby tą jasnością olśniona spowazniała. Wnet się jednak twarze rozweseliły, bo wpadł na dziedziniec pan Felicyan Bunak, którego wszyscy uprzejmym okrzykiem powitali. Gdziekolwiek on się zjawiał, przynosił zawsze wesołość. Snuł się on po całej Żmudzi, na gęstsze dymy z kominów sterując swego żmudzkiego kuca do małej filadejki wprężonego; lecz nigdzie miejsca nie zagrzał, i krótkie tylko po niektórych klasztorach stacye swoje piwem znaczył, a jak okręt do wysp po świeżą wodę, tak na świeży kufel szumiącego i tłustego piwka tak regularnie i peryodycznie wstępując, posilony i orzeźwiony, w dalszą puszczał się wędrówkę. Poeta z powołania i z rzemiosła, łgarz z potrzeby — bo gdzież mu było tyle prawdy się nabrać, aby jedynie jęj kosztem przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni roku jeść cudze obiady? — ale nieszkodliwy nikomu, zabawny dla wszystkich. Mógłby on wprowadzić inny sobie sposób obracć do życia, wspomagając się nauką, której nie skąpo liznał w szkołach Jezuickich w Krożach; ale on sposób ten na lepszych i pewniejszych fundamentach, niżeli na mądrości i pracy często niewdzięcznej, założył, bo na nieograniczonej i niemyślniej nigdy gościnności swoich ziomków, a Żmudź gęsto nasiedlona dworami tak, że zajeżdżając od jednego do drugiego, przegłodnieć nawet ani apetytu nabrać niemógł. Wiecznie zatem młody licem i umysłem, twarzy czerstwój i rumianej, oka bystrego, wy-

szedł rzeźwo ze swój filadejki pan Felicyan. Konik jego świadomy wszystkich stajen, jak pan jego wszystkich dworów, powlókł się ku niej spokojnie... On zaś poprawił oburącz na wypiętym brzuszku pasika — bo to zwyczajny był wstęp jego, gdy z oracyą miał wystąpić, lub gdy ją pięknie wypererował — i otoczony całą gromadą gości, szedł tryumfalnie do solenizantki... a stanawszy przed nią, wziął się w boki, uklonił się wdzięcznie i tak prawił:

Słyną na Żmudzi

Pomiędzy ludzi

Szawlu bażniczia (Szawelski kościół)

Kretyngos worganoj (Kretyngowskie organy)

Kroziu warpaj (Kroźskie dzwony)

Lecz jest rzecz czwarta,

Co sławy warta,

Na całej Żmudzi,

Pomiędzy ludzi!

To ty gosposio

Z twą córką Dosią!

Więc dla mamuni

I dla córuni,

Niech dadzą nieba,

Czego potrzeba!

Męża dla dziewczęcia,

Dla mamuni zięcia!

Każdej po sto latek,

I każdej dostatek!

A kiedy ten kwiatek

Stanie w rządzie matek,

Niechajże z swych dziątek,

Ma szczęścia zadatek,

A w mężu wierność i statek!

Tego życzy sługa twój,

Ant Amziu Amzinuj! (1).

(1) *Amzinuj* — potrzebaby *amżynuju*, ale poeta dla rymu dozwolił sobie odrzucić jedną literę.

Amen! Amen! zawołali wszyscy obecni, oklaskami okrywając oracyę, na której słowa Dosia spuściła oczy i rumieńcem się oblała, a Chorażyną najserdeczniej dziękując odebrała z rąk tryumfującego poety przepisana oracyę.

— Pięknie!—rzekł pan Pisarz uśmiechając się—pięknie! A zdanie pana Pisarza wielce aprendował Bunak — Znaczno żeś się blisko Kroź urodził, i w Krożach retoryki i poezyi uczył, i że góra *Medziu-kałnas* (1), na której jak wieść niesie nasz nieśmiertelny Sarbiewski ody swe układał, za Parnas ci służy.

Bunak na tak pochlebne wyrazy ukłonił się Pisarzowi, nieco się zastanowił, poprawił pasika i rzekł znowu:

Niezdolna muza jużby ochrzypała,
Gdyby w śpiewaniu posilku nie miała,
Najprzód od Boga, jako stwórcy swego,
I tuż od mistrza Sarbiewskiego.
I dank od pana Pisarza ziemskiego!

Nowe applauzy okryły tę improwizację i pan Pisarz, znowu się uśmiechając, uściśnął za rękę jaśniejącego chlubą i poprawującego pasika poetę.

W tém na dziedzińcu nowy się gość okazał: pan Wincenty Mejra, konno, w przystojnym moderunku, z łózką za sobą.— Konkurent! konkurent!—szepty się rozniosły po kompanii i ciekawe wszystkich nań zwróciły się oczy.—Szeptów tych i wzroku obojętnie znieść nie mógł Mejra, a gdy własny na Dosię podniósł, bladeść jej nagle tém bardziej go znięszala. Z konia zsiadł rzezko, ale przed Chorażyną już drżał cały i kilka zaledwo słów nie-

(1) Podanie niesie, że Sarbiewski mieszkający w klasztorze Jezuickim w Krożach, na bliskiej górze położonej nad jezierzem, a zowiącej się *Medziu-kałnas*, składał swe ody po całej Europie znane i sławione.

związłych zamiast namyślanego wprzód powinszowania wymówiwszy, schronić się musiał w tłum, złowróżbą dlań z pierwszego wstępu litością wzruszony: a Bunak równegoż ze wszystkimi doznając wrażeń, patrząc nań i kiwając głową — biedny! rzekł: „*Radys ysz pupu newarytyus*“ (1).

Jakby się zmówili panowie konkurenci, jeden za drugim przybywał.

— Konfederat! konfederat nasz! — zawołano na dziedzińcu. I sadził na pięknym siwym koniu, który go pod Wiesznianami od śmierci czy niewoli uniósł, *Żegota Milanowski*: za nim *Poroczko* i *Norejko*. W pasowym kontuszu, z szafirowym kołnierzem i wylogami, to jest w mundurze ziemi Żmudzkiej, sutym pasem szerokim przepasany, z lekką konfederatką na głowie, i lekką od parady karabellą u boku, wznawiając piękną i tak ozdobną postaćią swą, pamięć swego męztwa, a zatem z urokiem chwały i zaufania, podniecanym pochlebniem od wszystkich powitaniem, stanął on przed gankiem. Uścisnął witającego gospodarza na ganku, a ucałowawszy w pokoju rękę solenizantki, gdy obok tuż znalazła się i druga rączka jej córki, nie ominał dobrej okazji i głośnego na nią złożył busiaka; potem jakby po smacznym kęsie muskając wasa — „Chorążyno dobrodżiko — rzekł — żołnierz, nie umiem komplementów. Daj ci Boże szczęście i zdrowie, a mnie daj Boże być twoim synem, bo już cię kocham jak matkę“! — Brawo! brawo! — okrzyknięto, Dosia uciekła, a Chorążyna nie miała siły odpowiedzieć. Lecz *Żegota* wodząc wzrokiem po kompanji, gdy spotkał twarz *Mejry*, aż się krokiem w tył cofnął, tak się przeraził wyrazem wścieklej zajadłości jaka mu z oczu zionęła i paliła się na obliczu.

(1) Znaczy: — Gdyby go i w bobie znaleźć i z bobu nie należałoby go wyganiać.

Tymczasem trzask z bicia nowych znów zwłastował gości; jakoż wjeżdżała przez wrota karoca, sześciokonnym rozmaitej maści i wzrostu, widocznie *ad hoc* zbieranym cugiem ciągnięta. — Trzeci to konkurent, pan Pułkownik *Murmuluk* przybywał.

Lubośmy już nieco podmalowali postać tego starego pruskiego żołnierza, lecz w wybitniejszych teraz wystawić go musimy rysach, w obec jego rywalów. Komu z czytelników zdarzyło się widzieć na staroświeckich, jaskrawo kolorowanych *landszaftach* postać Fryderyka Wielkiego, w wojskowym jego mundurze, ten łatwo wyobrazi sobie i ubior Pułkownika, a był nim, czyli się tylko być nim mienił *Murmuluk*? Figura wysoka i sucha, na niej granatowy dawnego kroju frak z czerwoną podszewką i czerwonym na wpół odłożonym kołnierzem; kamizel także długa i czerwona spadała mu prawie na kolana, objęte jakby szerokimi wazonami palonemi klapami wysokich bótów, w których dośćby jeszcze było miejsca na drugie równie cienkie piszczele. Na takiej sztywniej figurze głowa twardym halsztuchem podparta, bo ją starość nadto schyliłaby może, i na niej peruka, na którą szczotki, maki i łoju dziś nie żałowano, uzupełniała toaletę od parady, godną tych malowideł, któremi pamięć i największych częstokroć bohaterów między gminem się poniewiera.

Maszerował więc i pan Pułkownik ubitą już ścieżką przed Chorążynę, i zwykłym nosowym głosem z należytą powagą, rzekł jej: „Gdym pod Ristrzynem wiktoryzującemu Fryderykowi Wielkiemu winszował.“ W tym Bunak, ciekawy cudzej perory, przecisnął się przez tłum i przerwał: — Musiałeś to po niemiecku uczynić panie Pułkowniku; utnijże i tu dla pani Chorążyny dobrodziki naszój, komplement niemiecki, a potem toż samo przewertuj po polsku czy po żmudzku: tak wszystkie na-

sze oracye zakasujesz, i będziesz wiktoryzował jak Fryderyk pod Kistrynem.

— *Dowód to Łaski Pańskiej!* — rzekł zmieszany Pułkownik, a Chorążyna podziękowaniem uwolniła go od kłopotu i kontynuacyi komplementu, z którego wszyscy się rozśmiali.

Nakoniec zamknął poczet gości za konkurentami przybywający swat, pan Podczaszy Rupejko, zaproszony przez Milanowskiego, aby się koniecznie na ten dzień do Uwojniów stawił, i którego nie znalazłszy on jeszcze, gdy sam przybył, niecierpliwie wyglądał.

Suty zatem szlachecki wnet nastąpił obiad.

W izbach, w sieniach, na ganku, na dziedzińcu, wszędzie się kurzyło, jadło i piło; liczne zgromadzenia nie objął szczupły domek, ale nasycił wszystkich, a ochoczych do kielicha wybornym poił trunkiem, którego blizkie Królewiec i Ryga, za len i siemie żmudzkie, każdemu szlachcicowi hojnie przed każdym familijnym aniwersarzem dostarczały.

Gęste *wiwaty* na cześć solenizantki, gdy z kolei padły na Dosię, sypnęły się jak gradem strzeliste alluzje do obecnego stanu okoliczności; płonęły jak róże piękne lica dziewczyny, a tém bardziej zaostrzało ciekawość wszystkich, kobiet zaś szczególnie, rozwiązanie tej sceny, której pierwsze przy kieliszkach odzywały się prologi.

Jakoż po obiedzie wnet interes główny porodził na rozmaite gromadki i aktorów i widzów.

Pan Rupejko wziął na konferencyę Milanowskiego, i odprowadziwszy go od kompanji — Czy wypada, rzekł, w tak licznej frekwencyi rozpoczynać nasze oświadczenia?

— A to czemu, panie Tomaszu? — odpowiedział żywo Milanowski — Czy mam się wstydzić moich

uczciwych zamiarów? A co to ja? błazen? mam się puszczać w długie zaloty? zostać emulusem tego młokosa Mejry, i jak w infimie, iść z nim *de loco* w sercu Dosi? Czy śmieszyć ludzi, wyzywając na pojedynek tego starego niedołęgę, który jednak ot widział wodzi się pod rękę z Chorążym, jak żuraw z indykiem. Ja panie Tomaszu idę prostą, szczerą i pocziwą drogą, jak przystało na szlachcica i żołnierza. — Kocham Dosię, to prawda — och i bardzo kocham! Chcę ją mieć za żonę i nie mogę się nacieszyć, gdy ją sobie wyobrażam gosposią w mojej Berżyłowie!!! Dziecko to bogobojnej i zacnej matki. — *Jakie drzewo taka kora — jaka matka taka córka*, powiada stare przysłowie. A jeżeli weźmiemy rekuzę, cóż za wstyd? Powiem i ludziom i sobie, że widać niema w tém przeznaczenia Bożego a w łeb sobie nie wypałę!

Miarkuj panie Tomaszu, że gdybyśmy dziś żadnej nie uczyniwszy tentacyi odjechali, powiedzieliby wszyscy, żem się przeląkł Mejry i Marmuluka, a szpetnaż to byłaby dla mnie inwektywa, którą pałaszem potem odpędzać może musiałbym. Więc nie można dalej zwlekać. Co się ma stać, niech się stanie!.... Nie pożałuj zatem gęby panie Tomaszu.... Ot, ot patrzaj, jak Pułkownikowi aż się peruka skrzywiła i harcapik już nad uchem, i jak się gęsto kłania Chorążemu. Daligóg, panie bracie on nas uprzedził, i pewnie krociowemi zapisami traktuje tatulka Dosi.

Jakoż rzeczywiście Pułkownik nie tracił czasu, a bardziej kielichami, które jak przystało niemieckiemu rycerzowi do dna wychylał, niżeli rozważając okoliczności zdeterminowany i ośmielony, pociągnął za sobą w drugą stronę na dziedziniec Chorążego, i rzekł mu, kłopotąc się za każdym słowem nim się rozgadał:

— Dowód to łaski pańskiej.... że masz córkę....

— A Mości Dobrodzieju — przerwał Chorąży —

ja mam cztery córki, a zatém cztery dowody ła-
ski, ale Boskiej Mości Dobrodzieju.

— Nie to chciałem powiedzieć. — Folwarki mo-
je gdym ja pod Kistrynem....

— Brat pański pozostawiał: wiemy o tém.

— Tak tak; otóż niedawno mówiłeś mi pan,
dowód to łaski pańskiej, że potrafiłbyś je windy-
kować i zastawników z kwitkiem puścić.

— Naturalnie pozwawszy ich do *exempcyi sal-
ve calculo*. (1)

— Otoż byle Chorążaneczka Dobrodzika, godna
córka ichmościów dobrodziejów... rękę swą wie-
czystym traktatem z moją połączyła, Jegomość do-
brodziej przyjmiesz na siebie windykacyę z pod za-
stawy folwarków, a na całej mej fortunie opiszę
jój dożywocie, i darem tyle, ile sam naznaczysz.

Chorąży odetchnął z całych piersi i otarł siną
chustką pot z czoła: a właśnie wtenczas Pułkownik,
kłaniając się mu nisko na zakończenie tego tru-
dnego oświadczenia, skrzywił perukę.

— A coby na to powiedział pan Kasztelan, brat
pański? zapytał po niejakięj chwili milczenia
Chorąży.

— Panu Kasztelanowi *finfa!* — odpowiedział Puł-
kownik. Ja swoich chcę mieć suksessorów, a nie
jego synków hoholów.

Chorąży spójrzał po téj zaschłej mumji, czy-
niać jój *skrutynium* od głowy do nóg — potem pod-
niósł łeb do góry, pociągnął powietrza jakby na-
technienia i w wątpliwych pokuszeniach jakeimi go
Pułkownik nabawił, trafił na dawną myśl swoją
i chwycił się jój oburącz.

— W takim razie, Pułkowniku Dobrodzieju —
rzekł on — musisz mi udzielić *horę*.

— Dowód to łaski pańskiej... ale nie rozumiem...

(1) Do okupna pod kalkulacją.

— Jak to? chyba zapomniałeś po łacinie: *hora* to godzina.

— A teraz rozumiem — Jegomość Dobrodziej chcesz abym zaczekał godzinę. — Dowód to łaski pańskiej — zgoda — bo gdym był pod Kistrynem, a trzeba było czekać ordynansu...

— Tak, godzinę — przerwał mu Choraży — *preter propter* godzinę — lękając się aby za godzinę znowu nań nie natarł Pułkownik, gdy propozycya jego dłuższego namysłu i rady familijnej wymagała. Tak panie Pułkowniku — dodał — jest to ostateczna dylacya prawna, która jednak i dłużej trwać może, gdy w ciągu jęj inne nadarzą się sprawy...

— Ej! ej! *tausend teufel!* inne sprawy. Choraży Dobrodzieju — nie to chciałem powiedzieć — inne sprawy! Ale tu pan Milanowski i pan Mejra mogą te sprawy zaprowadzić.... a nie mają folwarków do windykacy!....

Choraży niedosłuchując już więcej, zawrócił się szybko i zbliżał się do ganku, upatrując brata pana Pisarza, do którego po radę jak najrychlej chciał trafić — a Pułkownik idący za nim zboczył ku wałęsającemu się po dziedzińcu bezustannie między gośćmi kielichowi, i po takiem wysileniu wychyliwszy go skwapliwie stanął, ochoczo do dalszych kolei. — Piliśmy pod Kistrynem...

— Pijmyż i tu — kończył pan Bitowt serdeczny gracz do wiwatów, dolewając mu pełna.

— Dowód to łaski pańskiej!

Cała kompanija to przez okna z pokojów, to rozpięchniona przed domem, uważała te obróty konkurentów, a damy z litością poglądały na zbledniałego i opartego o ścianę Mejrę, i wzrokiem to pałającym, to obląkanym ścigającego Dosię, która nieodstępowała matki, i jak drzącą przed burzą

ptaszyna, tuliła się pod jej skrzydła. — Nakoniec jakby z letargu nagle obudzony, postąpił on szybko do siedzącego w sieniach na zedlu Pisarza i szeroko rozprawiającego przed liczném auditorium o polityce europejskiej, a ująwszy go za rękę: — Panie Pisarzu Dobrodzieju rzekł: — Kilka słów na osobności — proszę.

— A gdzież ją najdziemy? — zapytał zdziwiony Pisarz.

Choćby tu blisko byle nie w tłumie — O kilka więc kroków stanęli na ganku, podczas gdy jeszcze Żegota z Rupejką, a Pułkownik z Chorążym konferencye na dziedzińcu prowadzili.

— Panie Pisarzu — rzekł Mejra z cicha ale dobitnie: — życie lub śmierć moja w twoim ręku. — Ratuń mnie!

— Co to się ma znaczyć? — rzekł zdziwiony Pisarz, a razem spójrzawszy na Mejrę, poznał że to nie żarty, że młody ten człowiek wre gwałtownie. — Co ci jest panie Wincenty — mówił włącz: — uspokój się.

— Kocham synowicę pańską — kocham Dosię!...

— Słyszałem o tém.

— Kocham ją nad życie! kocham ją jak jej nikt nie kocha! Patrz panie, oto tam targi na jej rękę! ten ofiaruje ojcu jej fortuny swoje; ten namawia swego mądrego swata. — Oh! ten drugi!!! — wskazywał na Milanowskiego — weźmie ją — weźmie... ale razem weźmie on i moje życie — albo własne położy!.. Panie pisarzu ratuj! nieszczęście nad nim! — I gwałtownie, konwulsyjnie, gniótł ręce swoje, jakby koście w nich pokruszyć chciał.

— Szaleńcze! — mówił przerażony Pisarz. — Po co ta rozpacz? Upamiętaj się... jakże ci mam pomóc? Czyliż cię Dosią kocha wzajemnie?

— W tém nadszedł śpiesznym krokiem uciekający od Pułkownika, a upatrujący właśnie Pisarza ojciec Dosi.

— Braciszku i— rzekł on żywo — mam do pomówienia— i biorąc go za rękę, chciał w inną stronę odprowadzić.

— Nie!—zawołał Mejra, głośno już i bezwzględnie na przypatrującą się temu gromadę.— Nie, zostaniesz tu panie Pisarzu.— I ujął go za rękę tak, że rozkrzyżowany Pisarz nie mógł się ruszyć z miejsca.

— Ale chodź braciszku, chodź — wołał Chorąży. — Poczekaj panie Wincenty — *periculum in mora* (1). Dałem *horę* Pułkownikowi a on oddaje i zapisuje całą swą fortunę i folwarki dla Dosi, byle za niego poszła.

— A ja daję za to życie moje! O Boże! cóż mam dać więcej? Niestety!—mówił dalej widząc krzywiącego się Chorążego.— Życie to widzę nie warte folwarków Pułkownika! Ale ostrzegam panie Chorąży, że kto mi to życie, to jest Dosię odbiera... bo to wszystko jedno!

Przerwał, tę zapamiętałą mowę nadeszły pan Rupejko z Żegotą. — Panie Chorąży Dobrodzieju— rzekł on z niejaką uroczystością i powagą — proszę pana udać się do godnej małżonki swojej, abyście razem oboje wysłuchać raczyli poselstwa mojego. Pan Pisarz Dobrodziej także nie odmówisz nam prezencji swojej, jako *primatus* w tej zacnej familji. — To mówiąc wskazywał drogę, i uprzejmie wprowadził ale ciągnął za sobą Pisarza i Chorążego, a Żegota z tyłu także uprzejmie, ale popychał obu, z ganku do sieni, z sieni do pokoju, a że i tłum ogarniający ich wszystkich i ciekawy cisnął się także za nimi, Mejra więc, nie mogący się uwolnić i wypłatać; razem tamże wparty został.

Chorążyna między matronami siedziała w drugim pokoju, niespokojna a usiłująca ukryć swą

(1) Niebezpieczeństwo we zwłóce.

niespokojność przed gośćmi. Dosia przy niej, równie jak matka trwogą przejęta. O cóżby dały obie-dwie za kilka chwil samotnej rozmowy i wspólnej w takim trudnym stanie modlitwy!

— Panie Podczaszy — rzekł Pisarz, gdy się wtłoczyli do pierwszego pokoju — niema tu widzę mojej bratowej ani synowicy, pozwól niech pójde i przygotuje ich nieco do wysłuchania tego, co masz im powiedzieć, bo tak *insperat*... i w tak licznej kompanji... Gdybyście się mnie wprzód poradzili...

— Nie moja w tém вина, panie Pisarzu, ale samegoż pana Milanowskiego. A teraz, gdy już cała kompanja słyszy i widzi wszystko, nie czas odmieniać plany. Raczeń pan Dobrodziej pójść i wyjednać nam audyencyę i matki i córki.

Tymczasem Mejra przecisnął się przez tłum do Żegoty i chwyciwszy go za rękę a cisnąc gwałtownie:— Słuchaj— rzekł chcesz wziąć Dosię; wiedz, że za nią dasz życie swoje, albo moje weźmiesz; chcesz kobierca, ale ja tobie całun rozścielę!

Zadrzał Żegota, ale miarkując się wszelako:— Młody jesteś panie Mejra — rzekł—więc nie umiesz ani sobie poradzić, ani się pohamować. Ale — dodał z szyderczym uśmiechem — nie ciśnij mnie tak mocno ręki, bo gdy twoją wzajemnie ścisnę, to zgniotę palce na miazgę, i nie będziesz miał czem trzymać szabli, bez której między nami jak uważam nie obejdzie się.

— Ty się naigrawasz banito! Na ciebie miecz kata nie szabla szlachecka! — wrzasnął tracący przytomność i zajądły Mejra.

Milanowski wydarł swą rękę i porwał za pałasz...

Kobiety przerażone z krzykiem rzuciły się do drugiego pokoju, i tam jeszcze krzyczały. Mężczyźni osłupieli zrazu, lecz pan Micewicz, a za nim jednym głosem wszyscy zawołali:— Mości pano-

wie, nie dozwolim krwi, w tym domu i w tym dniu! — Zastanowił się Żegota: Tak! — rzekł — Tak! — zasuważąc nazad w pól dobyty pałasz. — Krew na potém!... Krew na potém!... a teraz... a teraz wyrzucić trzeba za okno psa wściekłego, aby uczciwych ludzi nie kąsał. — I rzucił się na Mejrę... Ten go z rozpaczą rzeczywiście wściekłą przyjął.

Nie było czasu niedopuszczyć ich do siebie, lub rozdzielić i rozbroić. W mgnieniu oka jakby się zrosili z sobą — rozpoczęła się walka... lwa z tygrysem. Widzowie, ubezpieczeni teraz że się bez krwi obejdzie, nie tylko nie tłumili ich zajadłości, ale to śmiechem, to pustym słowem podniecali ich jeszcze.

Chorąży, przypomniawszy swoje dyfferencye: — To to, to! — zawołał klaskając w dłonie — obaczmyż teraz kto silniejszy?

— Trzymaj się Mejra! trzymaj się! — krzyczano.

Oho nie łatwo konfederatowi. — zawołał Bunak — *Na wyłka biegał, teksy miszku* (1). — Jakoż poznał i Żegota, że mu nie łatwo będzie wykonać swą zapowiedź i wyrzucić Mejrę za okno. Niższy on znacznie urodą, chwycił wpół Żegotę, ale tak go silnie cisnął, że ten, chociaż miał ręce wolne, i po kilka razy podjął go w górę i do okna wnieść chciał, nigdy tego dokazać nie mógł, bo go ani od ziemi, ani od siebie oderwać nie zdołał.

Dużanie się to i szamotanie rozpędzało po kątach widzów; czepiając się za rozmaite sprzęty poodrywały się szable szermierzy.

— Dość tego, Mości panowie! dość! — krzyczano zewsząd, ale nikt postąpić nie śmiał, a walka się przedłużała... Zajadły Mejra targał Żegotę na wszystkie strony; ale ta sama zajadłość i trudność odparcia się tak potężnej figurze, pchającą

(1) Na wilka biegi, a trafił na niedźwiedzia.

go zawsze ku oknom, wysiliły go i zmoły... Żegota, doświadczony we wszelkich i na ostre i na suche razy zapasach, poczuł i poznał tę chwilę osłabienia przeciwnika... więc zebrawszy wszystkie swe oszczędzone dotąd siły, rozerwał żelazną około siebie ze spiętych rąk Mejry obręcz, porwał go nagle... i ze wściekłością tygrysią wpijającego się weń Mejrę, nieprzepartą potęgą i impetem lwa cisnął w okno... — *Precz z tego domu i serca Dosi!* — krzyknął razem.

Wysadzone z ram okno prysnęło w drobiazgi i szkłem potłuczoném zasypało wypadającego przezeń Mejrę.

Huczne brawo, obojętnę na tę zniewagę zwyciężonego a ukontentowanej z widowiska publiczności, osypało tryumfującego Żegotę. Mejra, ogłuszony tak okrutnym upadkiem, przez chwilę leżał na ziemi jak bez życia; lecz wkrótce zerwał się na nogi, przebiegł jak szalony dziedzinec, a nim się postrzeżono, już był na koniu i pędem najwyższym poleciał do domu, o pół-mili tylko ztąd odległego.

Milanowski wnet z kolei, począwszy od gospodyni, przepraszał, wszystkie damy za przestrach, jaki im sprawił. Absolwowano go tém łatwiej, że pierwsza i dotkliwa obelga od Mejry poszła. Gdy się więc rozruch uspokoił, i gęstym kielichem obchodzono tryumf, pan Chorąży oglądając się na wszystkie strony niespokojnie: — Gdzież pan Pułkownik? — zapytał.

— A prawda, prawda! — zawołano — gdzież Pułkownik?

— Panie Felicyanie — rzekł Chorąży do Bunaka — delegujemy cię abyś go wyszukał.

— A nie trzeba daleko szukać — odpowiedział poeta wyrzawszy przez okno. — Ot, siedzi na wschodach pod śpichrzem z towarzyszami. — Ha, nieźle sobie widzę poradzi! Dzban w ręku pana

Bitowta, kielich w ręku pana Styrpejki, a pan Pułkownik coś rezonuje.

— Idź więc, idź panie Felicyanie, i proś wszystkich trzech do kompanji. — Poszedł więc Bunak na ponowione wezwanie gospodarza.

Pułkownik błędnym i przymroczonym wzrokiem poglądał w około. Nie wiele już on miał pamięci, gdy Mejra przez okno wyleciał; fakt ten jednak, na który chociaż poglądał z daleka, gwałtownością swą uderzył go mocno; lecz zrozumieć go nie mogąc, pomieszał to razem w swój głowie z Kistrynem i ze swoją swaźbą. Towarzysze dogodzili sobie również, i siedząc około niego z rewerencyą, zdawali się słuchać jego mowy, bo sami już prawie nie przemówić nie mogli.

Gdy do tej grupy Bunak się zbliżył, Pułkownik slaniając się i drżemiąc, bełkotał coś tak, że głośniejsze tylko wyrazy dosłyszał Bunak — „pod Kistrynem.... on jego.... za okno wyrzucił... a finfa... w dożywocie Dosi....

— Poeto — przemówił *Bitowt* przewracając jak do nalania dzban, z którego nic się nie lało... *Vacuum!... fac ut fiat... plenum... Styrpejko* wytrząszczał oczy, które wszystkim trzem się kleiły, i skleiły się nakoniec zupełnie; a Bunak rozśmiał się, zabrał kielich ze dzbanem i wrócił.

Tymczasem pan Podczaszy, nie tracąc chwil, ani głównego interesu z uwagi, wziął Chorążego pod rękę i podprowadzić go chciał do żony, gdzie i Pisarz był między damami; lecz ten się ociągał, i oglądał się bez ustanku, aż się okazał Bunak.

— A cóż Pułkownik? — skwapliwie on zapytał wchodzącego.

— Legł pod pańskim śpichrzem jak pod Kistrynem, a ja *spolia opima* (1) odnoszę.

— Jakże? nie przyjdzie?

(1) Zdobycze pośmiertne.

— A chyba go przynieść każesz Chorąży Dobrodzieju.

— *Contumax* na banicyę (1) i odsądza się *ab omni activitate* (2) w zawołać się mającym aktoracie. — Chorąży Dobrodzieju — rzekł Podczaszy trafiając zręcznie w ulubiony styl i język procesowy Chorążego.

— Alem mu dał *horę*. Pan, jako prawnik doskonały, znasz tę dyllacyę...

— A cóż gdy po upłynionej *horze* nie stanął na zawołanie? Znasz także panie Chorąży — oho! a któż lepiej zna od pana? że w takim razie niestawający traci zupełnie *na rzeczy*, i sąd do wołania innych aktoratów przystąpić musi, boby popadł oskarżeniu *de mala gesto officii* (3). Więc wołajmy inny aktorat, w którym Chorąży Dobrodzieju będziesz *superarbitrem*.

— Tak to jest — mówił rozważnie Chorąży — tak to jest. Mógłby sąd być pozwanym do trybunału, *de mala gesto officii* i zostać wskazanym *na lucra*...

Wprowadzony więc na główne i nieustanne w głowie jego płatające się processowe myśli, rozumiał się być skonwinkowany prawnym i nieodbitym dowodem, a w takich rozważach ani się postrzegł, jak się znalazł w drugim pokoju obok żony.

Żegota, widząc że Podczaszy do sprawowania poselstwa swego zabiera się, gdy pewnym pomyslnego skutku być nie mógł, wyszedł do stajni, i znajdując tam wiernych sług swoich — Siodłajcie — rzekł — konie, bo jak schwycę odkosza, co wnet nastąpić może, to długo popasywać tu nie będziemy.

(1) Skondemnowany na wygnanie.

(2) Od wszelkiej czynności.

(3) O złe sprawowanie obowiązku.

Ale Poroczko i Norejko stali z zasmuconemi twarzami oparci o jaśle i patrzyli na pańskiego siwaka.

Siwak gryzł uzdę, pienił się strzygł uszami, i zapalczywie kopytem ziemię kopał.

— Co to znaczy? — zapytał Żegota, nie postrzegając jeszcze konia, a widząc tylko smutne ich twarze.

Oba nie odpowiadając wskazali tylko na konia.

Milanowski zwrócił nań oczy natenczas.

— Boże! co to jest? — zawołał przerażony — przed bitwą pod Wiesznianami on tak samo kopał jamę....

— Oh, nie tak wielką jak teraz — rzekł Poroczko — i nie trząśł się tak cały. Oh! Jegomość Dobrodziej nasz, co z tego będzie?

Żegota poszedł do swego faworyta i gładząc go miłośnie: — kosiu mój! kosiu! — zawołał — Cóż ty mnie wróżysz? przecież na wojnę nie jedziemy. — Koń poznał pana, obrócił doń głowę, przestał kopać i zarżał radośnie....

— Patrzajże, patrzaj Jegomość, jak on zna swego pana! Boże zmiłuj się! to nie koń, to przyjaciel, to brat! Nie odchodź Jegomość, bo on padnie z żalu — mówili razem oba.

— Co się wam dzieje? — rzekł Milanowski, ukrywając własne głębokie wzruszenie. — Koń może być chorym; cóż dziwnego że mnie poznał, gdy go codzień pieszczę. Uważajcie go dobrze, może mu krew przerwać trzeba?

— Nie, nie chory on, nie chory! — ja się znam na tém — mówił Norejko. Ale.... ale... niech Pan Bóg ma nas w swojej opiece! My pistolety ponabijamy... a Jegomość!... Dobrodzieju nasz! Ojcieńku nasz!... — a tu oba z płaczem całowali mu ręce i ściskali za kolana. — Czy nie lepiejby te swaćby porzucić? Patrz pan, znowu siwak kopie!...

• Milanowski czując także łzy na oczach, a gorycz

na duszy, wydarł się sługom swoim pocziwym i wyszedł ze stajni.

Była to chwila najcięższej próby przywiązania jego i miłości ku Dosi, bo gdyby miłość ta mniej głęboką była, uległaby i ustąpiła grożącemu fatalną, ale niestety często sprawdzającą się wróżbą, przesądowi.

Na dziedzińcu uspokoił się nieco Żegota, otarł pot tą wewnętrzną walką na czoło wyparty, i czekał niecierpliwie na hasło z pokoju od Podczaszego, wpatrując się jedynie w obraz, który mu się od dawna w głowie utworzył, a tak mu miły i pojętny, że i teraz wszelkie złe wróżby zasłonił i rozchwiał: — obraz Dosi, *gosposią w Berżyłowie*.

Rupejko, zgromadziwszy razem stryja, ojca i matkę Dosi, gdyż jakeśmy to powiedzieli i drżąca Dosią jej nie odstępowała; uklonił się im wszystkim układowie i rzekł:

„Mości Chorażowstwo Dobrodzieje! Sięga po najpiękniejszy splendor domu waszego, znany wam i całemu Księstwu Żmudzkiemu, pan Żegota z Milanowa Milanowski, bo po rękę godnej córki waszej, tu obecnej Doroty. Używa on mnie, jako życzliwego wam i jemu przyjaciela, *quod licet et decet* (1) w takich koniunkturach, abym złożył u nóg waszych, szczerę żądanie jego, a u nóg waszych nadobna panno, gorący affekt jego ku tobie.— Wybrał on ten *uniwersarz imienin* waszych, Chorażyno Dobrodziko, w którym w progi wasze liczna przyjaciół zebrała się komitywa; bo *publice* imprezę swoją deklarując, tém głębszego dla was respektu chce dowieść, a razem ma nadzieję, że w téj wybornéj kompanji nie znajdzie się nikt, któryby w tak ważnym życia jego interesie, odmówił łaskawej do Waćpaństwa Dobrodziejów instancyi i protekcyi, ziomkowi szlachcicowi i bratu,

(1) Co się godzi i przystoi.

gotowemu jak zawsze *hodie et cras* (1) na usługi każdego.

„Raczcież tedy zacni rodzice, przyjąć w łaskawą konsyderacyę i animadwersję pokorną suplikę mają; raczcie przyjąć za syna, potomka a potomka nieodrodneho owych dawnych Wiedeńskiej wiktorii rycerzy... A ty Mościa panno Chorążanko Dobrodziko; liljo nadobna! perło dziewic naszych! przyjm na dożywotniego sługę swego, adorującego cię całém sercem człowieka, za którego uczciwość, cnotę i wiarę ręczymy wszyscy.“

Tu Podczaszy powiódł okiem po zgromadzeniu, i ozwał się okrzyk powszechny—Ręczymy! ręczymy!

„Otoż dowód — mówił dalej Podczaszy — na jak szczerý braterski affekt potrafił zasłużyć sobie pan Milanowski. Miłość ludzka jest ewikcyą najpewniejszą łaski Boskiej, a łaska Boska jest to grunt niewzruszony, na której jak na opoce *super petram* funduje się cała konstytucya szczęścia ludzkiego. Na nią więc gdy zafundowanym będzie i twój związek, panno Chorążanko Dobrodziko, a korroborowany waszém rodzicielskiém błogosławieństwem, w konsekwencyi fortunnych lat kolejną, staniesz u mety nieomylnych sukcesów, oparta na ramieniu męża, a otoczona życzliwemi wotami wszystkich, którzy tu teraz *clare et viva voce* (2) przypieczętowali *testimonium* cnoty jego, a których *iterum iterumque* proszę i wzywam jeszcze, aby się przyłożyli znowu do wyjednania pomyślnego ewentu téj mojej poselskiej funkcyi.“

Zręcznym takim obrótem mowy swój, Rupejko nie tylko usunął wszelką niedogodność licznego przy oświadczeniu się zebrania, którego się lękał, lecz jeszcze zeń skorzystał i wspomógł się groma-

(1) Dziś i jutro.

(2) Czystym i żywym głosem.

dą sprzymierzeńców, którzy wnet otoczyli hurmem oboję Chorążowstwo, Pisarza i Dosię, błagając o zezwolenie ich na uszczęśliwienie Żegoty. Bo też pan Podczaszy znał dobrze, że obywatelska szlachta nasza, to poczciwy i serdeczny lud, a zatem że gorąco i stosownie wezwana, rozplywając się, zwłaszcza po kielichach, w czułe życzliwości i afekta, skutecznie go wspomogę; a gdyby się to nieudało, miał jeszcze w pogotowiu projekt przeprowadzenia im po głowach *punktu honoru*; wtenczas stanęliby z uporem, biorąc odmówienie prośbom za *pospozycję*, z czém jeszcze trudniej byłoby Chorążowstwu, niżeli z pokorną teraz instancją.

Podczas téj perory, Chorążyna ruszała ciągle ustami, zdawałoby się mogło widzom, że się przygotowuje i cicho jak student lekcję, odpowiedź swą repetuje; lecz ona od pierwszego słowa Podczaszego zaczęła szeptać *Pod twoją obronę*, potem poszły *zdrowaśki* zalewane łzami i westchnieniami tłumione.

Po ślicznych jagodach Dosi płynęły także łez strumienie; tém piękniejszą i miłszą była ona, jak kwiat perłami rosy skropiony, żywszemi się kolory krasi i ńci.

Chorąży ukontentowany takim niezwykłym honorem, że wielmożni i jaśnie wielmożni jemu się kłaniali, obracał się i okręcał żwawo w huczno suplikującym go tłumie na wszystkie strony, ścisnął każdego i bez ustanku wołał: — Zgadzam się! zgadzam się i pozwalam! Pozwalam i zgadzam się! nogi weneruję i błogosławię! a do Rupejki: — Tęgi produkt, panie Podczaszy dobrodzieju, tęgi! — Pułkownik utracił na rzeczy — przepił *horę*! — i do Pisarza: — Bracie! gotuj się na replikę — i dalej znowu: — Zgadzam się i błogosławię stopy! pozwalam i weneruję!.... Matkę i córkę również tłum otaczał i prośbami molestował: poważniejsze nawet matrony, same rozrzewnione, zbliżyły się

do nich i niememi uściski prośby swe czy powin-
szowania tłumaczyć zdawały się.

Zbliżył się i Pisarz. — Cóż bratowo? — rzekł on — cóż kochana synowico? — i powtarzał kilkakrotnie to pytanie; lecz zaczęte po kilka razy takżę odpowiedzi przerywały się na ustach i matki i córki, wymówić im się nie dawały... Przekonanie rozsądne jak wprzód jeszcze w samotnych konferencyach, któreśmy wyżej przywiedli, tak i teraz dyktowało przyjęcie związku ze wszech względów pomyślnego, i nadto jeszcze tak od ludzi narajonego. Ale coś, coś głębszego od przekonania i rozsądku, co instynktem czy przecuciem duszy głęboko wzruszonej nazwiemy, zaciemniało piękne przyszłości nadzieje, i tłumiło głos w ich piersiach... Nakoniec piewsze musiało wyjść na jaw, a drugie zostać w duszy, aby się przypomnieć później, w chwili zawstydzającej częstokroć ludzkie rachuby i nadzieje...

— Więc niech tak będzie jak chcecie... jak chce Dosia!..... — dodała skwapliwie zachlipaną mową Chorążyna. Dosia rzuciła się tylko w jęj objęcia... I to już wziąć trzeba było za zgodę, bo nie wymówić nie zdołała.

— A zatem zgoda! zgoda! — okrzyknięto. — Mów replikę bracie! — wołał Chorąży — mów!

Pisarz jeszcze się obejrzał na Chorążynę; ta skinieniem głowy zdawała się powtarzać co wyrzekła: — Niech tak będzie jak chcecie. — Więc Pisarz postąpił naprzód i odchrząknął. Na to hasło tłum się rozsunął, szerokie się utworzyło koło, wepchnięto we środek Rupejkę, a stojący naprzeciw pan Pisarz, miódopłynnie i delikatnie mówił:

— „Mości Podczaszy dobrodzieju! W zaistoczeniu rzeczywistości przyrodzenia, gdy skupienie się w jedynotliwość małżeńską jest zrozumiałym celem płci białej, i gdy wybór i odbór rąk i serc

mających w ścisłym zjednoczeniu stanąć na kotwicy życia-dawczej żeglugi pieczołowitości rodzicielskiej, dziewiczą zastępującą skromnotę, z górnych niebieskich wyroków jest poręczonym, przeto i braterstwo moje wzywając pomocy i błogosławieństwa Tego, który ziemno-wodnych zamętów wyprowadziwszy pierwotne żywioły, wzajemną je ku sobie napawa skłonnością: i widząc w zacnościach pana Żegoty Milanowskiego pełnonośne przysłówieczne i wiecznych pomyślności swęj ulubionęj córy, nadzieje: poręką nadto Jaśnie Wielmożnych i Panów Dobrodziejów ubezpieczone, skłonieni są otworzyć krokom jęj drogę z rodzicielskiej swojszczyzny na ślubny złotowzory kobierzec..... A zatem, Mości Poczasy! „Tu się uklonił — wszyscy dali huczną salwę w dłonie, a Rupejko: — Wiem — rzekł — co mi teraz czynić należy — i wyszedł skwapliwie po Milanowskiego.“

— A niech go kaci jak mądrze! — rzekł z cicha Micewicz do Bunaka — a czy zrozumiałeś?

— Jużcié zrozumiałem, bo na końcu kobierzec — odpowiedział on — ale bo to nowęj mody orator — to *purysta* — *pure* po polsku — JW. Pan musisz wiedzieć że łacina już idzie pod ławę. W Warszawie słyszę, takiego z taktowego rejestru sądzą, który perory swoje, po Jezuicku nią szpikuje — Ależ za to górnio!.....

Wtém wszedł Rupejko prowadząc Żegotę. — „No panie bracie — rzekł on — złóż u nóg rodziców twęj ulubionęj Dosi pokorną gratulację, że cię za syna przyswoić zgadzają się. — Ofiaruj swe wierne a wieczyste służby jęj samęj i błagaj, niech raczy przyjąć na rękę i znak widomy tęg akceptacyi: a *suscepte* (1) onego, niech w aktach swego serca zapisze. — Dziękuj także panu Pisa-

(1) Dowód przyjęcia do akt dokumentu, zapisany na nim ręką Regenta Aktowego, zwał się *susceptą*.

rzowi dobrodziejowi, bo on *per fluidam et sapientissimam eloquentiam* (1) dekret twojego szczęścia promulgował — wszem w obec i każdemu z osobna zebrany tu Jaśnie Wielmożnym Panom Dobrodziejom że słabą mą żądań twych *exwiscerację*, korekturą swęj łaskawęj protekcyi wsparli.“

Więc w kolei wskazanej Żegota upadł do kolan Chorażynęj; Choraży chcącego również i przed nim się upokorzyć niedopuscił, ale uściśkał go wołając: Panie zięciu! twoja Dosi! — i z cicha nad uchem: — ale dyferencja w lesie.... Potém Milanowski dobył zza nadry piękną jaspisową puszczykę, otworzył ją i położywszy na czapce podniósł Dosi; we srodku jaśniał brylantowy pierścień. — Panno Doroto — rzekł on — nie płacz! Na, miłość Boga nie płacz! bo i mnie serce się kraje!.. Oto pamiątka matki mojęj — ona pewnie, w niebie, bo była pocziwą, i bogobojną jak twoja.... Jeżeli więc mnie przyjmujesz, przyjm i ten pierścień.... a ja na wieki twój sługa!

Dosi nie śmiała podnieść ręki; wzniosła tylko oczy w górę, jakby w modlitwie polecając się Bogu: a Chorażyna wzięła pierścień i na palec jęj włożyła, z własnej zaś ręki zdjawszy obrączkę — bo przygotowanej do uroczystego aktu zaręczyn, których się nie spodziewali, nie mieli — oddała córce, a ta już narzeczonemu. Probując on na różne palce, wbił nakoniec gwałtem obrączkę na swój najmniejszy palec, i całował z uniesieniem rękę Dosi, na której jego brylant jaśniał. Wtenczas huczne vivat! zabrzmiało.

— Kielicha! — zawołał Micewicz, pragnąc jako pierwszy dostojnik tego zgromadzenia, spełnić zdrowie narzeczonych. Ale Bunak rozsuwając ciżbę: — Poczekajcie Mości Panowie, poczekajcie! — zawo-

(1) Przez płynną i najmědrszą wymowę.

łał, i stanawszy naprzeciw zaręczonych, poprawił pasika i rzekł:

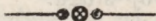
„Niech Himeneusz z Apolinem w parze,
Przezacną parę wiodą przed ołtarze!
Niech Mars i Venus w paragon się stawia,
Z hucznym applauzem i dobrą ochotą
A wszystkim razem niechaj błogosławi,
Święta Elżbieta — i z Świętą Dorotą.“

Poeta nowe zebrał laury, i nowe oklaski.

— Ależ kochany panie Felicyanie, *ne misceantur sacra profanis* (1) rzekł *Micewicz*.

— A jakże inaczej? — odpowiedział Bunak — wiesz Jasnie Wielmożny Pan, że poezja ani stąpi bez tych bożków pogańskich; ale czyż my, prawowierni chrześcijanie, dla ich miłości mamy i naszych świętych posponować? Oto pięknie!

Tymczasem kielich poszedł w kolój.



VI.

Q*uis scit* co za górą? — miał w przysłowiu szlachcic Bekieszka, sługa chorągiewny pana Niewiadomskiego (2) i nie stosowniejszego do różnych kolei życia ludzkiego, jak to przysłowie. Wśród najweselszego towarzystwa, wśród śmiechów, biesiad i pustych gwarów rzuć z nienacka to wątpliwe *quis scit* co za górą? wnet wstrząsniesz wszystkich jak błyskawicą niespodzianą; wesołość zni-

(1) Nie należy mieszać świętości z bałwochwalstwem.

(2) Serya 1-sza Podañ Litewskich Pow. *Wyklęty*.

knie, jak ptaszyna nagle spłoszona, oczy i twarze się zasepią, jakaś tęsknica, jakaś trwoga, jakaś niespokojność dojmie każdego; niepewne *jutro*, jakby mara jakaś niewidzialna, włączając się między gośćmi, zajrzy w oczy każdemu, i każdemu słowa Baltazara poszepnie.

Ależ fatalny to byłby gość na biesiadzie, któryby jedném słowem ją mieszał; nie było takiego wśród wesołej rzeszy obchodzącej teraz dwakroć huczniejszą ochotę i szczelniejszymi kielichami zaręczyny, po których *jutro*... jakież inne po zaręczynach *jutro*? wesele!

Wieczor już się zbliżał i kompanija brała się do odjazdu; dał do tego hasło poszustny pociąg pana Pułkownika, przed śpichrz zajeżdżający. Nie mogąc rozbudzić pana, znajomy nam Bonawentura, mrucząc coś krnąbrnego pod nosem a kiwając głową, włożył go do karocy; sam zdjął kapelusz, uklonił się z daleka całej śmiejącej się kompanji, i stanął potem z tyłu, a karawan ruszył za bramę. Bitowt i Styrpejko czuliej śpiący, czy mniej pijani, powstali rzeźwo i złączyli się z towarzysstwem. To ten, to ów, wymykał się także to bryczką, to wozem żmudzkim, to staroświeckim zielonym skarbniczkiem. Więc i Żegota umyślił odjechać, dając folgę swój narzeczonej w nieustannych fatygach i wzruszeniach, któremi ten dzień ją mordował, a na które bez przerwy i w rozmaitym sposobie, od natrętnych i podochoconych gości narażoną była. *Jutro* znowu przyjadę, myślał on w sobie, gdy tego tłumu tu nie stanie. Podczaszy zresztą tak mu radził, i sam za nim pośpieszyć przyrzekł. Wyprowadzono zatem siwka, z półgodziny trwały pożegnania, bo i samemu Milanowskiemu serce się ścisnęło jakoś nadzwyczajnie, gdy rękę Dosi do ust i do piersi swych potem przycisnął; a zatem nie łatwo od niej się oderwał, i uściskanie się z każdym prawie gościem nie mało

się przedłużyło — a siwak tymczasem gryzł wędzidło i rył ziemię kopytem...

Nakoniec siadł nań Żegota. Rumak się wspiał, jakby go chciał zrzucić, lecz gdy tego dokazać nie mógł, znowu jakby się poddał przeznaczeniu, spokojnie poszedł za bramę, za nim Poroczko i Norejko.

Wieczór był piękny; kompanija cała była to na ganku, to na dziedzińcu, nawet i damy miłym się chłodem rzeźwiły. Zaprzęgano pojazdy, zajężdżały niektóre, i widziano jeszcze Milanowskiego, drożyną, między bujnym żytym wijącą się, wolnym stępem jadącego, aż zniknął z oczu za pagórkami... I w tejże chwili nagle dał się słyszeć *strzał* — i tuż znowu dwa drugie — stanęli wszyscy zdumieni... i zdumienie to nie przeszło jeszcze, gdy ujrzano lecącego pędem Norejkę; wszyscy się sypnęli na przeciw.

— Zabity! zabity! — krzyczał on dolatując — pan mój zabity! Mejra go zabił, Mejra! ratujcie! na miłość Boga ratujcie! — i poleciał nazad.

Wszyscy mężczyźni z okrzykiem przerażenia rzucili się do pojazdów jakie były na podręczu, niektórzy oklep na niedoprzęzonych koniach, niektórzy pieszo biegli za Norejką.

Zostały same kobiety, przeleknione, kupiące się w jedną gromadę i nie mogące jeszcze pojąć w zupełności, co się stało?

— Matko — rzekła Dosia — jam przeczuwała nieszczęście! jam na dzisiejsze zaręczyny moje, jak na sen patrzała.... Oh bo sny moje? jam ci o nich mawiała; zamiast kobierca całuny!... Chorażyna drżała, i z jakąś nieprzytomną bojaźnią tuliła córkę do siebie.

Wkrótce też na wzgórku ukazał się zdaleka... kondukt!... po zaręczynach — *kondukt!*

Nadbiegających coraz gromadniej tam do miejsca wypadku okropny uderzył widok: — Milanow-

ski leżał nie żywy, dwiema kulami w piersi ugodzony, pławiący się we krwi własnej z dwóch ran płynącej, bo broń zabójcza widac dwiema kulami nabitą była. Poroczka i Norejko ryczeli nad nim; konie ich rozhukane biegały tratowały żyto; siwak tylko stał tuż prawie nad panem i kopał jamę.

— Po cyrulika! po cyrulika! — krzyknięto. Poroczko więc wskoczył na siwka, i jak wiatr poleciał, pędzony nadzieją ożywienia ukochanego pana.

— Jakże się to stało? — zapytano Norejki.

Zaledwo mówić mogący, rzekł on na to pytanie:

— Jechaliśmy spokojnie, Pan na przodzie, my za nim; ale jakoś mieliśmy się na ostrożności, bo siwak na miejscu, w stajni pana Uwojni, już jamy kopał, a to zły prognostyk, i Panu to pokazywaliśmy i radzili, ale nie chciał nas słuchać; my jednakże nabiliśmy pistolety...

Więc jechaliśmy spokojnie i stępo, nie wiem dla czego powoli, bo Pan tak jeździć nie lubił; ale zamyslił się... Oh gdyby klusem, możeby ten bezbożnik nie trafił... Aż tu słyszym: „*Precz z tego świata i serca Dosi!*“ i razem huk — a pokazała się nad żytem głowa Mejry. — Pan chwycił się za piersi, postrzegł widac tę głowę, bo krzyknął: *ha! Mejra!* i spadł z konia — strzeliliśmy z pistoletów w żyto gdzie głowa się pokazała, ale gdzież tam! i skoczyliśmy do Pana — Boże zmiłuj się!... *ha Mejra!* powtórzył on jeszcze kilka razy, ale tak okropnie! tak! że ten potępieniec pod ziemią, na strasznym sądzie, i w piekle nawet słyszeć będzie — *ha! Mejra!!!*

Dalej już mówić nie mógł Norejko.

Podjęto z trudnością zabitego, włożono na wóz otoczony rozmaita gromadą, ruszono do dworu, i kondukt ten okazał się kobietom na dziedzińcu, a w krótkce tam i przybył.

Zmrok już padał i księżyc półtwarzą przyświecał tej krwawej scenie. Smutek głęboki był na

wszystkich obliczach, przed chwilą wesółych. Kobiety w najciaśniejszym skupiły się pokoju i modliły się każda po swojemu. Mężczyźni gwarnie rozprawiali o tym okropnym kryminale i o sposobach pojmania kryminalisty. Podczaszy, zapłakany, urządzał wóz na którym przyjaciela do domu jego własnego miał odwieźć, i ostatnią mu tam oddać posługę. — Wtém nadleciał Poroczko z cyrunikiem za sobą; gdy ten złożonego na murawie zabitego opatrywać zaczął, wszyscy go otoczyli, niespokojnie oczekując pierwszego słowa....

— Nie żyje! — rzekł on — nie żyje!

Nie żyje, nie żyje! Słowo to z ust do ust przebiegając, doszło aż do kobiet. Nie żyje? — rzekła jakby zdziwiona Chorążyna, bo głowa już jęj gorączką pałała. — Nie żyje! niechże odda obrączkę! odbierzcie mu obrączkę Dosi! Czyż Dosią z trupem zaręczona?... I to mówiąc zerwawszy pierścień z rąk córki, wybiegła na ganek i rzuciła go na tłum, wołając bez ustanku: — Odbierzcie mu obrączkę Dosi! czy ona z trupem zaręczona? — Wnet się rzuceno aby spełnić jęj żądanie i zniweczyć myśl tę jęj okropną, że córka jęj zaręczona z trupem.

Widzieliśmy z jaką trudnością Milanowski tę małą rękę kobiecę obrączkę, ledwo na swój mały palec wbić potrafił. *Bunak* więc podjął dłoń umarłego i usiłował zdjąć mu oną — nagle wrzasnął i odskoczył i wszyscy obok będący wrzasnęli i odbiegli — trup zwarł rękę... Ostatnie widać zakradnione jeszcze tchnienie, konwulsyjnym kurczem dłoń mu ścisnęło.

— Nie oddał obrączki! — zawołano — nie oddał obrączki!...

W roku 1824 mieszkałem ja kilka miesięcy na Żmudzi, w okolicach Kroż; pewnego dnia przybyłem do tego miasteczka, i ujrzawszy otwartym

kościół mniszek Benedyktynek, a w nim nabożeństwo — wszedłem. Był to pogrzeb mniszki; zwłoki odkryte leżały na katafalku, i właśnie gdym do kościoła wchodził, ksiądz się ukazał na ambonie.— Po stosownym texcie z Pisma Św. rzekł on:— „Oto zwłoki w Bogu zeszlęj wielbnej siostry Klary w zakonie, a na świecie niegdyś Doroty Uwójnianski!“ i t. d.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Wstęp.....	5
WYKŁĘTY.....	9
Przypisy	86
KAMIEŃ W OLGHENIANACH.....	95
ŻEGOTA Z MILANOWA MILANOWSKI:	
Część Pierwsza	125
Część Druga.....	190